KWIECIEŃ — MAJ 1933

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM XXX

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI

ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1, tel. 649-04

TREŚĆ

PROBLEM NIEMIECKI W NOWEJ SZACIE.

Komunikat z obiadu dyskusyjnego Koła Przyjaciół „Naszej Przyszłości“.

We środę, 29-go marca, odbył się trzeci z rzędu w bieżącym sezonie obiad dyskusyjny Koła Przyjaciół „Naszej Przyszłości“ w salonach Resursy Kupieckiej w Warszawie. Przy stole w podkowę zasiadło blisko pięćdziesiąt osób ze sfer duchownych, politycznych, gospodarczych i innych, w tem również przyjaciele naszego wydawnictwa, przybyli z poza Warszawy.

Wydawca, Dr. Jan Bobrzyński, witając zebranych, skonstatował przedewszystkiem stały, regularny rozwój imprezy obiadowo-dyskusyjnej Koła, która od początkowego zebrania z końcem listopada ubiegłego roku, stosunkowo skromnego jeszcze co do ilości uczestników, wzrasta obecnie już do poważnych rozmiarów i do coraz wyższego poziomu dyskusji.

Przystępując następnie do wyznaczonego w zaproszenach tematu, wskazał mówca na pewną różnicę swego zagajenia na obecnem zebraniu w porównaniu z zagajeniem tematów na poprzednich obiadach dyskusyjnych. Gdy wówczas bowiem mógł przedłożyć zebranym istotę danych tematów w sposób jasny i zdecydowany, skoro opracowane były i ustalone oddawna w bliższem gronie współautorów wydawnictwa, to wobec obecnego tematu, niemieckiego, musi ograniczyć się tylko do wysunięcia pewnych kwestji, poddając ustalenie sprawy i wyciągnięcie wniosków pod dyskusję zebranych. „Nasza Przyszłość“ bowiem tematem niemieckim dotychczas bliżej się nie zajmowała, poruszając go tylko rzadko i incyndentalnie. Dla wydawnictwa na-

szego — ciągnął mówca — i jego akcji propagandowej nie chodzi w tym wypadku o sprawę oficjalnej, dyplomatycznej polityki polskiej wobec rządu niemieckiego, a zwłaszcza wobec reżimu Hitlera. „Nasza Przyszłość“ nie zajmuje się prawie nigdy zagadnieniami aktualnej polityki oficjalnej, upatrując natomiast swe główne zadanie w rozpatrywaniu wszelakich spraw państwowych z punktu widzenia prywatnej opinji publicznej. Tak też i w tym wypadku chodzi o rozstrzygnięcie bardzo ważnego zagadnienia, jakie ogólne nastawienie ma przyjąć opinja szerszych prywatnych sfer społeczeństwa polskiego wobec przemian, nastrojów i tendencji, jakie rozwijają się w Niemczech?

„Jako platformę, na której wszelka dalsza dyskusja na terenie „Naszej Przyszłości“ w tym zakresie toczyć się winna, ustalić mogę w naszem gronie zgóry ogólną zasadę, że dążenie nasze nie może być inne, jak tylko to, aby Polska unormowała jak najlepiej swe stosunki polityczne i gospodarcze ze swym zachodnim sąsiadem. Przecież dwóch zdań w naszem gronie być nie może, iż wszelka emocjonalna, czy agresywna polityka wobec Niemiec musi być zgóry wykluczona. Winniśmy dążyć ze wszystkich sił do osiągnięcia jak najpoprawniejszych z niemi stosunków. Chodzi jednak o to, jak praktycznie można osiągnąć tę normalizację dobrych stosunków z Niemcami?

Otóż w tem właśnie dążeniu wyłaniają się dla prywatnych sfer społeczeństwa polskiego następujące kapitalne kwestje:

1) Ilekroć mowa u nas o kwestji polsko-niemieckiej, tylekroć zaraz, niemal automatycznie, wysuwa się — jakgdyby prawem reakcji — wprost przeciwne zagadnienie: polsko-rosyjskie. Z biegiem czasu i wypadków społeczeństwo polskie podzieliło się dziś na dwie, przeciwne orjentacje: niby proniemiecką i niby prorosyjską, oczywiście w całkiem innem znaczeniu tych wyrazów, niż je one miały w czasie wojny światowej. Jedni z nas, obawiając się niemieckiego „rewanżu“, pragną — mimo wszelkich prze-

szkód i antypatji — zbliżenia się Polski do Rosji, choćby sowieckiej, skoro innej niema, drudzy zaś, z obawy i repulsji przed gangrenującym moralnie i socjalnie wpływem komunizmu, dążą coraz bardziej, niektórzy wprost à outrance, do oparcia się o Niemcy, chociaż zdają sobie sprawę i z tego niebezpieczeństwa. Nie brak nawet już z jednej i drugiej strony zrozpaczonych zwolenników wprost przymierza z Rosją przeciw Niemcom i naodwrót. Powstał zupełny chaos wytycznych dążeń społeczeństwa polskiego w całym tym wielkim zakresie. A chociaż decydować tu będzie oczywiście nasza oficjalna polityka dyplomatyczna, to jednak i naród sam powinien sobie także uświadomić, czego ma chcieć i w jakim kierunku orjentację swą skierować.

2) Czy wychodząc na spotkanie Niemców z otwartemi rękoma osiągnie się dobre z nimi stosunki wobec całkiem specyficznej psychiki niemieckiej, a zwłaszcza pruskiej? Wszak znaną jest rzeczą, że Niemiec każdy objaw ugodowości bierze za objaw słabości. Tysiącletnie doświadczenie sąsiadowania z niemieckim żywiołem uczy nas, że Niemiec najskładniejszym bywa zawsze wobec objawu siły, a najbrutalnieszym i najagresywniejszym wobec wszelkiego dowodu ustępliwości ze strony przeciwnika, czy nawet kontrahenta. Dlatego wysuwa się tu mimowoli paradoksalne napozór pytanie, czy dobre stosunki między społeczeństwem polskiem a niemieckiem nie dadzą się osiągnąć właśnie tylko drogą ukazywania Niemcom opancerzonej pięści na każdym kroku? Wydaje się, jakoby Niemiec, a zwłaszcza Prusak, wychowany pod batem Hohenzollernów, innego języka do zgody nie rozumiał!

3) Niektóre z naszych sfer gospodarczych twierdzą, opierając się na starodawnych przykładach, że korzyści gospodarcze mogą najlepiej, jeżeli już nie zjednać nam wprost sympatji Niemców, to przynajmniej przyczynić się do normalizacji stosunków z nimi. Przecież to łokieć kupiecki toruje łatwiej drogę w międzynarodowych stosunkach od miecza. Zdawałoby się to słusznem, ale tylko

z materjalistycznego punktu widzenia. Bo ci, którzy to twierdzą, nie biorą pod uwagę wcale dwóch ważnych okoliczności: po pierwsze, że w stosunkach międzynarodowych olbrzymią rolę gra także temperament danych społeczeństw i ich dążenia ideowe, które nieraz wszelkie logiczne względy materjalne mogą pokruszyć — a powtóre, że najistotniejszą, odwieczną przyczyną antypolskiego nastawienia Niemców jest fakt geograficzny, że ścieśnieni na stosunkowo szczupłym obszarze Niemcy uważają swą ekspansję na wschód jako warunek swej egzystencji. A w tym pochodzie na wschód stoi im Polska zaporą.

I stąd właśnie wyłania się tem bardziej owo pozornie paradoksalne zagadnienie, że dobre stosunki Polski z Niemcami wydają się wówczas tylko możliwe do osiągnięcia, jeżeli wyrobi się u Niemców przekonanie, że ta zapora na wschód jest dla nich nie do przebycia.

4) Wydaje mi się — i nie jestem w tem mniemaniu odosobniony — że dzisiejsza, powojenna rzeczywistość niemiecka jest dwojaka: rzeczywista i urojona.

Rzeczywistość urojona — to owa niesłychana agresywność niemiecka, objawiająca się wewnętrz ich kraju w owym niesamowitym hiper-nacjonaliźmie, który nawet fachową naukę i historję świata urabia i przykrawa do niewidzianej dotąd w dziejach megalomanji, na zewnatrz zaś występuje w postaci agresywnych żądań rewanżowo-zdobywczych. W przeciwieństwie do tej urojonej, wykazuje rzeczywista rzeczywistość niemiecka wielką nędzę w kraju, największy na świecie (oczywiście poza Rosją sowiecką) wzrost i wpływ komunizmu oraz daleko idące wewnętrzne rozdwojenie — rzekłbym — szczepowe. Z tego wyłania się wniosek, że zewnętrzna agresywność niemiecka jest sztuczną, jest tylko pokrywką wewnętrznej biedy i chaosu, jest konwulsyjnem odwracaniem przez rządy Niemiec uwagi własnego społeczeństwa od ciężkich problemów wewnętrznych ku emocjonalnym hasłom i niby-celom polityki zagranicznej.

Co jest istotną prawdą? Co jest głównym motorem obecnym Niemiec, czy bieda wewnętrzna, czy istotnie agresywny imperjalizm? W rozstrzygnięciu tego walnego zagadnienia leży także wytyczna nastawienia naszej polskiej opinji.

5) Nie jest już tajemnicą, że różne sfery kościelne ustosunkowują się życzliwie, choć nie bez pewnych zastrzeżeń, do akcji i reżimu Hitlera, który jest katolikiem i którego obecny sojusznik, wicekanclerz v. Papen, jest również katolikiem, żonatym z Francuzką katoliczką. Nadto rząd Hitlera wypowiedział zdecydowaną walkę rozpanoszonemu w Niemczech komunizmowi, co sypatje sfer kościelnych musi skłaniać na jego stronę. Możemy o tej specjalnie sprawie bliżej nie dyskutować, nie mniej jednak stanowić ona powinna dla każdego Polaka moment do poważnej refleksji.

Oto, w krótkim zarysie, najważniejsze kwestje, które w obecnej chwili każdemu z nas na tle problemu niemieckiego muszą się nasuwać".

Po otwarciu dyskusji, zabrał głos najpierw p. minister Józef Wielowieyski, ujmując problem w obszernym, wszechstronnie opracowanym i świetnie wygłoszonym referacie, który wzbudził w słuchaczach szczególnie żywe zainteresowanie i wysłuchany był z naprężoną uwagą. Niestety, ze względów, od Redakcji niezależnych, nie jesteśmy w możności podać czytelnikom tego wielce ciekawego przemówienia ani w całości, ani choćby nawet w obszerniejszem streszczeniu, ograniczając się z konieczności tylko do krótkiej wzmianki. Jest to wprawdzie przeciwne naszej metodzie i naszemu zapatrywaniu na obecne stosunki. Jesteśmy zdania, że poważna myśl polska, o ile wogóle uważa za wskazane w danych kwestjach się ujawnić, powinna rozlegać się w całym kraju głośnem echem i wpływać nietylko słowem, ale również piórem i przykładem na należyte orjentowanie opinji publicznej w danych kierunkach. Ludzie, gubiąc się dzisiaj nazbyt często w chaosie sytuacji, po-

żądają gorąco i potrzebują raz po raz jakiejś stanowczej orjentacji i dyrektywy. Nie trzeba im jej odmawiać. Nie trzeba obawiać się konsekwencji rozgłosu wyraźnej dyrektywy, bo daleko gorzej działa na społeczeństwo tajemnica, milczenie, zagadka, powodująca tylko marazm i ów pożałowania godny brak aktywności zbiorowej w sferach zwłaszcza wyższej naszej inteligencji, na który wielu się skarży, ale mało kto ma odwagę stanąć czynnie w pierwszym szeregu i wziąć na siebie odpowiedzialność zdecydowanego zdania.

Ale musimy w tym wypadku uszanować cudze względy i restrykcje, doradzając tylko szerszym sferom zwolenników naszego pisma i naszej akcji, aby zechcieli korzystać z przesyłanych im zaproszeń do udziału w obiadach dyskusyjnych „Naszej Przyszłości", gdyż nieraz jeszcze może się zdarzyć, że ze względów, od nas niezależnych, nie będziemy mogli zadowolić nieobecnych na takiem zebraniu przyjaciół pisma podaniem in extenso wszystkiego, co w dyskusji na stół padnie.

Kwintesencją przemówienia p. Wielowieyskiego było twierdzenie, a raczej przewidywanie, że wskutek objęcia w Niemczech rządów przez Hitlera dotychczasowe ogólne dążenie Niemców na wschód zastąpione zostanie, przynajmniej narazie, przez dążenie raczej na południe i południowy zachód — po linji Anschlussu. Stworzyć to może dla nas sytuację raczej korzystną, gdyż siłą rzeczy przeciwstawi tej ekspansji niemieckiej Włochy, które dotychczas straszą Europę porozumieniem z Niemcami; ale sytuacja zmieni się, gdy przez dochodzenie do skutku Anschlussu Austrji do Niemiec staną Włochy wobec perspektywy bezpośredniego sąsiedztwa z powiększonemi Niemcami.

Dążeniem reżimu Hitlera nie może być narazie wywoływanie starć zbrojnych, zwłaszcza wobec bardzo ciężkiego wewnętrznego stanu Niemiec oraz wobec konieczności dla Hitlera przeprowadzenia rozgrywki z jego licznymi wewnętrznymi nietylko przeciwnikami, ale i z chwilowymi so-

jusznikami. Wynik tych zmagań wewnętrzno-niemieckich będzie prawdopodobnie dwojaki: albo Hitler zrozumie doniosłość rozwiązania szczególnie dziś w Niemczech piekącego problemu gospodarczego, pójdzie po linji porozumienia się z wielko-kapitalistyczną prawicą i będzie wskutek tego musiał złagodzić różne radykalniejsze socjalne postulaty doktryny swej partji — albo postulaty te w umyśle jego zwyciężą i rzuci się on na pole szerokiej demagogji, a nie mogąc wówczas opanować sytuacji gospodarczej, upadnie z całym swoim reżimem.

Oczywiście, ten kierunek ku południowi, jaki weźmie w najbliższym czasie prawdopodobnie tendencja rządów Hitlera, nie powinien nas usypiać, gdyż wnet potem, zwłaszcza wrazie powodzenia, może tendencja ta zwrócić się ku wschodowi i podnieść hasło rewizjonizmu granic z Polską.

W obliczu tego, co się obecnie wewnątrz Niemiec dzieje, musi wzbudzać u nas oczywiste sympatje zdecydowana walka Hitlera z komunizmem, natomiast nie możemy pochwalać wybuchu nacjonalizmu hitlerowskiego wobec tamtejszych mniejszości narodowych. Niemniej jednak, jeżeli wspomnimy na znane powszechnie, wrogie nam zawsze i podjudzające przeciw Polsce stanowisko różnych sfer tamtejszej żydowsko-niemieckiej finansjery, to, potępiając zasadniczo postępowanie hitlerowców, nie możemy jednak oprzeć się wrażeniu, że działa tu jakaś Nemezis, jakaś sprawiedliwość dziejowa.

Gorące oklaski nagrodziły powyższe przemówienie, poczem zabrał głos hr. Stanisław Łoś.

Nawiązując do wywodów swego przedmówcy, senatora Wielowieyskiego, zaznaczył p. Łoś, że jego przemówienie musi z natury rzeczy mieć zgoła inny charakter. Przemówienie senatora Wielowieyskiego cechował wysoki autorytet, doskonałe informacje i kompetencje męża stanu, który od szeregu lat utrzymuje ścisły i twórczy kontakt z naszą polityką zagraniczną. Doświadczenia, na których

p. Wielowieyski opiera swoje poglądy, wykazują nieprzerwaną ciągłość od heroicznej epoki prac w Narodowym Komitecie w Paryżu, który upornym wysiłkiem zdobywał nasze zachodnie granice, aż po obecną chwilę, kiedy, jako wiceprzewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Senatu, wywierać wciąż może wpływ i na bieżącą dyplomatyczną pracę naszego Ministerstwa.

P. Łoś oświadcza, że żadnego z tych poważnych walorów wnieść w swoje przemówienie nie może; poglądy jego, to poglądy wieśniaka, czytającego gazety raz na tydzień i czerpiącego informacje od proboszcza[1]). Wartość ich jedyna, to perspektywa, z której ogląda ogół rozwój spraw na szerokim świecie, perspektywa, przez Niemców zwana żabią; przemawiać zatem będzie świadomie aus der Froschperspektive, dając wyraz poglądom i obawom kogoś, co żyjąc życiem codziennem i troskami człowieka z ulicy, odczuwa wraz z nim niepokoje i obawy, związane z przewrotem i konwulsjami wielkiego sąsiedniego narodu.

Konwulsje bestji mogą być bardzo niebezpieczne dla tego, co stoi w zasięgu jej kończyn. Zrozumiałym jest tedy niepokój codziennego człowieka: czy gorączka, jaką obecnie przeżywa naród niemiecki, nie stanie się dla nas przyczyną szeregu strat i nieszczęść, lub też wręcz nie przeniesie się i na nasz własny organizm.

Pierwsze pytanie, dręczące przeciętnego obywatela Polski, to pytanie, czy hitlerowski przewrót w Niemczech przyśpieszy chwilę praktycznego postawienia przez Niemcy na porządku dziennym sprawy rewizji granic polsko-niemieckich, co w naszem pojęciu będzie równoznaczne z wybuchem wojny polsko-niemieckiej; pytanie drugie, to, czy hitleryzm nie znajdzie u nas prozelitów, nie przeszczepi na nasz polski organizm gorączki, trawiącej naród niemiecki, nie uczyni z nas narzędzia tak zwanej misji Niemców

---

[1]) W tem miejscu szanowny mówca nazbyt skromnie określił swe kompetencje! (Przyp. Red.).

w Europie Wschodniej. By móc odpowiedzieć na pytanie pierwsze, trzebaby odpowiedzieć na dwa inne: 1) Czy nowy rząd, a raczej nowy régime niemiecki, będzie się czuł dostatecznie silny, by w sposób praktyczny postawić na porządku dziennym sprawę rewizji granic, oraz kiedy nastąpi chwila uświadomienia sobie przez Niemców tej siły? Pytanie drugie, to, czy rewizja terytorjalnego status quo leży w interesie niemieckim, względnie w tem, co Niemcy za swój interes uważają?

Na to drugie pytanie można, zdaje się, odpowiedzieć negatywnie, o ile chodzi o interes w objektywnem znaczeniu tego słowa. Dążenie do rewizji granic nie jest dyktowane interesem niemieckim, przeciwnie nawet, dążenie to jest jedną z poważnych przyczyn, dla których Niemcy, mimo szeregu rzeczowych atutów, nie uzyskały po wojnie hegemonji w Europie Środkowej. Dążenie do rewizji granic w szczególności ochroniło Polskę od popadnięcia w najściślejszą gospodarczą zawisłość do Niemiec. Przy przyjaznych stosunkach politycznych, kraj tak ubogi, jak Polska, zostałby był przez Niemców poprostu wykupiony w swych najważniejszych gospodarczych ośrodkach i to wręcz minimalnym kosztem, wynoszącym zaledwie paręset miljonów zainwestowanych lub zakredytowanych marek.

Polityka rewizji granic jest ze strony niemieckiej polityką nie interesu, lecz sentymentu. Ale sentyment potężnego, a kilkadziesiąt miljonów ludzi liczącego narodu, jest polityczną rzeczywistością, z którą należy się bardzo realnie liczyć. Niemcy są narodem bez opinji publicznej, która mogłaby zreflektować roznamiętnione propagandą masy, natomiast są narodem poetów i marzycieli. Sny i marzenia niemieckie stały się od lat kilkudziesięciu bardzo brutalne i choć zapewne tylko marzeniami pozostaną, może próba ich ucieleśnienia sprawić wiele kłopotu sąsiadom.

Możliwości takiej próby, nie wykluczone, zawisły od tego, czy i kiedy w Niemczech dojrzeje poczucie, że są już należycie silne, by taką próbę zaryzykować.

Czy nowy régime będzie mógł sprzeciwić się takiej próbie w imię niemieckiej racji stanu? Trudno na to dać zgóry kategoryczną odpowiedź. Próba sił z Polską jest z punktu widzenia niemieckiego rzeczą niewątpliwie bardzo ryzykowną, tem ryzykowniejszą, im mniejsze będą gwarancje, że Polska będzie izolowana, że ewentualną wojnę da się zlokalizować. Przypuszczać zatem można, że każdy silny i świadomy swej odpowiedzialności rząd niemiecki zastanowi się poważnie przed postawieniem całej przyszłości Niemiec na jedną kartę. Atak na Polskę będzie albo wynikiem rachunku (który może się okazać błędnym), albo też aktem nierozwagi lub rozpaczy, ostatnią próbą odprowadzenia na zewnątrz sił, grożących rozsadzeniem niemieckiego kotła.

Czy nowy régime niemiecki będzie rozsądny i odpowiedzialny? Za mało o nim wiemy, za krótko jest u władzy. Wykazał wiele energji i sprytu, by dojść do władzy, lecz to można powiedzieć o każdej dyktaturze, nawet o tych, które, jak uczy historja, doprowadziły potem opanowane przez siebie państwo do przepaści. Zdawałoby się jednak, że obecny régime niemiecki, to w każdym razie régime silny, który nie będzie się potrzebował liczyć z sentymentami ludności. Pamiętać jednak należy, że t. zw. reżimy silne są pod niektórymi względami niezwykle słabe. Sułtan starego typu mógł bezpiecznie kazać każdemu Turkowi, by zamordował własnego ojca; rozkaz byłby z pewnością wykonany, a popularność sułtana nic by na tem nie ucierpiała. Ale ten sułtan, gdyby kazał muzułmaninowi wypić kieliszek wina, spowodowałby bunt janczarów. Esencja dyktatury w pojęciu człowieka z ulicy jest z żelaza, w istocie jednak jest zgoła inaczej. Régime gwałtowny, choć bardzo niemiły dla przeciwników, ma bardzo wiele z motyla i z baletnicy; z motyla, bo zazwyczaj żyje krótko, z baletnicy, bo żyje oklaskami gawiedzi.

By móc odpowiedzieć, czy régime Hitlera jest istotnie silny, trzeba wyczekać, aż doświadczenie wykaże, jak po-

trafi dać sobie radę z istotnemi trudnościami, jakie przed nim stoją. Hitleryzm zwalczył dotychczas siły, skazane przez historję, zwalczył separatyzm Niemiec południowych, tę linję klanu, o której się wiele mówiło, ale która już w r. 1870 zawiodła i zwalczył socjalizm, t. j. obóz, pozbawiony esencji swej siły przez komunizm. Hitleryzm stoi teraz przed walką z komunizmem, a raczej z przyczyną komunistycznego ruchu w Niemczech, z polipem bezrobocia, z beznadziejnie wyglądającą sytuacją gospodarczą. W zapasach z tym wrogiem dopiero wykaże hitleryzm swój rozum i siłę. Gdyby te zawiodły, nie pozostanie może nic innego, jak szukać oklasków gawiedzi, wplątując naród niemiecki w awanturę na wschodzie.

Pocieszamy się często w Polsce tem, że Niemcy hitlerowskie są światu tak niesympatyczne, że doprowadzić to musi do ich izolacji. Mówca nie podziela tego zdania. Niemcy hitlerowskie mają istotnie „złą prasę", ale zła prasa i złą pozycja międzynarodowa, to dwie zgoła odmiene rzeczy. Polska np. najgorszą prasę miała właśnie w tych momentach, gdy realizowała swój program terytorjalny; wystarczy przypomnieć tu epizod z generałem Żeligowskim. Za kilka miesięcy i ton prasy może się wydatnie zmienić, a gabinety tak potem, jak przedtem, będą się liczyły z tą realną siłą, jaką Niemcy przedstawiają.

W rezultacie już poważniejszą gwarancją bezpieczeństwa Polski jest jej własna siła odporna, no i sojusze, które umożliwiłyby usunąć niebezpieczeństwo lokalizacji konfliktu polsko-niemieckiego.

Groźniejszem bodaj jeszcze dla Polski niebezpieczeństwem, niż zwiększone prawdopodobieństwo konfliktu z Niemcami, jest — zdaniem mówcy — niebezpieczeństwo pokojowej penetracji hitleryzmu do Polski, niebezpieczeństwo zarażenia się hitleryzmem Polski. Niebezpieczeństwo to istnieje i wymaga czujności.

Niemcy są narodem poetów i marzycieli; Niemcy wierzą w swą misję, dyktowaną przez niemieckiego Boga. „Am

deutschen Wesen wird einst die Welt genesen". Poki misja ta nie była skonkretyzowana, póki nikt nie wiedział, na czem ma polegać, było jeszcze pół biedy. Teraz — zdaje się — hitleryzm sprecyzował istotę misji niemieckiej. Ma nią być likwidacja — oczywiście mechaniczna i brutalna — bolszewizmu, czyli, mówiąc jaśniejszym językiem dyplomacji XIX w.: „rozwiązanie kwestji rosyjskiej".

Był czas, nie tak bardzo odległy — że niektóre elementy w Polsce uważały, iż Polski misją jest nie co innego, jak „rozwiązanie kwestji rosyjskiej"; skończyło się jeszcze bardzo szczęśliwie... cudem nad Wisłą. Ale Opatrzności nie trzeba kusić. Dość nam jednego cudu. Być może, że, jak w r. 1791-ym, stanie przed nami pokusa nowego przymierza polsko-pruskiego, Pokusa, bardzo dla niejednego ponętna. Opinja publiczna winna czuwać, by nas ona nie uwiodła, bo to drugie wydanie polsko-pruskiego przymierza zawiodłoby nas znowu tam tylko, gdzie nas zawiodło pierwsze.

Ani bolszewizmu, ani kwestji rosyjskiej nie można rozwiązywać czy likwidować przedwcześnie, zanim same organicznie do rozwiązania nie dojrzeją. A gdy chwila tego dojrzenia przyjdzie, rzeczą Polski potężnej, rządnej, dobrze administrowanej, będzie czuwać, by likwidacja tych zagadnień żywotnych dla Polski, Europy Środkowej i Wschodniej, dla Słowiańszczyzny, odbyła się nie pour le Roi de Prusse, nie z mechanicznym udziałem, pod dyktandem i na korzyść Niemiec, lecz z udziałem wyłącznie tylko narodów i państw zainteresowanych, narodów i państw Europy Środkowej i Wschodniej, narodów i państw słowiańskich. Słowiańszczyzna dla Słowian! Słowiańszczyzna musi mieć pełną swobodę urządzenia się, jak zechce, we własnym domu i nikt nie może się wtrącać w spory Słowian pomiędzy sobą.

Zabrał następnie głos redaktor M. Goryński.

„P. minister Wielowieyski na kanwie o niezwykłej rozpiętości przedstawił nam tu wielkie bogactwo myśli

i spostrzeżeń, pobudzające do głębokich w różnych kierunkach rozważań. Z wywodów, któreśmy słyszeli po referacie p. ministra, mogliśmy się przekonać, ile jeszcze na tej kanwie pozostaje miejsca do zahaftowania. Dyskusja, dziś rozpoczęta, winna potoczyć się dalej. Narazie ograniczę się tylko do kilku pobieżnych uwag. Z nich pierwsza odnosi się do sprawy „Anschlussu". Skoro dawna monarchja habsburska została rozbita — a faktycznie rozbicie to zaszło jeszcze przed traktatami pokojowymi — i skoro niema możliwości zastąpienia jej jakimś nowym tworem, siła logiki dziejowej wiedzie ku połączeniu się Austrji z Niemcami. Prędzej czy później „Anschluss" nastąpi i nie widać powodu, dla którego polityka niemiecka z jego urzeczywistnieniem miałaby się spieszyć. Austrja jej nie ucieknie. Gdyby jednak polityka niemiecka tej sprawie dać miała przed innemi pierwszeństwo, to należy też sobie przypomnieć, że przed Sadową i Sedanem był Düppel — wojna prusko-austrjacka przeciw Danji — jako akcja wstępna do dalszych posunięć. „Anschluss" mógłby zatem dla polityki niemieckiej w dobie obecnej, w kolejności posunięć, mieć podobne, przygotowawcze znaczenie. Druga moja uwaga odnosi się do tego, cośmy słyszeli o przesuwaniu się punktu ciężkości ludnościowego w Niemczech ze wschodu na zachód. Temu objawowi nie przypisywałbym tak wielkiej wagi wobec innego faktu, który dokonywał się równolegle z tamtym ruchem ludnościowym. A faktem tym jest duchowy podbój Niemiec przez Prusy. Bez względu na wyludnianie się niemieckiego Wschodu, mają dziś Prusy za sobą całą siłę Niemiec i polityka Rzeszy jest polityką Wielkich Prus — „Gross-Preussen". Wskazania dla Polski wynikają z jej historji. Polska musi pracować nad podobną wewnętrzną konsolidacją i wzmocnieniem swych sił, jakie się dokonały za Kazimierza W., a wtedy nie potrzebuje się oddawać zwodniczym obawom przed potęgą pruską".

Z kolei przemówił p. poseł Jerzy Schimmel.

„Przedmówcy moi poruszyli w swych wywodach polityczną względnie gospodarczą stronę zagadnienia hitleryzmu.

Chciałbym w kilku słowach uzupełnić ten obraz przez scharakteryzowanie podłoża ideowego, nurtu kulturalnego, na którym wyrósł, a raczej, któremu się przeciwstawia ruch hitlerowski.

W tem krótkiem i nieprzygotowanem przemówieniu nie będą oczywiście się kusił nie tylko o wszechstronne, lecz nawet o wielostronne oświetlenie interesującego nas zjawiska. Ograniczam się świadomie do ujęcia antytezy hitleryzmu i socjalizmu.

Scharakteryzuję najpierw linję rozwoju i wpływy polityczne doktryny socjalistycznej w Rzeszy Niemieckiej. Chociaż początki socjalizmu możemy wyśledzić nie w Niemczech, lecz w Anglji i Francji, to jednak ruch ten nabrał rozmachu i siły politycznej dopiero, gdy przedostał się na grunt niemiecki. Zarówno angielska, jak i francuska odmiana pierwotnego socjalizmu były zbyt utopijne, zbyt dalekie od życia, zbyt słabo rozwinięte teoretycznie, aby mogły opanować jakąś większą grupę społeczną. Tam pierwotny socjalizm był raczej marotą intelektualnych snobów, lub też niedoścignionem marzeniem dobrodusznych fantastów, albo nieuków o wielkiej wyobraźni, ale małej wiedzy.

Dopiero Marks stworzył naukową doktrynę socjalizmu, która, operując całym aparatem ówczesnej nauki ekonomicznej, uzbrojona w nadzwyczajnie misterne (choć fałszywe) konkluzje i przewroty logiczne, korzystając w najszerszym zakresie z badań historyczno - gospodarczych i stwarzając własną teorję historjozoficzną i socjologiczną—zdawało się, że jest ewangelją przyszłości. Dzieło Marksa, napisane w nadzwyczaj płomienny sposób, gdzie na każdej stronicy wyziera źle ukrywana, namiętna, dzika nienawiść nie tylko do ustroju gospodarczego, ale do całej

europejskiej kultury i jej objawów, szybko znalazło wśród intelektualistów niemieckich — niezawsze Niemców z pochodzenia — licznych zwolenników, uczniów i propagatorów. Opanowanie myśli i uczuć obywateli niemieckich przez socjalizm jest bezprzykładnem w dziejach kultury europejskiej. Śmiało można mówić o psychozie całego społeczeństwa, o duchowej epidemji. Taki stan trwał mniej więcej przez dwa dziesiątki lat. Socjalizm zataczał coraz szersze kręgi. Jeżeli pierwotnie był ruchem myślowym intelektualistów, to z biegiem lat objął najszersze warstwy pracujące, które znalazły w nim główną broń ideową w swej walce o poprawę bytu. Zdawało się, że zwycięstwo socjalizmu jest kwestją niedalekiej przyszłości i że apokalipsa dotychczasowego ustroju gospodarczego, państwowego, prawnego i kulturalnego, nie wyłączając religji, zbliża się z żelazną, nieubłaganą koniecznością.

Wtedy, gdy socjalizm się spopularyzował, gdy rósł, rozwijał się coraz silniej już siłą bezwładu, siłą nabranego impetu, rozpoczęła się w gabinetach uczonych krytyka teorji Marksa. Krytyka ta rozpoczęła się pierwotnie z dwóch obozów: z obozu ekonomistów i historyków. Niemieccy ekonomiści byli prawie bezradni. Wskutek świadomego zaniedbania teorji ekonomiki przez szkołę historyczną, która wówczas wszechwładnie zapanowała na niemieckich uniwersytetach, ówcześni ekonomiści niemieccy poprostu nie mieli broni w walce z wysoce teoretyczną pracą Marksa i jego uczniów. Zanim dzieła Marksa rozpowszechniły się zagranicą (głównie w Anglji, Włoszech i Szwajcarji), napisane po niemiecku, upłynęło kilka lub kilkanaście lat. A zanim prace krytyczne autorów obcych rozpowszechniły się w Niemczech—upłynęło długich kilkanaście lat. To był okres, jak gdyby „ochronny“ dla socjalizmu w Niemczech i dzięki niemu Rzesza Niemiecka stała się twierdzą i ostoją ruchu socjalistycznego na całym świecie.

Jednak powoli, stopniowo analiza socjalizmu, doko-

nana najpierw przez uczonych angielskich, włoskich, amerykańskich, francuskich, a później również przez profesorów niemieckich, zdruzgotała cały system światopoglądu socjalistycznego. Bez przesady można powiedzieć, że ani jedna teza ekonomiczna, historjozoficzna, socjologiczna nie ostała się w krzyżowym ogniu analizy naukowej.

Takie podstawowe tezy, jak teorja wyzysku, teorja akumulacji kapitału i proletaryzacji szerokich warstw, teorja walki klas i przeciwstawności interesów, materjalizm dziejowy — wszystko leżało w gruzach. Z socjalizmu, jako doktryny naukowej, nie pozostało nic.

Ale wyniki tych badań nie tak szybko dotarły do mas. Szerokie warstwy jeszcze długo wierzyły w swego fałszywego proroka i jego interpretatorów. Każdy pogląd naukowy jest jak ziarno, rzucone w ziemię. Trzeba czekać, aż wzejdzie, aż się rozkrzewi, aż zwalczy chwasty, aż wzrośnie i wyda owoce. Im bardziej jakaś doktryna jest skomplikowana, im więcej chwastów musi zagłuszyć, tem dłużej trzeba czekać. Niektóre prawdy naukowe przenikają do świadomości społeczeństwa po kilku latach; niektóre stają się dobrem powszechnem dopiero po kilkudziesięciu latach. Tak właśnie działo się z socjalizmem i komunizmem w Niemczech. Wtedy, gdy tłumy już bez zastrzeżeń wierzyły w Marksa, gdy socjalizm z dziedziny rozumowej przeszedł w sferę uczucia, w sferę wierzeń i marzeń społecznych — wtedy falanga młodych intelektualistów, wykształcona na naukowej krytyce socjalizmu, rozpoczęła przeciw niemu w społeczeństwie atak w słowie, piśmie i czynie, tworząc ośrodki antymarksowej propagandy.

Ta młoda generacja, dla której socjalizm był nietylko pustą bańką mydlaną, lecz trucizną, jadem, rozkładającym żywe społeczeństwo, uderzyła weń od strony,

od której on najmniej spodziewał się ataku. Tą antytezą był inny światopogląd, inny stosunek do życia. Bo trzeba sobie uświadomić, że socjalizm zawierał pewne poglądy, których nigdy nie formułował wyraźnie, a które przecież były jego „tacitae conditiones".

W szkicowem ujęciu światopogląd socjalizmu, jego stosunek do życia, opierał się, a raczej wypływał z następujących elementów psychicznych:

1. Niechęć do czynności, do aktywności, do działalności wszelkiego rodzaju. Dla stuprocentowego socjalisty, to jest dla takiego, który nie był z urodzonego nastawienia psychicznego, ideałem życiowem była bezczynność, bezwład, dążenie do fizjologicznej wegetacji. Stąd nienawiść do pracy, stąd przedstawianie pracy jako jarzma, stąd dążenie do jak najmniejszej wydajności pracy, stąd walka z wszelkimi systemami, które pracę czynią bardziej wydajną.

2. Materjalizm kulturalny. Mianem tem obejmuję takie nastawienie do świata, które kładzie główny nacisk na apercepcję zapomocą zmysłów. Z takiego układu psychicznego wypływa negatywny stosunek do religji; wypływa przecenianie strony zmysłowej naszego życia. Stąd skłonność do rozbijania więzów rodzinnych, opartych na obowiązku i etyce. Stąd nowa moralność, a raczej „moralina" seksualna, opierająca się wyłącznie na fizjologicznych reakcjach. Stąd chęć używania życia tylko zapomocą zmysłów i jeszcze raz zmysłów, z pominięciem duchowych walorów naszej kultury. Stąd przerost pornografji w literaturze pięknej. Stąd geszefciarstwo i korupcja w polityce, bo przecież życie nie ma innych celów, prócz używania.

To był światopogląd socjalizmu. Obserwując go, mógł Spengler pisać o zmierzchu kultury zachodu, przeprowadząc liczne paralele do najgorszych czasów dekadencji dawnego Rzymu.

Temu prądowi czasu przeciwstawił się Hitler i po-

krewne mu grupy społeczne. Jeżeli tworzą armię pracy, której członkowie pracują za żywność i minimalne groszowe wynagrodzenie, to przedewszystkiem dlatego, żeby wpoić w społeczeństwo, a raczej obudzić w nim zagłuszoną, wrodzoną dążność do czynności, do działalności, do aktywności. Zdrowa jednostka społeczna odczuwa potrzebę działania, pracy, n a w e t w t e d y, g d y z a n i ą n i k t n i e p ł a c i. Jest to „kategorja socjalna", mówiąc językiem socjologa Simmla, do której hitleryzm zaapelował i która odezwała się głośnem echem przedewszystkiem wśród młodzieży: zdrowy instynkt społeczny zwyciężył marazm duchowy socjalizmu.

Jeżeli Hitler wprowadził, a raczej przywrócił obowiązkowe nauczanie religji w szkołach powszechnych, jeżeli okiełznał rozwydrzenie i rozbestwienie prasy liberalnej i socjalistycznej, jeżeli przeprowadza sanację zwyrodniałych związków zawodowych — to czyni to w imię walki o inny ideał kulturalny, w imię walki z typem człowieka niższego, zwyrodniałego. „Untermensch" jest jego wrogiem i przeciwnikiem.

Jaki wpływ wywrze ten przełom kulturalny na stosunki w Polsce?

Jak już zaznaczyłem — nie chcę tutaj poruszać ani politycznych, ani gospodarczych konsekwencji dla nas przewrotu niemieckiego, ponieważ omówili to moi przedmówcy.

Chciałbym jednak zwrócić uwagę na jedno zjawisko. Wpływ niemieckiej kultury pod postacią niemieckiego socjalizmu był przemożny na przedwojenną i powojenną inteligencję polską, nie wyłączając znacznej części jej elity umysłowej. Cała myśląca część społeczeństwa polskiego była i jest — często bezwiednie — niesłychanie zradykalizowana przez — socjalizm niemiecki. Ulegliśmy sugestji, że wszystko, co niemieckie, jest równie dobre, jak ich maszyny i chemikalja. To zatruwanie naszej psychiki socjalizmem niemieckim było dla nas stokroć groźniejsze, niż

groźby militarne, ponieważ jad socjalizmu i komunizmu zatruwał nas od wewnątrz, wprowadzając rozkład i rozprzężenie naszego organizmu, osłabiając nas gospodarczo, moralnie i — co zatem idzie — fizycznie.

Legenda socjalizmu skończyła się. Ci sami Niemcy, którzy stworzyli ją, zdarli z niej nimb wielkości, aureolę przyszłości.

To zdruzgotanie socjalizmu odbierze naszym radykałom tupet i wiarę w siebie, w swój światopogląd. A jednocześnie wzmocni, doda otuchy, nowych bodźców, podwoi i potroi siły tych grup społecznych, które — jak my, konserwatyści — prowadzą ciężką, rozpaczliwą walkę ze smokiem socjalizmu i komunizmu".

Prof. Tadeusz Hilarowicz zwrócił uwagę, że reakcja narodu polskiego przeciwko uciskowi pruskiemu w czasach niewoli i gwałtom niemieckim w okresie wielkiej wojny była pod każdym względem słuszna i usprawiedliwiona. Należałoby jednak, z wiązku z wywodami przedmówcy, pomyśleć już w obecnej dobie — może nie właśnie w tej chwili, ale w każdym razie po ustaniu bieżącego ostrego stanu zapalnego między obu narodami — o systematycznem nawiązywaniu wzajemnych stosunków kulturalnych, z możliwem zapomnieniem o przeszłości. To nawiązywanie ma już wprawdzie miejsce, ale tylko sporadycznie, a nie jest ujęte w pewien system, tak, jak to się dzieje w stosunkach między Polską a innemi państwami. Nie należy przytem zapominać, że Niemcy nie są identyczne z Prusami i ta okoliczność właśnie mogłaby stanowić pewien punkt zaczepienia przy nawiązywaniu takich stosunków systematycznych.

Co się tyczy sprawy przyłączenia Austrji do Rzeszy Niemieckiej, to mówca, przeciwstawiając się tym poglądom, które w Anschlussie widzą korzyść dla Polski przez to, że „Niemiec na granicy Tyrolu" zmusiłby Włochy do zajęcia wobec Rzeszy Niemieckiej stanowiska innego, niż obecne,

a więc pośrednio dla Polski korzystnego — zwraca uwagę na to, że istnienie Austrji, jako państwa narodowo-niemieckiego poza Rzeszą i nie objawiającego tendencji antypolskich, lecz wprost przeciwnie, dającego ze względu na różne dawne wspomnienia i łączności osobiste nieraz nawet wyraz tendencjom, wprost dla nas przyjaznym, nie może być bez dodatniego znaczenia dla Polski, nie mówiąc już o tem, że Anschluss, jako taki, wzmacniając Rzeszę Niemiecką, nie może być traktowany jako fakt, dla Polski korzystny.

Zabrał następnie głos J. E. Ks. Arcybiskup Ropp mniejwięcej w następujących słowach:

„W dopełnieniu wywodów, wielce interesujących, pana ministra i innych przedmówców, pozwalam sobie zwrócić uwagę na to, że my wszyscy w Polsce jesteśmy jakby zahipnotyzowani przez Prusy i Prusaków; tymczasem, według mego zdania, powinnibyśmy zwrócić uwagę na to, że w samych Niemczech Prusacy są w wielu miejscach znienawidzeni.

Dzisiejszy centralizm w Niemczech nie da się na czas dłuższy przeprowadzić. Tysiącletnia przeszłość przemawia zawsze za Niemcami skonfederowanemi, a jeżeli spojrzymy na te organizacje, które mają za sobą przeszłość, idee, trwałość, które oszołomione mogły chwilowo dać się zwalczyć, ale które hitleryzm przetrwają, to oczy nasze zwrócą się do Niemców południowych i zachodnich, w których i obecnie hitleryzm nie wziął górę. Hitleryzm przemógł Niemcy protestanckie, ale w katolickich głębokich korzeni nie zapuścił. My przecież nie stanowimy w polityce rządu, ale mamy na myśli osobiste ustosunkowanie się obozu konserwatywnego do Niemców. Otóż, zdaje mi się, że powinniśmy, o ile od nas zależy, naprawić, mojem zdaniem, jeden z wielkich błędów traktatu wersalskiego, szanując Niemców, ale nie Prusaków—zamiast stanowiska tego traktatu, który gnębił wszystkich Niemców, a uszanował Prusaków, bo ich stanowisko w kraju wzmocnił.

Na uwagę pana ministra, że Hitler i Papen są katolikami, chciałbym odpowiedzieć, że Papen, choć jest dzisiaj wicekancelerzem, nie jest hitlerowcem, a Hitler, choć ze chrztu katolik, jest takim, jakich na nieszczęście mamy dużo i w Polsce".

Po krótkiem przemówieniu p. ministra Wielowieyskiego, który odpowiedział wyjaśniająco na niektóre szczegóły, poruszone w ciągu dyskusji, zabrał głos przewodniczący zebrania, reasumując ostateczny rezultat wywodów wszystkich mówców w tym niezmiernie ciekawym i charakterystycznym, wprost rewelacyjnym w naszych stosunkach fakcie, że wobec ostatniej przemiany, jaka w Niemczech zdaje się dokonywać, wyczuwa się w opinji tak poważnych przedstawicieli polskiej inteligencji, jacy są na dzisiejszym wieczorze zebrani, a których, poza przychylnym stosunkiem do „Naszej Przyszłości" i jej akcji, oraz ogólnym światopoglądem zachowawczym, po części nawet żadne bliższe stosunki nie łączą, pewien ton sympatji dla Niemiec, a może raczej dla okoliczności, że wzięły w Niemczech obecnie górę prądy katolickie, południowo-niemieckie, nad wrogim nam pod każdym względem duchem prusko-protestanckim, wyhodowanym w specyficznej szkole Hohenzollernów. W takiej sytuacji nie można się dziwić, że mimo wszelkich wyrażonych w toku dyskusji zastrzeżeń co do metod hitlerowskiego ultranacjonalizmu i co do niebezpieczeństw, jakie mogą z jego strony w przyszłości Polsce grozić, przebija jednak z przemówień mówców owa nuta jakgdyby sympatji.

Nie mniej jednak tak w tym, niezmiernie ważnym i skomplikowanym problemie, jak i we wszystkich innych, w których społeczeństwo polskie musi myśleć o odpowiedniej defensywie, stoi „Nasza Przyszłość" niezmiennie na stanowisku, że sedno każdej takiej sprawy dla Polaków i zarazem klucz do rozwiązania problemu leży bezwarunkowo w wewnętrznej tężyźnie społeczeństwa polskiego, w odpowiedniem uodpornieniu się zawczasu przeciw wszel-

kim zewnętrznym zakusom. Każdy problem zagraniczny, czy mniejszościowy, rozstrzygnie się ostatecznie po linji istotnej siły wewnętrznej, odporności i produktywnej aktywności społeczeństwa polskiego.

Ale, oprócz tego, musi polska myśl polityczna — nietylko oficjalna, ale i wykształconych sfer prywatnych — przygotowywać i wdrożyć zawczasu, na dłuższą metę, koncentrację dokoła Polski takich postronych sił przyjaznych, takiego bloku państw, w podobnem znajdujących się położeniu, aby zapewnić sobie i im także odpowiednie warunki wzmocnienia i bezpieczeństwa przeciw wszelkim ewentualnym konjunkturom niekorzystnym, które mogą grozić w niedalekiej już może przyszłości ze wschodu, czy z zachodu. Do tego celu służy właśnie wysunięta oddawna przez „Naszą Przyszłość" koncepcja bloku państw środkowo-wschodniej Europy, mającego objąć Małą Ententę, Polskę i państwa nadbałtyckie wraz z nieprzyjazna nam dotąd jeszcze niestety Litwą. Jest to myśl polityczna, bezspornie realniejsza dla nas od przeróżnych innych koncepcji sojuszniczych, której użyteczność i konieczność samo życie i rozwój stosunków międzynarodowych z roku na rok coraz bardziej wysuwa. A gdy taki blok zacznie dochodzić do skutku pod względem politycznym i gospodarczym, wówczas zarówno Polska, jak i mniejsi kontrahenci tego bloku nie będą zmuszani miotać się z dnia na dzień między różnemi mniej lub więcej niepewnemi, czy nawet rozpaczliwemi koncepcjami. Wówczas także i w Polsce skończy się antagonizm między najnowszą orjentacją proniemiecka i prorosyjską, który wytwarza tę zabawną, a raczej tragikomiczną sytuację — obustronnie nieco dziką — że jedni z Polaków pragną oprzeć się na hitleryźmie przeciw Rosji, a drudzy na bolszewikach przeciw zaborczemu imperjalizmowi Niemiec. Trzeba z tem raz skończyć i szukać realniejszego sojuszu bliżej, z jednej strony z Małą Ententą, z drugiej w przyjaznem dla Polski rozwiązaniu „problemu bałtyckiego", którego nieumiejętne, bezplanowe traktowanie sta-

nowi od szeregu wieków bardzo poważny szkopuł w utrwaleniu i zabezpieczeniu niepodległości państwa polskiego.

W związku z tem zebraniem dyskusyjnem, otrzymała Redakcja nasza dwa bardzo charakterystyczne listy, jeden z Łodzi, drugi z Wilna, od przyjaciół pisma, którzy, nie mogąc przybyć na zebranie, pragnęli wyrazić przynajmniej pisemnie swe poglądy na sytuację polsko-niemiecką. Oba te listy zamieszczamy poniżej dla tem lepszego scharakteryzowania panującej obecnie opinji. Dołączamy nadto krótki artykuł p. E. Schummera, uczestnika zebrania, doręczony nam wkrótce potem.

I.

LIST Z ŁODZI.

Dzisiaj szereg okoliczności utwierdza mnie w moich, dawniej już wyrażonych poglądach. Odnoszę wrażenie, że wobec bardzo niewyraźnego stanowiska mocarstw w sprawie zagwarantowania naszej granicy zachodniej następuje w tempie szybkiem zbliżenie między nami a Sowietami. Sojusz z Francją schodzi jakby na drugi plan wobec rozwijania się przyjaznych stosunków z Sowietami, po których polityka nasza spodziewała się tego, czego nie dał nam sojusz z Francją, t. j. bezpieczeństwa dla granicy zachodniej.

Taki rozwój uważam za niebezpieczny, zwłaszcza na dalszą metę, gdyż wobec ostatnich wydarzeń w Niemczech może on nas w pewnym momencie pozbawić wszelkich sympatji w Europie i przynieść nam opinję jedynych sprzymierzeńców bolszewizmu. Pozatem odbije się on także i na naszych stosunkach wewnętrznych, co zresztą już się zaznacza. Ostatnimi czasy, jak grzyby po deszczu, pojawiają się coraz to nowe wydawnictwa bolszewickie u nas, mające rzekomo na celu szerzenie idei gospodarczego zbli-

żenia polsko-sowieckiego, a w rzeczywistości służące propagandzie piatiletki na gruncie polskim.

Nie chciałbym zajmować stanowiska wobec hitleryzmu w Niemczech — uderza mnie w nim jednak zaciętość wobec „marksizmu", z której naprawdę wyciąga się tam wszystkie konsekwencje. Niemcy głoszą, że pod rządami Hitlera stanowią wał ochronny przeciw marksizmowi, za którym Europa będzie mogła spokojnie przeprowadzić również i swoją kurację z marksizmu. A Europa coraz gwałtowniej odczuwa potrzebę takiej kuracji i dlatego sympatje dla hitlerowskich Niemiec będą raczej wzrastały, niż słabły. Nie bez symptomatycznego znaczenia jest przebieg sprawy Westerplatte na terenie Ligi Narodów. Poprostu nikt nie poparł stanowiska Polski, chociaż zdawało się i niewątpliwie strona nasza liczyła na to, że wobec nowego reżimu w Niemczech czynniki Ligi Narodów zajmą stanowisko conajmniej krytyczne i nieufne.

W swoim czasie miałem wiele zastrzeżeń co do poglądów Sz. Pana Redaktora na zagadnienia gospodarcze. I dzisiaj niezupełnie je podzielam, ale zaczynam rozumieć, że tak zwany nowoczesny kapitalizm ery ponapoleońskiej zaczyna na dobre się załamywać. Kształtował się on, zwłaszcza w ostatnich dziesięcioleciach, pod silnym wpływem socjalizmu. Niektóre jego formy, jak np. spółka akcyjna anonimowa, to przecież jest formalna socjalizacja z charakterystycznemi dla niej zjawiskami, jak zanik poczucia odpowiedzialności, zamazywanie odpowiedzialności, usuwanie się za parawan kolektywu i t. p. Publiczność nie zorjentowała się w tych przeobrażeniach i nadal oszczędzała i oszczędności swoje lokowała w bankach anonimowych, powierzała je dyrektorom i prezesom banków, mając niekiedy zaufanie do ich nazwisk, a nie uświadamiała sobie, że nazwiska te nic już nie znaczą, że ci ludzie ponoszą za wkłady tylko formalną odpowiedzialność, że ich nie ukradną, ale nie ponoszą zgoła żadnej odpowiedzialności za to, w jaki sposób zużyją powierzone sobie depozyty, gdyż ta

faktyczna odpowiedzialność została zlikwidowana przy pomocy statutów, ustaw, rozporządzeń i t. p.

Dyrektor czy prezes banku, który wkłady publiczności zamienił na akcje przedsiębiorstw, w których zajął synekury, nie ponosi żadnej odpowiedzialności, gdyż „działał w myśl statutu i ustawodawstwa bankowego“. Nikt się go nawet nie zapyta, czy przedsiębiorstwa, które powstawały lub rozwijały się za pieniądze, złożone w jego banku, są potrzebne, czy nie, czy zastanawiał się nad tem, czy nie, nikt nie spyta się go, jakiem prawem, jako stróż depozytów, odgrywał rolę „działacza przemysłowego“.

Cały ten system nowoczesnego kapitalizmu nie ma nic wspólnego z zasadami prywatnej własności, zato bardzo wiele wspólnego z duchem marksizmu.

Przemysł, popierając Hitlera, który od pierwszej chwili występował przeciw przerostowi wpływów bankierskich i przeciw bankierom, finansującym z jednej ręki grynderstwo przemysłowe i politykę partji socjalistycznych, wiedział dobrze, co robi i dzisiaj z entuzjazmem wita rewolucję hitlerowską.

W tem świetle do pewnego stopnia zrozumiała się staje bliska współpraca ekonomiczna amerykańsko-sowiecka. W Ameryce dawno już niema przedsiębiorcy indywidualnego — grasują tam same anonimy, budujące za depozyty ciułaczy gigantyczne fabryki samochodów i gumy do żucia, stanowiące własność niczyją i beznadziejnie porzucane w chwilach kryzysu — fabryki, służące w gruncie rzeczy za narzędzie do wywłaszczania „kułaków“, t. j. średnich i drobnych właścicieli pieniędzy i innego mienia.

Hitler wysuwa hasła odrodzenia przedsiębiorczości indywidualnej i odpowiedzialnej i te hasła znajdują szerokie echo, mimo, że zagłusza je, a przynajmniej stara sie zagłuszyć jerychoński wrzask internacjonału marksistów i bankierów do spółki z różnymi prezesami i generalnymi dyrektorami, gromadzącymi złoto przy pomocy przedsię-

biorstw, do których nic sami nie włożyli i za które żadnej odpowiedzialności nie ponoszą.

Mam wrażenie, że Hitler zrealizuje to, co Mussolini przeczuwał, ale czego sobie jeszcze nie uświadamiał — że Hitler, to jest dalszy krok na drodze, na którą wszedł Mussolini. We Włoszech rewolucja miała przedewszystkiem charakter polityczny, w Niemczech z miejsca nabiera charakteru ekonomicznego.

Gdyby pozwolić fantazji bujać, to możnaby pomyśleć, że lawina, którą ruszyła z miejsca ongiś rewolucja francuska, rozprysła się i znalazła swój ponury kres w rewolucji bolszewickiej w Rosji. Teraz zaczyna się gruda toczyć w odwrotną stronę i wchodzimy w okres nowej ery gospodarczej i społecznej, którą cechować będzie pieczołowite hodowanie wszelkiej odrębności indywidualnej — tak, jak poprzednią erę cechowało gorliwe zacieranie śladów wszelkiego indywidualizmu. Nawet niepodobna ustalić, kto właściwie ponosi odpowiedzialność za wybuch wojny i kto bezpośrednio doprowadził do jej wybuchu!

Pod wpływem tych myśli wydaje mi się, że źle robimy, szukając kontaktów i zbliżenia z gasnącym światem i uporczywie odgradzając się od świata powstającego. Możemy doczekać się, że świat położy krzyżyk na nas, jako na niezdolnych do życia.

Prócz tego, biorąc rzecz praktycznie i realistycznie, sojusz z Rosją mieści w sobie dla nas niebezpieczeństwo utracenia niepodległości, a więc utracenia wszystkiego — porozumienie zaś z Niemcami groziłoby nam ewentualnie tylko utraceniem skrawka terytorjum.

Zresztą jeszcze niewiadomo, czy istotnie by groziło. To należałoby dobrze zbadać. Powinniśmy dążyć do tego, aby rzecz między nami a Niemcami została wyjaśniona ze wszystkiem, by zostało ustalonem, czy porozumienie jest możliwem i na jakich warunkach. Bo, jak dotychczas, mówi się tylko po jednej i drugiej stronie, że porozumienie jest wykluczone — ale nikt nie próbował go osiągnąć.

To wszystko, co piszę, jest strasznie niepopularne, a może nawet niebezpiecznie z tem się pokazywać. Przekleństwem naszem jest to, że zawsze uprawialiśmy politykę strusią i nie chcieliśmy rzeczom spoglądać w oczy. Pod tym względem nic się nie zmieniło i to jest — mojem zdaniem — niedobrze.

Zauważyłem, że ostatnio zaczęto u nas stosować poprostu perfidną taktykę wobec każdego, kto chciałby objektywnie ustosunkować się do poczynań Hitlera w Niemczech. Jeżeli tylko wspomnieć, że Hitler znalazł właściwą drogę i że takie zwalczanie marksizmu w każdej dziedzinie życia społecznego, jakie widzimy w Niemczech, prędzej czy później doprowadzi niewątpliwie do pomyślnych wyników gospodarczych, chociażby dlatego, że wyeliminowani zostają od głosu i wpływu ludzie, którzy zawsze wołali o interwencję państwową, gdy gdzieś zagrażała plajta wielkiego przedsiębiorstwa lub koncernu — to natychmiast dostaje się w twarz insynuację: „Tylko zły obywatel Polski może chwalić Hitlera, który dąży do odebrania nam Pomorza“.

Otóż obawiam się, żeby ta formuła nie została uznaną za oficjalne stanowisko naszych władz i w myśl niej oceniane wszelkie głosy o wydarzeniach w Niemczech [1].

Tak myślę, ponieważ widzę, że to, co się dzieje w Niemczech w dziedzinie zagadnień gospodarczych i socjalnych, jest ogromnie nie na rękę naszej polityce w tych dziedzinach. Za wszelką cenę chciałoby się tych rzeczy nie widzieć i nie słyszeć, bo byłby to niesłychany kłopot, gdyby trzeba było ustosunkować się do nich. My przecież tak nieskończenie daleko jesteśmy od takiego kursu—to byłaby dla nas rewolucja jeszcze większa, niż w Niemczech.

Mam przykład na strajku w Łodzi. Z „Prawdy“ zna Sz. P. Redaktor jego tło. Naraz zachciało się socjalistycznym związkom przekreślić wszystko, co stało sie od 1928

---

[1] Redakcja nie podziela tej obawy szanownego autora.

roku i zażądały powrotu do płac z roku 1928, jako najwyższych powojennych. Oznaczałoby to podwyżkę obecnych płac o przeciętnie 25 procent, gdyż w okresie od 1932 płace zostały obniżone o 15 do 20 procent. I ani rusz inaczej. Tylko płace z 1928 roku! Przemysł zgodził się już skasować obniżki poniżej 20 procent i tym sposobem niektóre płace podwyższyć — tamta strona ani krok nie schodzi ze swoich żądań. Strajk w całym przemyśle trwa trzy tygodnie. Robotnicy chcą pracować, bo rozumieją beznadziejność takiego strajku — mocno politycznego, ale silne bojówki, złożone z bezrobotnych, a nazwane „komisjami strajkowemi", bronią wejść do fabryki i niemiłosiernie biją chętnych do pracy. Policja nie ingeruje, a jeżeli ingeruje, to w ten sposób, że rozpędza wszystkich i oczywiście także nikogo nie wpuszcza do fabryk.

Magistrat łódzki asygnuje stokilkadziesiąt tysięcy na żywność dla rodzin strajkujących, aby „umożliwić im zwycięskie przetrzymanie walki". Asygnuje się te pieniądze bez uchwały rady miejskiej i bez aprobaty władzy nadzorczej. Tworzy się prócz tego komitet pomocy rodzinom strajkującym i tapetuje miasto afiszami z podpisem prezydenta miasta, wzywającymi do składek. Komisje ze związków chodzą po biurach i zbierają „grzecznie" składki od pracowników biurowych.

Organizuje się jednodniowy strajk powszechny w całem mieście. A władze nic — zaś w publicznych enuncjacjach i wywiadach prasowych przedstawiciele władz starają się być „objektywni" i nie szczędzą wyrazów „zrozumienia" dla „walki ekonomicznej włókniarzy".

Jest to wszystko razem jakieś fatalne nieporozumienie — jakiś dziwny pęd do własnej zguby, bo przecież jutro z takiemi samemi żądaniami wystąpią kolejarze, potem urzędnicy i Bóg wie, kto jeszcze. Cała akcja rzadowa nie widzi, bo nie wypada tego widzieć i przeciwdziałać temu, to pachniałoby Mussolinim, albo Hitlerem... Więc gwałci

się przemysłowców, aby jednak cofnęli obniżki, a tamtę stronę prosi się błagalnie, aby coś niecoś darowała z 1928 roku.

Oto, dlaczego nie można u nas mówić o hitleryźmie.

II.

LIST Z WILNA.

I. Jeżeli rozchodzi się o sam problem, to sądzę, że dla jego zrozumienia należy sobie przypomnieć genezę antagonizmu polsko-niemieckiego. Rząd rosyjski, mając w r. 1863 zabezpieczone tyły przez porozumienie rosyjsko-pruskie, odpowiedział zuchwałą notą Gorczakowa na notę Anglji, Francji i Austrji, poruszającą sprawę polską, a następnie stłumił powstanie polskie. Przez długie lata niebezpiecznie było pod zaborem rosyjskim źle mówić o rządach pruskich lub też wspominać o ucisku pruskim; natomiast cały wysiłek rządu rosyjskiego zmierzał do tego celu, aby w oczach Polaków z Królestwa Kongresowego wzbudzić uprzedzenie do Galicji, gdzie uzyskaliśmy swobody narodowe, dużą samodzielność polityczną i nadzieję, że w razie wybuchu wojny Austrja, a raczej Habsburgowie, poruszą sprawę polską, aby koroną polską zrównoważyć straty polityczne, wywołane wyparciem ich z Niemiec i Włoch. Znamiennem jest, że Niemcy pisali, iż rozpoczęli w Austrji „den Wiederaufbau des polnischen Staatswesens"; dzienniki rosyjskie, cytowane przez E. Paszkowskiego w „Dzienniku Kijowskim", nazywały Austrję państwem austro-węgiersko-polskiem, a mimo tego zręczna propaganda rosyjska potrafiła w ludności polskiej w Królestwie Kongresowem zaszczepić uprzedzenie i pogardę dla rodaków z Galicji, której w Królestwie przed r. 1885 całkiem nie było. Sam pamiętam, jak moi znajomi w Królestwie bez wyjątku oddawali córki do szkół klasztornych w Gali-

cji, a najstarszych synów (wolnych wówczas od wojska) do gimnazjów galicyjskich.

Sytuacja zmieniła się dopiero po przegranej wojnie rosyjsko-japońskiej. Rosja pomyślała wówczas o poszukiwaniu odszkodowania na Zachodzie, zwłaszcza na Bałkanie i odrazu zrozumiała, jakim atutem w propagandzie na Bałkanie wśród Słowian będzie pozyskanie i zadowenie Polaków. Do tego przyłącza się niebawem zaostrzenie stosunków między Rosją a trójprzymierzem. To też rzad rosyjski pozyskuje sobie narodową demokrację, jako główną wówczas przedstawicielkę narodu polskiego pod panowaniem rosyjskiem, a równocześnie nastraja ją antyniemiecko, a przytem umie bardzo zręcznie wyzyskać obawę sfer przemysłowych Królestwa Polskiego, którym w razie oderwania od Rosji Królestwa groziłaby utrata nadzwyczaj pojemnych rynków rosyjskich oraz zabójcza konkurencja przemysłu niemieckiego. Taki nastrój antygermański Królestwa miał dla Rosji te dobre strony, że odwracał uwagę ludności polskiej od ucisku rosyjskiego, a nadto utrudniał Niemcom operacje wojskowe w Królestwie w razie ewentualnej wojny. Pamiętamy wszyscy, że hipnoza antygermańska ludności w Królestwie doszła w czasie wojny do punktu kulminacyjnego i że skutkiem tej hipnozy narodowa demokracja była wówczas gotową wyrzec się niepodległości Polski, byle tylko rządy rosyjskie chroniły Polaków przed Niemcami.

II. Nie zamykając otóż oczu na istniejącą na niejednym punkcie sprzeczność interesów polsko-niemieckich, ograniczyć chciałbym się do zaznaczenia swego stanowiska co do kwestji, jakie ma być zasadnicze n a s t a w i e n i e p r y w a t n y c h s f e r s p o ł e c z e ń s t w a p o l s k i e g o pod względem politycznym i gospodarczym wobec tendencji i rozwoju wypadków w Niemczech, w dążeniu do jakiejś normalizacji stosunków sąsiedzkich i przy uwzględnieniu specjalnej psychiki niemieckiej.

Przedewszystkiem, mojem zdaniem, musimy sobie zdać

sprawę, że ten histeryczny, antygermański nastrój, który ogarnął społeczeństwo polskie w Królestwie przed wojną, był dziełem ręki rosyjskiej, chcącej utrwalić swe panowanie nad Polską. Dzisiaj liczenie na to, że Rosja bronić nas będzie przed ekspansją niemiecką, zwróconą ku wschodowi i że otwarcie rynków rosyjskich dla naszego przemysłu przywróci przedwojenny dobrobyt, byłoby równoznaczne z wyrzeczeniem się przez nas niepodległości, a przecież pogląd taki ma, niestety, u nas dość licznych zwolenników.

Również liczenie na Francję, jako na sprzymierzeńca przeciwko Niemcom, byłoby tylko łudzeniem siebie samych, gdyż we Francji sfery posiadające są zwolennikami zbliżenia do Niemiec z przyczyn gospodarczych (dla korzyści, które daje kooperacja gospodarcza niemiecko-francuska), lewica czyni to samo z obawy przed wojną, a sfery wojskowe francuskie zdają sobie dobrze sprawę, że siła militarna Francji zmniejsza się skutkiem zmniejszania się liczby ludności i skutkiem silnego wzrostu komunizmu, a nadto liczą na to, że załagodzenie stosunków francusko-niemieckich da Francji swobodę działania wobec jeszcze groźniejszego jej rywala, mianowicie Włoch. W tym stanie rzeczy Francja spodziewa się, że zwrócenie ekspansji Niemiec ku Wschodowi, a w szczególności zajęcie się przez nich sprawą Pomorza, odwróci ich myśl od ekspansji ku Zachodowi, ku Oceanom i przeto doprowadzi do tak przez Francję pożądanej współpracy francusko-niemieckiej.

Pozostawiając naszemu Ministrowi Spraw Zagranicznych kierownictwo dyplomatyczne polityką zagraniczną Polski i stwierdzając, że niestety chwila obecna mało nadaje się do szukania porozumienia z Niemcami, czującymi dziś znowu całą swą siłę, powinniśmy przedewszystkiem zaniechać w prasie ciągłych wycieczek przeciwko Niemcom i zaogniania stosunków polsko-niemieckich przez drażnienie Niemiec. Podczas swego pobytu w Hadze w sierpniu 1932 widziałem, że francuscy uczestnicy Kongresu prawa porównawczego wprost skakali przed przybyłymi

na Kongres uczonymi niemieckimi; kiedy zaś jeden z profesorów niemieckich, jako referent genralny, bronił tezy, że za podstawę prac nad unifikacją prawa prywatnego należy wziąć kodeks cywilny niemiecki i prawo anglosaksońskiego, a ja w dyskusji zauważyłem, że dziś na kontynencie europejskim istnieje bardzo znaczne zbliżenie pomiędzy kodeksami cywilnymi poszczególnych państw skutkiem oparcia ich wszystkich na prawie rzymskiem i że należy tylko dążyć do wyrównania nieznacznych stosunkowo między tymi kodeksami istniejących różnic — to na sali powstało ogólne zaniepokojenie, czy referent — Niemiec — nie będzie się czuł dotknięty mojem wystąpieniem i dopiero gdy zobaczono, że część Niemców (zwłaszcza Niemców z południowych Niemiec) przyznaje mi słuszność, że sam referent nie czuje się dotknięty moją opozycją i po posiedzeniu ze mną przyjaźnie rozmawia, w t e d y d o p i e r o z b l i ż y l i s i ę d o m n i e F r a n c u z i i p o c z ę l i m i p r z y z n a w a ć s ł u s z n o ś ć. Zauważyłem również niejednokrotnie, że nieprzejednanie wrogie stanowisko Polaków i prasy polskiej wobec Niemiec, rozgłaszanie i podkreślanie przez naszą prasę wyłącznie ujemnych stron obecnego stanu Niemiec, przy przemilczaniu stron dodatnich, szkodzi nam w wysokim stopniu zagranicą, bo zagranica szczerze spragniona jest pokoju (a przynajmniej bardzo spragniona jest Anglja i Francja), obawia się zatem, że napięcie stosunków niemiecko - polskich może doprowadzić do zatargu, a widząc niemożność zaspokojenia stron obydwu, t. j. Polski i Niemiec, woli zaspokojoną mieć stronę silniejszą (militarnie, gospodarczo i kulturalnie), t. j. Niemcy.

III. Dążąc do załagodzenie stosunków polsko - niemieckich, powinniśmy się zbliżyć do tych sfer w Niemczech, które nie są przejęte niechęcią do nas, a znajdują się w wielkiej liczbie zwłaszcza w południowych Niemczech oraz na północy, w Westfalji, wśród tamtejszych katolików. Ponadto powinniśmy więcej interesować się nauka i ży-

ciem gospodarczem Niemiec, niż to czynimy obecnie. Niemcy są niewątpliwie w przeważnej swej części nieprzyczylnie nastrojeni względem Polaków i dlatego śledzą bacznie wszystkie objawy naszego życia, nasze prawodawstwo, naszą judykaturę, naszą literaturę naukowa i t. d. (np. nowa polska procedura cywilna, obowiązująca od 1.I, 1933, już pojawiła się w tłomaczeniu niemieckiem wraz z krótkim komentarzem. My natomiast wrogie nasze stanowisko względem Niemców zaznaczamy w ten sposób, że podkreślamy z dumą naszą łączność z kulturą łacińskiej Francji, ograniczając się w istocie do posługiwania się książką naukową i fachową rosyjską, a naukę niemiecką, bardzo dziś wysoko przez Francuzów cenioną, lekceważymy, nie siląc się jej poznać. Takie stanowisko nie dodaje nam powagi nawet w oczach samych Francuzów.

Następnie, winniśmy dążyć do podniesienia i udoskonalenia naszego przemysłu, który przyzwyczaił się żyć i rozwijać pod ochroną „szerokiego toru" oraz wysokiej prohibicyjnej taryfy celnej i skutkiem tego pozostal znacznie w tyle za przemysłem Niemiec, Czech i t. d. Dziś przemysł ten powinien zdać sobie sprawę, że jeżeli chce skutecznie konkurować z przemysłem niemieckim, czy czeskim na terenie Rosji, to może to uczynić z powodzeniem tylko o tyle, o ile mu dorównywać będzie, a w takim wypadku odpadnie znowu walka z Niemcami, czy Czechami o dostawę do Bolszewji, przy której uzyskanie zamówień dla Bolszewji okupujemy kosztownemi dla nas udogodnieniami kredytowemi i t. d., rozgoryczając bardzo Niemców tą, w ich oczach nielojalną, konkurencją. Nie można przytem zapominać, że zmężnienie naszego przemysłu pozwoliłoby nam obniżyć stawki celne na zagraniczne wyroby przemysłowe, co również ułatwiłoby nasze rokowania handlowe z Niemcami, a ponadto byłoby bardzo wielką ulgą gospodarczą dla zbiedniałego dziś społeczeństwa, cierpiącego skutkiem „rozpięcia nożyc między cenami produktów rolnych a przemysłowych".

Jeżeli — jak to powyżej zaznaczyłem — były w latach poprzednich chwile, bardziej korzystne dla porozumienia z Niemcami od chwili obecnej, to nie można zapominać, że dziś Niemcy są zajęte walką wewnętrzną, a nadto mają przeciwko sobie zwrócone czynniki międzynarodowej lewicy i międzynarodowego żydowstwa, co utrudnia ich sytuację międzynarodową. Po złamaniu opozycji lewicowej stanowisko Niemiec wzmocni się znacznie, a my nie powinniśmy się łudzić, jakoby pakt nieagresji z Rosją dawał nam jakiekolwiek zabezpieczenie wobec perfidji tego przeciwnika, popierającego dzisiaj u nas wydatnie ruch komunistyczny, budującego silne fortyfikacje nad granicami Polski, drogi militarne na Wołyniu, osadzającego na roli na swej zachodniej granicy żołnierzy czerwonej armii i rozbudowującego w czasie piatiletki gospodarczej prawie wyłącznie przemysł, mogący służyć celom wojennym. W dodatku obecny stan rzeczy, istniejący we Wschodniej Europie, nie da się długo utrzymać skutkiem przecięcia granicą polityczną narodów białoruskiego i ukraińskiego, których odłamy przy każdej sposobności dążyć będą do połączenia się z sobą, wywołując w jednem lub drugiem państwie irrydentę. Tak samo źródłem zamieszek międzynarodowych może się stać na wschodzie Europy istnienie drobnych, gospodarczo niesamodzielnych państewek, utrudniających Rosji dzisiejszej dostęp do morza, np. Łotwa.

Dlatego też powinniśmy przez załagodzenie i uregulowanie naszych stosunków z Niemcami przygotować sobie swobodę działania na Wschodzie, aby nie zostać zaskoczonymi przez wypadki polityczne.

Przy ewentualnych rokowaniach z Niemcami sytuacja może się przez to skomplikować, że przy zainicjowanej obecnie przez Mussoliniego rewizji traktatów pokojowych może wypłynąć sprawa Pomorza, a *przy tej sprawie sympatje Francji i Anglji będą po stronie Niemiec.* Otóż broniąc się do ostateczności przed postawieniem sprawy Pomorza na po-

rządku dziennym rokowań międzynarodowych, winniśmy — mojem zdaniem — w razie postawienia jej wbrew naszym protestom na porządku dziennym, nie upierać się przy Pomorzu, lecz domagać się tylko zasadniczo zabezpieczenia Polsce dostępu do morza i to dostępu takiego, którego nie mogłaby przerwać pierwsza lepsza baterja ciężkiej artylerji, umieszczona na terytorjum sąsiedniego państwa, tak, jak to ma się sprawa przy obecnym dostępie Polski do morza.

Ponadto w razie rokowań politycznych z Niemcami należałoby dążyć do porozumienia się z niemi co do rozgraniczenia sfery interesów między niemi a Polską na Wschodzie i południowym Wschodzie Europy. Mianowicie przy takiem porozumieniu winna być określona sfera, w której Polska pozostawia Niemcom swobodę ekspansji gospodarczej i politycznej, przy równoczesnem oznaczeniu granic tej sfery, w której Niemcy pozostawiają Polsce swobodę ugruntowania swych wpływów politycznych i ekspansji gospodarczej. Jeszcze przed kilku laty odzywały się w Niemczech głosy, przychylne takiej koncepcji, a mianowicie życzenia, aby Polska dla zachodniej Europy nie była tamą, lecz mostem na Wschód, a jest zupełnie możliwem, że i dzisiaj jeszcze takie koncepcje znajdą w Niemczech zwolenników.

III.

NIEMCY NA ROZDROŻU.

Posępna uwertura.

Rewolucję bolszewicką zrobiło zaledwie trzydzieści tysięcy rosyjskich komunistów. Dwieście tysięcy faszystów zdobyło władzę dla Mussoliniego. Jeszcze przed dziesięciu laty grupa ambitnych polityków niemieckich, zawiązawszy nowe stronnictwo polityczne pod firmą „naro-

dowych socjalistów", wywoływała tylko pobłażliwy uśmiech i lekceważenie.

Dopóki stronnictwo to liczyło tylko setki i tysiące ludzi—było ono mrzonką i utopją. Skoro uwierzyły w jego program setki tysięcy ludzi — stało się programem politycznym. A kiedy pod sztandarem swym zjednoczyło miljony wyborców—od dnia 5 marca poczynając, stało się rzeczywistością. I to rzeczywistością, nader groźną dla pokoju światowego.

Czas pokaże, czy wiedeński „malarz pokojowy", łączący w swej powierzchowności groteskowe rysy Charlie Chaplina z bezczelną butą Prusaka — będzie tylko wciąż demagogiem, pasjonującym motłoch dynamiką swej retoryki, czy też obudzi się w nim rzetelny mąż stanu, który, niczem nowoczesny Mojżesz, wyprowadzi naród teutoński z domu niewoli, albo pogrąży go jeszcze głębiej w niedoli.

Ostatnie anty-semickie wystąpienia hitlerowców, rozzuchwalonych i oszołomionych władzą, zdają się przemawiać za tem, iż rząd obecny odznacza się arcy-mocną ręką. Pozwolić sobie na bezkarne ciemiężenie milionów obywateli żydowskich, konfiskować ich majątki, zagarnąć wszystkie oszczędności belferskie wszechświatowej sławy uczonego, Alberta Einsteina, wyrzucić z kierownictwa berlińskiego teatru inną sławę europejską, Maxa Reinhardta, zadrzeć z całą żydowską finansjerą, masonerją, sprowadzić protesty i oburzenie Ameryki, Ligi Narodów, Rosji i krajów pomniejszych — na to potrzeba było zuchwalstwa, bezceremonjalności lub lekkomyślności. Dokąd one Niemcy przywiodą?

Na pytanie to usiłuje dać odpowiedź głośny publicysta amerykański, współpracownik „New York Evening Post", autor kilku kapitalnych książek, Mr. H. R. Knickerbocker [1]).

---

[1]) H. R. Knickerbocker: „Niemcy na rozdrożu". Przełożył prof. dr. Z. Szymanowski. Warszawa.

Z polecenia swego pisma udał się on do Niemiec, sumiennie zbadał stan ekonomiczny kraju, zjeździł Rzeszę wszerz i wzdłuż, odbył szereg interesujących rozmów, przeprowadził żmudne studja statystyczne — w rezultacie wydał to wszystko w książce, z miejsca przełożonej na wiele języków europejskich. Tytuły rozdziałów tei pracy nie odznaczają się zbytnią wyobraźnią. Poprostu — nazwy poszczególnych miast. Niejako — objektywne, reportażowe fotografje. Berlin. Falkenstein. Jena. Weimar — etc. Wreszcie syntetyczne zakończenie.

Knickerbocker pisał dla swoich amerykańskich czytelników, jednakowoż miał na względzie również interesy innych krajów. Jego stanowisko jest jasne. Zastanawia się nad tem, co się może stać z dolarami Stanów Zjednoczonych, inwestowanymi w niemieckim przemyśle. Stany Zjednoczone bowiem ulokowały w Niemczech 4 m i l j a r d y d o l a r ó w, co stanowi pięć % całego dochodu U. S. A.

Dlatego też Ameryka ma wszelkie dane, aby ze szczerym niepokojem śledzić wydarzenia niemieckie. Coby się mogło było stać, gdyby w Niemczech wybuchł komunizm? Jaki los czeka tę fantastyczną sumę, jeśli w Niemczech wróci monarchja? Do czego zmierza Hitler?

„Nie narażając się na zarzut uprzedzenia, można powiedzieć, że Niemcy są dziś pod względem przemysłowym największą potęgą, że pod względem finasowym są krajem najbardziej niepewnym, pod względem politycznym — najbardziej rozdartym, a pod względem społecznym są jak beczka z prochem, którą lada iskra może rozsadzić“. Oto dość żałosny introitus autora, wyrażony w przedmowie. Po tej uwerturze autor spisuje tę posępną symfonję, jaka rozbrzmiewa dziś w całych Niemczech, chwyta ją na czułą membramę rasowego dziennikarza i odtwarza z talentem.

Nędza i kontrasty.

Powiedzmy odrazu — jego opis Berlina niczem się nie różni od opisu Moskwy z czasów pierwocin bolszewizmu. Zwykły cudzoziemiec czy turysta, który przybywa do Berlina, nawet przez chwilę nie przypuszcza, o jak wielką ociera się nędzę, skrzętnie kryjącą się gdzieś w zaułkach Moabitu czy West'u. Na oko nic się bowiem nie zmieniło. Ten sam błyszczący asfalt Budapester-strasse, oślepiające neony, które reklamują co krok modny dancing, ciekawy film czy elegancką restaurację. Ten sam majestat Siegesallee, wysadzanej kamiennemi figurami królów, elektorów i cesarzy. Ta sama tryumfalna brama Brandenburska. Ten sam pałac cesarski, jakby czekający na przybycie suwerennego pana-uciekiniera i te same orły cesarskie na moście szprewskim, którym przed kilkunastu dniami przywrócono ich monarchiczne emblematy.

Ale co kryje się pod tym zewnętrznym szychem i blichtrem stolicy?

Autor zwiedza przedmieście Berlina i wstępuje do jadłodajni. „Za żelazną kratą, oddzielającą bufet, stały talerze z pieczoną koniną i kiełbasami z końskiego mięsa, popstrzone przez muchy. Goście lokalu byli głodni, siedzieli przy stołach z oczyma, wlepionemi w koninę za kratą. Była pora obiadu, lecz nikt niczego nie zamawiał. Głód wszystkich tych ludzi był niezależny od pory dnia"... Wystarczy udać się do północnej dzielnicy, aby ujrzeć bardziej jeszcze przejmujące sceny, jakby żywcem wyjęte z obrazu Goyi czy naszego Grottgera.

To nic nie przeszkadza, że Berlin się bawi. Że na Südende nocne lokale są zapchane, że w hotelu Eden koło północy ani szpilki nie da się wetknąć.

Autor napróżno chodził od jednego lokalu do drugiego. „Nie mamy już wolnych miejsc, panie!" brzmiała wszędzie odpowiedź. Ogólna liczba nocnych, luksusowych lokali, objętych spisem policyjnym, wynosi w Berlinie 120.

W r. 1924 ambasador angielski w Berlinie, lord d'Abernon, zapisał w swym dzienniku uwagę przyjaciela, bystrego obserwatora, że w żaden sposób nie można pojąć olbrzymiego sprzeciwieństwa pomiędzy rzeczywistą nędzą, panującą wśród szerokiej warstwy ludności niemieckiej, a rzucającym się w oczy zbytkiem i żądzą marnotrawstwa w pewnych kołach Berlina. Dziś widać to samo. Jedynem wytłumaczeniem tego stanu rzeczy wydaje się pruski egoizm, zachłanność, żądza używania oraz kult silnych, a pogarda dla słabych, którzy nie umieją sobie radzić.

Jakie znaczenie miała wizyta autora w najbiedniejszej dzielnicy Berlina? Oto rozpacz zgłodniałych mas sprzyja rozwojowi partji maksymalistycznej, komunistycznej. Proporcjonalnie bowiem do wzrostu liczby bezrobo-czych rośnie ilość głosów radykalnych. Berlin zajmuje pierwsze miejsce na liście bezrobocia i radykalizmu wśród wielkich miast niemieckich.

Wyżywienie robotnika moskiewskiego jest lepsze, niż wyżywienie niemieckiego bezroboczego. To wystarczy, aby pięciu miljonom niemieckich bezroboczych przypomnieć, iż bolszewicki robotnik ma pracę i lepszą strawę. Czy to nie najskuteczniejsza forma propagandy bolszewickiej!

Bezrobotni.

Niemcy mają zgórą 5 miljonów bezroboczych, t. j. dwunastą część niemieckiej ludności.

Z czegóż żyje ta falanga przymusowych głodomorów?

Około 1.200.000 bezrobotnych pobiera z funduszu ubezpieczenia od bezrobocia przeciętnie 55 marek i 64 fenigi miesięcznie. Miljon trzysta dziewięćdziesiat tysięcy bezroboczych otrzymuje przeciętnie po 46 marek, gdyż utracili oni już prawo do zapomogi z funduszu ubezpieczenia. Półtora miljona ludzi dostaje zasiłki z opieki społecz-

nej w wysokości 29,68 marek. Ci wyczerpali już swe uprawnienia do zasiłku z funduszu kryzysowego.

Z górą 700.000 bezrobocznych żyje bez żadnych zasiłków.

Jeżeli przyjąć, że każdy bezroboczy ma na utrzymaniu tylko dwie osoby, otrzymamy przerażającą cyfrę 15 miljonów ludzi, którzy odżywiają się zbyt skąpo, aby żyć, a zbyt obficie, aby umrzeć. Trzeba 10 lat takiego nędznego życia, aby móc umrzeć z wyczerpania organizmu!

Nad drzwiami napis: „Ognisko dla mężczyzn — łóżko po 50 fenigów“. W izbie siedzi sześciu ludzi. Śpią przy stole, oparłszy głowę na rękach. „Czemu nie idą do pustych łóżek“? Kelner odpowiada, iż żaden z nich nie ma 50 fenigów. Wysoki, młody mężczyzna otworzył drzwi. Chuda jego szyja owiązana jest podartym szalikiem. Podchodzi od jednego kelnera do drugiego, ofiarowując na sprzedaż koszulę, kiedyś frakową. Chce w ten sposób zdobyć pieniądze na kupno końskiej kiełbasy. Nie znalazł kupca. Komu dziś tutaj potrzebna frakowa koszula! Sam był bez koszuli.

A tuż obok — inny zupełnie Berlin. Berlin dancingów, teatrów, kabaretów. W świeżo zbudowanym barze „Haus Vaterland“ na Potsdamer - Platz zmieścić się może 6.000 osób!

Autor stwierdza na podstawie statystyki, iż naogół warunki żywnościowe w Niemczech nie pogorszyły się w porównaniu z latami ubiegłemi. Warunki mieszkaniowe zaś lepsze są dziś, niż w latach inflacji. „Co dotyczy piwa, tego narodowego napoju Niemców, to w r. 1931 na głowę mieszkańca przypadało 74,7 litra, podczas gdy w r. 1913 — 102,1 ltr.“. Ponieważ litr piwa kosztuje dziś przeciętnie 70 fenigów, przeto Niemcy wydają rocznie na piwo prawie dwa razy tyle, ile wynosi roczna rata odszkodowań podług planu Owena Young'a.

Niemcy do czasu dojścia do władzy Hitlera stały na krawędzi rewolucji. Na wędzidłach zgłodniałe masy trzymały tylko silne rządy wykonawcze. Lecz i rzad Papena i rząd Schleichera okazały się za łagodne. Nie dawały one gwarancji utrzymania status quo. Dlatego to, z obawy przed rosnącą w siłach partją komunistyczną, marszałek v. Hindenburg zdecydował się — nie bez wstrętu i obawy — powierzyć władzę przywódcy najsilniejszej aktualnie partji, owemu dawnemu „malarzowi pokojowemu", którego jeszcze tak niedawno potraktował jak smarkacza i warchoła.

Spengler i Hitler.

Knickerbocker odbył nader ciekawe rozmowy ze słynnym pacyfistą, Oswaldem Spenglerem, oraz z najzagorzalszym imperjalistą, Adolfem Hitlerem, przed jego dojściem do władzy. Rozmowy te rzucają ciekawe światło na panujące w Niemczech stosunki i pojęcia.

Najwybitniejszy współczesny historjozof Niemiec, O. Spengler, oświadczył, że — jego zdaniem — Francja powina zgodzić się na skreślenie odszkodowań. Nie omylił się. W Lozannie Francja zgodziła się zmniejszyć reparacje ze 132 miljardów do 3 milajrdów marek. „Jeżeli odszkodowania będą skreślone—mówił Spengler—i Francja nie wkroczy do Niemiec, to może będziemy w stanie zapłacić nasze długi prywatne. Zależy to jednak od innych czynników".

Adolf Hitler zaś powiedział:

„Uznajemy długi prywatne i pragniemy je spłacić. Mam tylko zastrzeżenie co do ich oprocentowania. Stopa procentowa pożyczek zagranicznych Rzeszy zależna była od warunków, w jakich zaciągaliśmy pożyczkę".

Mówił to, jak aktor, który recytuje rolę. W jego gabinecie na biurku stoi rzeźba, wyobrażająca Mussoliniego.

Nad głową Hitlera widnieje obraz, przedstawiający Wielkiego Fryderyka, a na ścianie przeciwległej — malowidło, obrazujące bitwę we Flandrji. Na biurku, obok rzeźby Mussoliniego, inna rzeźba: olbrzym, spętany łańcuchami. I podpis: „Niemcy w niewoli".

„Oczekiwałbym — ciągnął Hitler — że Stany Zjednoczone zrozumieją wreszcie, iż taki traktat, jak wersalski, który doprowadził do takiej sytuacji, jak obecna, w 14 lat po wojnie, nie może być utrzymany, że jest on zgubny dla interesów Ameryki i właśnie ze względu na nią musi być skorygowany".

Traktat wersalski jest w Niemczech znienawidzony zarówno przez prawicowców, jak i przez komunistów, tylko porządek kolejny objektów nienawiści tych dwuch antypoidalnych partji jest nieco inny.

Socjaliści narodowi nienawidzą szeregu instytucji w następującym porządku:

1. komunistów,
2. żydów,
3. socjalistów,
4. Francji i jej sojuszników,
5. traktatu wersalskiego.

Lista komunistycznych objektów nienawiści przedstawia się następująco:

1. socjaliści narodowi,
2. policja,
3. socjaldemokraci,
4. kapitaliści i ich sojusznicy,
5. traktat wersalski.

Miasta przemysłowe.

Więc najpierw — Jena. Największa w świecie fabryka optyczna. Okazuje się, że Zakłady Zeissa stanowią materjał o pierwszorzędnej doniosłości dla oceny rozwoju przemysłowego Niemiec. I tutaj — mimo odrębnych

warunków produkcji — obroty spadły o 40%. Organizacja tych zakładów opiera się na zgoła odmiennych zasadach, niż inne przedsiębiorstwa. Zakłady te, to nie przedsiębiorstwo, a fundacja. System, stosowany w tych zakładach, Knickerbocker nazywa kapitalizmem komunalnym. Robotnicy są zainteresowani w produkcji. Z końcem roku budżetowego część nadwyżki dzieli się pomiędzy robotników na zasadzie jednolitej normy procentowej, proporcjonalnie do wysokości zarobków. Dyrekcja zakładów, w myśl statutu fundacji, nie może zarabiać więcej ponad pewną, ściśle określoną normę. Pensja dyrektora nie może przekraczać dziesięciokrotnego, przeciętnego zarobku 24-letniego, zawodowego robotnika, od trzech lat pracującego w zakładach. Nadto kierownicy nie mają prawa uczestnictwa w zyskach przedsiębiorstwa.

Stąd nigdzie może w Niemczech nie spotyka się równie dobrze sytuowanych robotników, co w Jenie. Pokrzywdzeni w innych miastach bezroboczy wołają: „Ba, ale zakłady Zeissa najwięcej zbliżone są w systemie produkcji i w organizacji do systemu bolszewickiego"!

Fehrenbach. Stolica hut szklanych. Dziś miasto wywiera wrażenie zmarłej pustyni. Oto, co rzekł autorowi burmistrz miasta: „Cała ludność miasta dziś — to bezroboczy! Huty szklane i tartaki, w których ludność pracowała — stanęły. Fehrenbach liczy 1.300 mieszkańców i 285 rodzin. Z nich 276, t. j. 97%, jest bez pracy. W najgorszem położeniu pozostaje 106 rodzin, które straciły już prawo do zasiłku państwowego i muszą żyć z zapomogi miejscowej opieki społecznej. Wynosi to przeciętnie na rodzinę, złożoną z czterech osób, 6 i pół marek tygodniowo, a więc niespełna 24 fenigi dziennie na wszystko.

Zapomogi otrzymują ci tylko, którzy absolutnie nie mają innego dochodu. Kto ma krowę — nie otrzymuje zapomogi. Jednak w całem miasteczku są tylko dwie krowy!

Essen. 4 miljony mieszkańców. Ludność tutejsza dostarcza całej Rzeszy 79 do 80% zaopatrzenia węgla, żelaza i stali. Centrum niemieckiego komunizmu. Jeszcze przed kilku laty pracowało tutaj 60.000 robotników, dziś pracuje tylko 36.000.

Zakłady Kruppa. Pan von Bohlen, obecny właściciel, oprowadza autora po obszernych halach. Baterje olbrzymich pras hydraulicznych, każda o pojemności 5000 ton. Narazie stoją one bezczynnie. Kotły. Cylindry o 15 metrach średnicy. „Te smutne w swej przymusowej bezczynności maszyny podobne były do dzisiejszych Niemiec. Ich siła utajona przypomina Niemcy dnia jutrzejszego".

Amerykański autor podkreśla zatem, że energja potencjonalna Niemiec nie zginęła. Przyczaiła się ona jeno i oczekuje stosownego momentu, aby przeistoczyć się w energję kinetyczną.

Z książki Knickerbockera widać, iż Niemcy stały na krawędzi komunizmu. Po raz drugi przywołano na pomoc Hitlera, który ma oddalić to straszliwe widmo, uznać komunizm, jako partję nielegalną, zniweczyć ją lub wtłoczyć w podziemia konspiracji.

Przyszłość pokaże, czy Hitler spełni te oczekiwania...

E. M. Schummer.

Co myśleć o przytoczonych powyżej dwóch listach, z Łodzi i Wilna, pisanych przez poważnych ludzi, z których jeden zna bardzo dobrze nasze stosunki gospodarcze, drugi zaś ma wysokie stanowisko naukowe?

Otóż, z oczywistem zastrzeżeniem wobec tych, może zbyt jaskrawo wyrażonych w tej korespondencji „proniemieckich" orjentacji — które notabene nie mają nic wspólnego z dawną orjentacją proniemiecką z czasów wielkiej wojny, ale są całkiem nowego autoramentu i po-

chodzenia — wyznać musimy, że, ogółem biorąc, są to tendencje bądź co bądź zdrowe. Można je zwalczać, można — jak „Nasza Przyszłość“ — oprzeć drogi polskiej myśli politycznej przedewszystkiem na rodzimej, polskiej koncepcji przymierza państw środkowo-wschodniej Europy, zamiast balansowania między Niemcami a Rosją. Niemniej jednak stwierdzamy zdecydowanie, że w wolnej, niepodległej Polsce, mającej aspiracje, w znacznej mierze uzasadnione, do mocarstwowego stanowiska, skłanianie się w stronę Niemiec jest w każdym razie bez porównania zdrowsze moralnie, politycznie i gospodarczo, niż pokutujące ciągle jeszcze u nas, zwłaszcza w b. zaborze rosyjskim, niesamowite i naiwne sympatje i „nadzieje“ prorosyjskie.

Bo bądź co bądź Niemcy — to kultura, nawet bardzo wysoka kultura, chociaż opancerzona i kolczasta. Rosja natomiast, w jakiej bądź występuje ona postaci, to jedno wielkie bagno moralne i kulturalne, a nadto nieubłagane dla nas niebezpieczeństwo pod każdym względem. Niemcy, to Scylla, a Rosja, to Charybda—oba w dosłownem tego porównania znaczeniu. Stosunek z Niemcami może nas w najgorszym razie coś kosztować, wymagać pewnych ofiar, gdy natomiast rzucenie się, choćby tylko moralne, w objęcia Rosji, grozi nam w każdym wypadku zgubą.

Niesłychaną więc, wprost już karygodną naiwnością i lekkomyślnością grzeszą ci dawni „Kongresowiacy“, którym marzą się ciągle jeszcze owe cudowne handlowe możliwości przedwojenne, sięgające do Władywostoku, Fergany, Kaukazu i t. d. Jeszcze po dziś dzień snują się po ulicach Warszawy ci niepoprawni, zaśniedziali laudatores temporis acti i to zarówno starzy, żyjący wspomnieniem złotego wieku polsko-rosyjskiego dobrobytu, jak i młodsi, którzy — wabieni sprytnie przez bolszewików inscenizowanym mirażem „tranzakcji handlowych“—widzą się już w perspektywie władcami syberyjskich dróg handlowych

i skarbów Krzywego Rogu, Uralu, czy kraju Ussuryjskiego.

Tym niepoprawnym marzycielom, którym tymczasem Sowiety wystawiają za drobne tranzakcje wielomiesięczne weksle, bez istotnej wartości, o ile ich rząd polski nie zagwarantuje, możemy rzucić śmiało w oczy znane słowa Dantego:

Laschiate ogni speranza!

Możemy to zrobić i musimy to zrobić, bo jesteśmy mocno przekonani, że, jakkolwiek oczywiście pewne poprawne stosunki trzeba i z Sowietami utrzymać, ale niepodobna traktować tych stosunków na serjo. A jak później ten wielki problem polsko-rosyjski się ukształtuje, o tem dzisiaj nawet marzyć na serjo nie można. To pewna jednak, że ukształtuje się nie po myśli tych, którzy sądzą, że przez nadskakiwanie władzom sowieckim przygotowują Polsce ścieżki do przyszłego rosyjskiego sezamu, osłabiając jednak tem samem odporność społeczeństwa polskiego wobec bolszewickiej zarazy!

Pod adresem zaś naszych, niewątpliwie zbyt pochopnych „germanofilów" najnowszego autoramentu, którym eksperyment hitlerowski nazbyt zaimponował, możemy odpowiedzieć stanowczo: Żadnych ofiar wobec Niemiec! Pomorza i Śląska nie damy!

Nie damy — bo najpierw wogóle ich nie damy, a powtóre, takie ustępstwo, a choćby tylko chęć ustępstwa, wywołałyby w pruskich umysłach skutek, wprost przeciwny zamierzeniom naszych ugodowców: przekonanie o słabości państwa polskiego!

A takie przekonanie u pruskiego kaprala — w hitlerowskiej, czy jakiejkolwiek innej pikielhaubie — nie przyczyniłoby się bynajmniej do poprawy stosunków polsko-niemieckich.

REDAKCJA.

DO BRATA LITWINA!

Wielka wojna światowa, która przyniosła wolność Polsce, przywróciła również bratni nam naród Litwinów do wolnego życia państwowego. Naród litewski, zrosły z Polakami w 500-letniem współżyciu, wielomilionowymi węzłami krwi, zrosły tradycjami politycznemi i węzłami kulturalnymi, utworzył jednak po wielkiej wojnie odrębne, suwerenne państwo, oddzielone od Polski słupami granicznymi. Takie jest jego prawo, jak każdego wolnego narodu i gdyby po pół tysiącu lat współżycia, które stworzyło uczuciowo jeden właściwie naród o dwu językach rodzinnych, aczkolwiek o przewadze kultury polskiej — gdyby owo oderwanie po tak długim okresie historycznym było wyłącznie tylko aktem, znamionującym ewolucyjny rozwój poczucia narodowościowego, podobnie, jak u wielu innych społeczności odrębnej kultury i języka, to fakt zamknięcia się Litwy w odrębnych granicach politycznych byłby zjawiskiem, zupełnie naturalnem.

Niestety jednak, poza kulisami dziejów ostatnich kilkudziesięciu lat snują się ponure cienie sił, wrogich zarówno Polsce, jak Litwie — sił, którym poróżnienie tak bliskich sobie połów historycznej społeczności polsko-litewskiej potrzebne było i jest dla celów, groźnych nad wyraz dla obydwu wyzwolonych narodów.

Polska, nauczona przeszło tysiącletniem doświadczeniem walki z naporem germańskim o swe istnienie, zrozumiała potrzebę ofiar, złożonych na ołtarzu pokoju światowego i dokonała wielu bolesnych wyrzeczeń się terytorjalnych, a nawet podpisała upokarzające kapitulacje ochrony mniejszości narodowych. Ale Polska świadomą jest rzeczywistości, że nawet za cenę tych olbrzymich ofiar terytorjalnych i moralnych nie okupiła i za żadną jeszcze wyż-

szą cenę nie okupiłaby bodaj tylko życzliwej neutralności wroga germańskiego. W Polsce istnieje świadomość prawdy, wygłaszanej przez polsko-litewskiego wieszcza, który tęsknił w słowach:

„Litwo, Ojczyzno moja...“, a który pouczał oba zrosłe wówczas—zdało się: nierozrewalnie—narody, że... „krzyżackiego gadu niczem nie ugłaszcze!“

Niestety! Bratni nam naród litewski, w którego żyłach płynie tyleż krwi polskiej, ile w naszych litewskiej, zapomniał o węzłach krwi, zapomniał o wspólnych walkach o wolność, o wspólnych dniach chwały, o wspólnych wysiłkach i niedolach, łącznie ze swym udziałem w powstaniach polskich, zapomniał czasu niewoli pod knutem — wszystkiego zapomniał i w momencie odradzania się samopoczucia narodowego dał ucho podszeptom wrogów, którzy dla celów tem łatwiejszego zgładzenia polskości i litewskości podsycali litewski separatyzm od życia narodowego i od kultury polskiej.

Nasi bracia Litwini zapomnieli o losie swego najbliższego szczepu Prusaków, których wróg germański wytępił tak dokładnie, że zaledwie nazwa się ostała, a i nazwę wraz z ziemią wytępionych wróg ten przywłaszczył sobie. Bracia Litwini niepomni są dziejów i złorzeczą swemu królowi, któremu zawdzięczają, że z Litwy pozostało dla teraźniejszości i dla przyszłości coś więcej, niż historyczna nazwa, bo także i kraj i naród. Zapominają, że swe dzisiejsze istnienie narodowe i państwowe zawdzięczają byłemu współżyciu z Polską i wspólnej , wzajemnej obronie przed wrogami. Bracia Litwini wymazali już z pamięci ponure obrazy tortur więziennych i katorg sybirskich i obecnie wschodni sasiedzi są im bliżsi, niż krewni Polacy.

Nie nam dzisiaj sądzić naszych młodszych braci, którzy świadomi są wprawdzie faktu, że bez Litwy Polska słabszą jest, niżby była w przyjaźni z Litwą, ale nie chcą,

czy nie umieją uświadomić sobie, że Litwa bez silnej Polski z karty Europy wogóle w przyszłości wykreśloną być może. Nasi młodsi bracia Litwini pałają do Polski niechęcią, rozbudzaną przez wspólnych odwiecznych wrogów. Ale nie wolno nam — braci starszej, której królowali Jagiellonowie i którym przewodzili tytany ducha litewskiego w dniach niewoli, nam, którym w dni odrodzenia wolności los znowu dał wielkich mężów gente lithuanos — nie wolno nam zostawić braci naszej młodszej, choć innego języka i innego dzisiaj poczucia narodowego, w odosobnieniu niechęci do nas i urazy. Ślepa niechęć nie przystoi wielkiemu polskiemu narodowi o sławnej przeszłości historycznej. Nie wolno nam, mimo ubolewania godnych postępków synów dzisiejszej Litwy, zapominać, że wprawdzie za tą granicą mieszkają niesprawiedliwi dla nas bracia — ale przecież: bracia!

Germański wróg, udrapowany w zrabowaną nazwę Prusaków i dyszący chęcią pochłonięcia również i Litwy, za słaby jest jeszcze dzisiaj, by spełnić swe niezłomne zamiary, za słaby nawet, by reagować na wyzwoleńczy proces litewskości na terenie tyle set lat niemczonej Kłajpedy. W imię swych przyszłych zamiarów znosi nawet wszystkie policzki, jakie mu daje Litwa na terenie swojego naturalnego dostępu do morza, znosi wszelkie upokorzenia moralne, doznawane w Kłajpedzie od małego i liczebnie słabego narodu, bo ważniejsze mu dzisiaj uśpienie czujności Litwy, niźli przedwczesne pokazanie właściwego oblicza. Dzisiaj dla utrzymania Litwy we wrogim do Polski stosunku znosi potulnie nawet obelgi.

Polska nie poniży się do obłudnych metod prusackich, nie pozwoli sobie wyrządzać obelg, ale Polska czuje się dość silną i pewną swych dobrych praw historycznych do obecnego stanu posiadania, by ze spokojnem sumieniem przystąpić do rozmowy na temat wszelkich pretensji Litwy do Polski. Polska, jako państwo suwerenne, ma na swem

terytorjum wielu tych dawnych Litwinów, którzy, pomni historji, w dalszem współżyciu z Polską widzą możność istnienia. Polska ma też garstkę nowych Litwinów, którzy stworzyli sobie z niej fikcję wroga. Rzeczpospolita Polska jest spokojnym domem dla jednych i dla drugich.

Naród polski cierpi nad rozdwojeniem i wyciągnąłby dłoń bratnią, gdyby młodszy brat dłoń zgodną, miast miecza, skłonny był wzamian wyciągnąć. Naród polski wierzy nadto, że nawet wśród dzisiejszych, nowych Litwinów, wychowanych w nienawiści i pogardzie dla wspomnień historycznych, znajdą się bezstronni, którzy trzeźwo i na zimno zechcą sprawy osądzać. - Może wśród tych nowych Litwinów znajdą się tacy, którzy rozważą, czy istotnie niema logicznych wskazań dla porozumienia z Polakami na zasadzie: równi z równymi, wolni z wolnymi.

Trudno! Przeszłość została przekreślona. Gdzieś nad Łabą stoi pomnik, wystawiony przez Germanów wymarłym szczepom słowiańskim, tym, o których Chrobry mieczem się upominał; gdzieś w okolicach Królewca snują się legendy o wymarłym dzielnym szczepie Prusaków, których nazwa zdobi dzisiaj ich pogromców i tępicieli. Przebrzmiały echa najazdów krzyżackich na Litwę, przebrzmiały jęki litewskich męczenników w więzieniach moskiewskich i w katorgach sybirskich. To wszystko jest już tylko przeszłością, którą przykrył pył zapomnienia. Swieższe są zato we wspomnieniach stypendja i bezpłatne bursy w Rosji, które hodowały sztucznie szowinizm polakożerczy, jeszcze świeższe pruskie umizgi, Taryba, protekcja w Lidze Narodów i znoszenie policzków kłajpedzkich.

Bądźmy sprawiedliwymi: nie wolno nam potępiać za to Litwy, kraju i państwa małego, w którem odwieczni jego wrogowie tolerują odrodzenie narodowe, ale obłudnie, chytrze i z nakładem olbrzymich środków pielęgnują nienawiść do jedynego narodu, który w przyszłości mógłby upomnieć się o prawa Litwy.

Bądźmy sprawiedliwi, bo kto wie, czy gdyby stosu-

nek był odwrotny, gdyby Litwa była 30-miljonowem narodem, a Polska 2-miljonowem państwem narodu, którego ponoć na całym świecie jest co najwięcej 3 miljony — kto wie, czy wtedy w nas, jako posiadaczach ważnie pod względem geograficznym położonego kraiku, nie wzbudzaliby wspólni wrogowie fałszywych i szkodliwych dla nas samych nastrojów. Kto wie, czy w takiem położeniu nie tkwiłoby w nas także poczucie upośledzenia, trafnie nazwane przez Niemców „Minderwertigkeitsgefühl“, wynikłe z naszej słabej liczebności? Kto wie, czy takie poczucie upośledzenia nie zaślepiałoby i nas i nie odbierało nam zdrowego sądu o rzeczywistości i o logicznym rozwoju przyszłych naszych dziejów? Może i w nas potrafionoby wmówić, że wielki naród litewski, z którym współżycie zachowało nas i pozwoliło się dzisiaj odrodzić, jest właśnie największym wrogiem. Może i my stworzylibyśmy sobie fikcję, że wprawdzie nie zaleje nas potężna kultura germańska, nawet w razie nieuniknionej aneksji, natomiast koniecznie grozi nam zalanie kultury Litwinów, jeśli zaistnieje między Litwą a Polską normalna wymiana międzynarodowa. Może i my..., a więc: nie sądźcie, byście nie byli sądzeni!

Oto credo naszego ugrupowania Przyjaciół Litwy, ugrupowania czysto polskiego, które stoi na gruncie uczucia, mającego swe źródło w reminiscencjach z przeszłości, ale zarazem na gruncie rozumu, wskazującego drogi na przyszłość.

To jednak nie cały jeszcze nasz program. Jesteśmy Polakami, pochodzenia z ziem, które nie wchodziły nigdy w skład historycznej Litwy. Nikt zatem, ani po stronie polskiej, ani po stronie litewskiej, nie może nam zarzucić, że mówiąc o Litwie, czy do Litwinów, przemilczamy coś, że zaparliśmy się świadomości swej narodowej.

Mimo gorżkich doświadczeń lat ostatnich, uważamy Litwinów za naszą brać młodszą i w tym duchu działać będziemy. Na sztandarze naszym wywieszamy nasze istotne zamiary i dążenia.

Pragniemy porozumienia z Litwinami i ułożenia się przyjaznych stosunków, a w tym celu dążyć będziemy do:

1) uświadomienia Litwinów, że w narodzie naszym niema w stosunku do ich ojczyzny żadnych zaborczych zamiarów i drogi im kraj ojczysty nie ma się stać dla nas nigdy pomostem do jakichkolwiek dalszych zaborów terytorjalnych, gdyż krajów europejskich za dzikie przestrzenie kolonizacyjne nie uważamy;

2) uświadomienia Litwinów, że pomni swych własnych walk o utrzymanie pod zaborami poczucia narodowego, rozumiemy i cenimy ich przywiązanie do języka i kultury litewskiej;

3) uświadomienia Litwinów, że jesteśmy skłonni nietylko nie osłabiać ich dążeń do wzmocnienia ich samopoczucia narodowego, ale samopoczucie to w nich i znajomość ich własnych dziejów, w miarę swych możności, podtrzymywać;

4) uświadomienia Litwinów, że w poczuciu swej liczebnej mniejszości w stosunku do nas, nie mają przez to jeszcze tytułu posądzać nas o aneksjonizm kulturalny, skoro oni sami dają dostateczne dowody, że wobec wielokrotnie silniejszego aneksjonizmu innej obcej kultury, jednak samopoczucie narodowe w pełni u siebie rozwinęli i nadal rozwijają;

5) przekonania Litwinów, że skoro mają do nas żal historyczny o rzekomą polonizację, o rzekomy zalew kulturalny, to winni dzisiaj raczej podzielić się z nami wzamian swemi własnemi, choć młodemi jeszcze i choć szczuplejszemi narazie od naszych, zdobyczami kultury — niż nas posądzać, że zamierzamy na przyszłość wykorzystać politycznie nasze byłe wpływy kulturalne na Litwę;

6) przekonania Litwinów, że wyciągając rękę, wyciągamy ją do nich, a nie na nich, ani nie po nich, że pragniemy, jako z bliskimi krewnymi, choć dzisiaj już odsobnionymi, mieć bodaj tak dobre stosunki, jak mamy z wielu innymi, nawet rasowo zupełnie obcymi narodami, że prag-

niemy wymiany handlowej i kulturalnej, że pragniemy zdobyć ich uczucie przyjaźni, lecz nie zabierać im duszy narodowej;

7) przekonania Litwinów, że gotowi jesteśmy zasiąść z nimi do okrągłego stołu, jako równi z równymi i wolni z wolnymi, aby wysłuchać spokojnie ich żalów do nas, że gotowi nawet jesteśmy wspólnie z nimi rozważać możność realizacji tych z ich żądań i pretensji, które obracają się w sferze poczucia rzeczywistości, a mogą zaspokoić ich słuszne ambicje i ukoić uczucia narodowe, bez dotkliwej urazy naszych polskich uczuć i przywiązań.

Wiemy, że za tą sztucznie w płomieniach utrzymywaną granicą mało jeszcze dzisiaj serc bije, które zrozumieją nasze szczere intencje i uwierzą w naszą dobra wolę. Przypuszczamy nawet, że niestety i ci z braci Litwinów, dla których jasnymi, niewątpliwymi okażą się nasze zamiary, będą obawiać się opinji litewskiej, aby wchodzić z nami w jakiekolwiek stosunki. My wiemy jednak także, iż wiele, wiele było i jest przyczyn dzisiejszego stanu i że nam nie wolno za dzisiejsze cierpienia Polaków na Litwie szukać i oczekiwać zadośćuczynienia w łatwym do przewidzenia wyroku historji na małą, słabą, a bratnią nam i drogą sercu, choć niechętną i gniewną na nas dzisiaj Litwę.

Jeśli wśród 3 miljonów uświadomionych Litwinów nowego pokolenia znajdzie się z początku choćby tylko jeden — dosłownie j e d e n — który nas zrozumie, intencje nasze odczuje i będzie miał odwagę otwarcie do nas się zwrócić, to prosimy go, niechaj przyjdzie do nas, a znajdzie się w gronie przyjaciół!

Komitet organizacyjny
Związku Przyjaciół Litwy.

SYTUACJA MIĘDZYNARODOWA A UKRAIŃCY HALICCY.

Ostatnia publikacja piszącego te słowa, wydana w języku ukraińskim i do użytku wyłącznie ukraińskiej publiczności przeznaczona, a omawiająca międzynarodowe położenie Polski, oraz na jego tle politykę halickiego odłamu Ukraińców, nie mogła się pojawić w gorszej dla siebie chwili, niż to się rzeczywiście stało. Znalazła się na półkach księgarskich w trzeciej dekadzie listopada, o kilkanaście zaledwie dni przed smutnemi zajściami w Gródku Jagiellońskim, które i same przez się i w swych procesowych konsekwencjach, rozważanych przez pryzmat równoczesnej z niemi publikacji p. Pobóg-Malinowskiego o akcji bezdańskiej, stworzyły w publiczności ukraińskiej jak najgorszą atmosferę dla rozważania czegokolwiek, co pochodzi z pod pióra Polaka. Nowy rok przyniósł na dobitek plebiscyt szkolny z całem towarzyszącem temu procederowi nieuniknionem roznamiętnieniem. Istotnie bowiem plebiscyt, choć teoretycznie najsprawiedliwszą, jest praktycznie najfatalniejszą formą zadosyćczynienia życzeniom ludności. Znaleźć w czasie akcji plebiscytowej pięćset wypadków niezrozumienia przepisów lub nawet nadużyć jest niezmiernie łatwo, udowodnić połowę z nich nie będzie też tak bardzo trudnem. Dwieście pięćdziesiąt udowodnionych w połowie choćby wypadków nadużycia robi jak najfatalniejsze wrażenie na widzu, na słuchaczu, na samejże stronie zainteresowanej. Zapomina się przytem, że w plebiscycie brało udział pół miljona osób i że tych dwieście pięćdziesiąt wypadków daje zaledwie pół pro mille, t. j. jeden na dwa tysiące i w rezultacie po kampanji plebiscytowej, która ludności, w masie wziętej (a o to przecież chodzi), dała możność

wypowiedzenia, się pozostaje mnóstwo jadu i rozgoryczenia — atmosfera zostaje na dłuższy czas zatruta.

To też raczej dziwić się należy, że publikacji mojej nie spotkało jeszcze najgorsze przyjęcie. Byłem raz posądzony o chęć „nałapania płotek“, raz „o odwracanie kota ogonem“, ale naogół głosy ukraińskiej krytyki, dające do zrozumienia, że i ta próba polskich zalecanek będzie bezskuteczna, utrzymane były w tonie rzeczowym, a często nie pozbawionym kurtuazji w stosunku do krytykowanego.

Jeżeli chodzi o samąże publikację, to oceniona została, zdaje się, że jednomyślnie, jako polska próba przeprowadzenia wśród ukraińskiej społeczności propagandy antyniemieckiej i również jednomyślnie niemal skonstatowała publicystyka ukraińska, że próba ta się nie udała, t. j., że naród ukraiński, względnie jego halicki odłam, nie może zidentyfikować swej postawy w stosunku do Niemiec z Polską, że pragnie pójść swemi własnemi drogami, które bynajmniej—i to podkreślano—nie muszą być równoległe do polskich, że jednem słowem w zarysowującym się sporze niemiecko-słowiańskim pragną Ukraińcy pozostać na uboczu, nie angażując się po żadnej stronie, a w każdym razie nie po stronie słowiańskiej; a ostatnio nawet nie tai publicystyka ukraińska, że spodziewa się po zwycięstwie Hitlera w Niemczech rozluźnienia stosunków niemiecko-sowieckich i wynikającego stąd upadku bolszewizmu, skąd już prosta droga prowadzi do ukraińskiej państwowości. Sprawa Pomorza została potraktowana bardzo lakonicznie, na ogół w ten sposób, że zabór Pomorza przez Niemcy nie jest z punktu widzenia ukraińskiego pożądany, bo pozbawiona Pomorza Polska dałaby wszystkim wycofanym stamtąd polskim urzędnikom zatrudnienie na ziemiach ukraińskiego zasiedlenia, likwidując do reszty stare posiadania ukraińskie w dziedzinie biurokracji.

Broszura moja nie była broszurą propagandową i nie miała najmniejszej kwalifikacji, by nią być. Propaganda, by była skuteczną, musi być anonimowa, a przynajmniej nie

wzbudzać podejrzeń odnośnie do źródła, skąd pochodzi i do celów, do których zmierza. Książeczka zaś moja nie taiła swego pochodzenia polskiego, t. j. tego, które ze wszystkich na świecie już zgóry zdolne jest ukraińskiego czytelnika jak najnieufniej do czytanego słowa usposobić. I, jakby już to samo nie wystarczało, autor w przedmowie do swego dzieła zaznaczył, że jemu to właśnie przypadło w udziale prowadzić przed dniem 15 marca 1923-go roku sprawę wschodnio-galicyjską z ramienia Polski.

Książeczka zatem miała wszelkie warunki nie, by uśpić czujność ukraińskiego czytelnika, lecz właśnie, by ją pobudzić i zaostrzyć.

W XVIII wieku wierzono, że w dziedzinie politycznej można kogoś, czy to doborem argumentów, czy to czarem wymowy „przekonać". W wieku XIX-ym, na zasadzie licznych, a smutnych doświadczeń, wiedziano już bardzo dobrze, że argumentacja, choćby najlepsza i wymowna, choćby najpiękniejsza, bardzo rzadko tylko doprowadza kogokolwiek do zmiany poglądów, a już nigdy do zmiany politycznej postawy. W wieku XX-ym wiemy bardzo dobrze, że przekonać można tylko już przekonanych, że do umysłów i serc trafia tylko ta książka i ta argumentacja, która formułuje pogląd, do jakich czytelnik lub słuchacz doszedł już poprzednio świadomie lub podświadomie, że jednem słowem można się spodziewać plonu tylko po ziarnie, zasianem w rolę, przygotowaną do jego przyjęcia. Narody zmieniają swoje poglądy i w ślad za tem i swoją postawę polityczną tylko po uprzedniem przejściu wewnętrznej ewolucji, obejmującej także i sferę uczuć. Czynniki postronne, działające jawnie, nie mogą liczyć na wywarcie wpływu na ten proces.

Pisząc i ogłaszając moją broszurę zdawałem sobie doskonale sprawę z tych podstawowych psychologicznych prawd. Celem moim nie było tedy doprowadzenie ukraińskiej społeczności do zmiany poglądów, bo to leżało i leży poza sferą możliwości, lecz przedłożenie jej pewnego po-

glądu na pewien stan rzeczy, poglądu — jak to zaznaczyłem — nieraz krańcowo odmienego od tych, z jakimi się zrosła, zaproszenie jej do zapoznania się z nim i do zareagowania w sposób, jaki uzna za najwłaściwy. Celem publikacji było zbadanie politycznej temperatury ukraińskiej społeczności, zbadanie, czy praktyczne prowadzenie polityki, opartej o wyłuszczone w książeczce przesłanki i o sformułowaną w niej argumentację, jest możliwe i rokujące nadzieję na przyszłe wyniki, czy też nie. Tylko tak pojęta publikacja tego rodzaju może być dla obu stron pożyteczna.

Od chwili pojawienia się broszurki upłynęło niewiele czasu, ale sporo wody. Zdaje się że naogół biorąc, autor nie potrzebuje się wstydzić swych przewidywań.

I tak Niemcy, nazwane w książeczce hitlerowskiemi avant la lettre, stały się niemi ponad wszelką wątpliwość; sojusz polsko-francuski nietylko, że wytrzymał pakt nieagresji polsko-sowiecki, ale nawet stosunki francusko-sowieckie jak gdyby szły ku znacznemu zacieśnieniu, a i antypolska kooperacja niemiecko-rosyjska nie jest chyba bardziej aktualna dziś, niż przed paru miesiącami—wydaje się nawet być mniej aktualną, niż kiedykolwiek w ciągu ostatniego dziesięciolecia, choć autor jest cokolwiek sceptyczny co do trwałości antysowieckiego kursu w Niemczech. Międzynarodowe położenie Niemiec nie polepszyło się chyba tak bardzo, a czy wzrosła ich faktyczna siła, na to trudno jest dać w tej chwili zadawalającą odpowiedź. Naród niemiecki ma na razie gorączkę; czy prowadzi go ona do zdrowia, czy do katastrofy, przedwcześnie się spierać. Co w Niemczech niewątpliwie wzrosło, to wewnętrzne samopoczucie i tendencja do agresywności (jak narazie słownej) w stosunku do kogo się tylko da. Czy i kiedy za prowokacjami pójdzie czyn, jaki i z jakim wynikiem, trudno w tej chwili orzec. Stresemann pracował nad osamotnieniem Polski, a w każdym razie nad rozluźnieniem jej stosunków z sojusznikami, a choć ta część jego programu nie ze wszystkiem mu się udała, to w każdym razie doprowadził do bardzo daleko

idącego odprężenia stosunków między Niemcami a szeregiem najpotężniejszych państw w Europie, przyczem dobry stosunek niemiecko-rosyjski nie doznał oziębienia. Polityka Hitlera, jak na razie, przekreśliła niejedno ze Stresemannowskiego dorobku; jak będzie wyglądał gmach, który narodowo-socjalistyczne Niemcy poczną wznosić na oczyszczonym z gruzów Stresemannowskiego dzieła pustym placu, trudno w tej chwili przewidzieć. Być może, że polityka nowego kanclerza będzie jeszcze bardziej aktywna i jeszcze bardziej efektywna, niż polityka Stresemanna, być może, że będzie tylko hałaśliwa; być może, że nowy kanclerz Rzeszy będzie miał równie gwałtowny gest, ale i równie chłodną głowę, jak p. Mussolini, ale nie jest wykluczone, że będzie on tylko drugiem wydaniem cesarza Wilhelma II-go. Prorokować nie można dlatego, że doświadczenie uczy, iż doszedłszy do władzy i odpowiedzialności, ludzie rozsądni zmieniają i poglądy i metody działania. Jak na razie, wszystkie państwa i wszystkie narody śledzą z zapartym oddechem, niektóre z poważną troską, gwałtowną gestykulację niemieckiej polityki (a raczej ujawnienia się wyników dokonanej przez szereg lat ewolucji umysłowości niemieckiej), ale praktycznych skutków dokonanego w Niemczech przewrotu żaden naród jeszcze na sobie nie odczuł, żaden z wyjątkiem.. ukraińskiego, to jest tego właśnie narodu, który jedyny, zdaje się, w Europie przewrót hitlerowski w Niemczech powitał z sympatją i nadzieją. Jest niemal, że dogmatem politycznej myśli ukraińskiej, iż wzmożona aktywność niemiecka nie potrzebuje przejmować Ukraińców obawą, ponieważ zwrócona jest przeciw Polsce; rzeczą Polaków jest troszczyć się, by im szkody nie przyniosła. Ukraińcy nie mają w Niemczech swej mniejszości, Niemcy (inaczej, niż Polacy) nie grożą Ukraińcom wynarodowieniem, wreszcie wrogie ustosunkowanie się hitleryzmu do marksizmu sprawia, że bolszewizm, pozbawiony zewnętrznej (niemieckiej) pomocy, rychło upadnie, a to z miejsca postawi na porządku dziennym sprawę ukraińską.

Tych kilka linji powyższych daje bardzo wierne streszczenie wywodów ukraińskiej (halickiej) sprawy, od „Nowego Czasu“ począwszy, poprzez „Diło“, aż (włącznie) po „Metę“, organ, uważany za bliski X. Metropolicie lwowskiemu. Wywody, jak powyżej, nie znikały ze szpalt ukraińskiej prasy przez cały czas dyskusji nad moją ukraińską broszurką, a obecnie, po zwycięstwie hitleryzmu w Niemczech, powtarzają się niemal codziennie ze wzrastającą intensywnością. Poza słowem pisanem, jeszcze silniej od niego działa oczywiście słowo mówione, t. j. szeptane, kolportowana tajemniczo legenda, że w programie hitleryzmu leży rozbicie Rosji i utworzenie z ziem, obecnie rosyjskich i polskich, szeregu państw buforowych: Litwy, Białorusi i przedewszystkiem Ukrainy. Obowiązkiem zatem ukraińskiego patrjoty jest powstrzymać się od wszystkiego, coby mogło przeszkodzić Niemcom w urzeczywistnieniu tych planów, a przedewszystkiem nie stworzyć choćby cienia pozoru, że społeczność ukraińska czuje jakąkolwiek solidarność z Polską w jej walce o słowiańskie morza i niepodległość Europy Środkowej. Chodzi o przyszłość Ukrainy.

Chodzi o przyszłość; jakżeż wygląda teraźniejszość? Teraźniejszość Ukrainy nazywa się p. Posłyszew, t. j. przysłany z Moskwy dyktator, którego zadaniem jest zlikwidować, nie tykając języka urzędowego, bo na nim nic Moskwie nie zależy, narodowe życie Ukrainy. Powiedziałem zlikwidować, ale wyrażenie to nie oddaje dokładnie misji p. Posłyszewa; chcąc być ścisłym, należałoby użyć słowa: rozdeptać.

Naród ukraiński dwa razy w ciągu dziejów tracił swe warstwy wyższe, swoją elitę, raz na rzecz Polski, drugi raz na rzecz Rosji. Teraz utraci ją po raz trzeci, tylko już nie szlachtę, nie mieszczaństwo, nie warstwy średnie, bo te dawno pożarła rewolucja; utraci teraz jedyną warstwe przodującą, jaka mu została: narodowo nastrojony odłam inteligentnego proletarjatu. Ten narodowo nastrojony odłam inteligentnego proletarjatu na Ukrainie Sowieckiej będzie

teraz wyniszczony w fizycznem znaczeniu tego słowa. I znowu złe wyrażenie, bo proces wyniszczenia ten, to nie przyszłość, to nie przewidywanie, to rzecz już rozpoczęta i będąca w toku. Ukraińcy haliccy bardzo dobrze wiedzą, że tak jest.

Wiem, że naród ukraiński nie zginie, jest na to zbyt liczny, pozatem Słowianie posiadają niezwykłą zdolność biernego przetrwania, a Ukraińcy są pod tym względem podwójnie Słowianami. Nie zginie, ale przestanie być narodem, stanie się tem, czem był z początkiem zeszłego stulecia: bezkształtną masą etniczną, z której pokoleniami całemi trzeba będzie wydobywać elementy państwowo-twórcze. A doświadczenie niedawnych dziejów wykazało, że w chwilach, tak sposobnych do tworzenia się państw narodowych, jak był okres 1917 — 1920, nie rozporządzał naród ukraiński dostateczną siłą państwowo-twórczych żywiołów, by móc pokonać przeszkody, stawiane przez ludzi i okoliczności.

Nie ulega wątpliwości, że naród ukraiński, choć jako element etniczny bardzo liczny, jako naród w znaczeniu politycznem stanie się teraz bardzo niewielkim, ocaleje to tylko, co znalazło się w granicach Rzeczypospolitej i o tyle tylko, o ile granice te nie ulegną przesunięciu na Zachód.

Czemu należy przypisać, że Rosja Sowiecka właśnie obecną chwilę obrała dla likwidacji narodowego ruchu ukraińskiego?

Wytłumaczenie jest bardzo proste. Rosja jest mianowicie pewna, że w obecnej konjunkturze nic nie może krępować swobody jej działania w jej zachodnich, graniczących z Europą posiadłościach. Tę niczem nie skrępowaną swobodę ruchów zawdzięcza temu, że Polska pod wpływem wzmożonej aktywności niemieckiej odwróciła się frontem ku zachodowi, że nie może być w obecnych wa-

runkach mowy o aktywnej polityce Polski w stosunku do wschodniego sąsiada. To jest na razie jedyna praktyczna konsekwencja dojścia Hitlera do władzy. Rosja ma chwilę sposobną i z pewnością tej chwili nie zmarnuje.

Koszta wzmożonej aktywności niemieckiej ponosi naród ukraiński, wyraża się ona cofnięciem jego rozwoju o sto trzydzieści lat. To jest wynik namacalny. Co będzie w przyszłości, nie wiadomo, nie wiadomo przedewszystkiem, czy hitleryzm będzie mógł spełnić swój program rozpostarcia niemieckiej hegemonji nad Europą Środkową i Wschodnią, program, który może się urzeczywistnić dopiero po rozbiciu Polski i Rosji. A przecież o istnieniu tego programu, głoszonego z takim hałasem, wiedzą nie tylko Ukraińcy, wiedzą o nim i Polacy i Moskale i może jeszcze kilka innych zainteresowanych państw. Rzeczywistość nazywa się p. Posłyszew, a reszta, to program, przypisywany Hitlerowi, tylko, że między jego ogłoszeniem, a wykonaniem stoi parę miljonów bagnetów polskich, rosyjskich, francuskich, może jeszcze innych...

I faszyzm w chwili, gdy dopiero o władzę walczyć musiał, głosił hasło walki z komunizmem, co bynajmniej nie przeszkodziło temu, że p. Mussolini jeden z pierwszych nawiązał i po dziś dzień utrzymuje zupełnie poprawne stosunki z Sowietami.

Obserwując od lat kilkunastu bardzo bacznie wszelkie przejawy politycznej myśli halickiego odłamu Ukraińców, doszedłem do przekonania, że nadają jej piętno trzy cechy charakterystyczne, na których opierając się można prawie, że bez pomyłki przewidzieć konkretną politykę halickich Ukraińców w każdej konkretnej okoliczności.

Te trzy cechy są następujące: a) bardzo głęboka niechęć i nieufność do Polaków, b) bardzo daleko posunięta (przyznaję, że często nieuświadomiona) zawisłość od politycznej myśli niemieckiej, c) instynktowne dążenie do poli-

tycznej bezpodmiotowości, w której halicki Ukrainiec upatruje ucieczkę z każdej trudniejszej sytuacji.

O ile chodzi o stosunek Polski do Rosji, to istniały, jak wiadomo, w okresie powstawania państwa polskiego dwie szkoły polityczne, stojące na dwu przeciwległych biegunach: tak zwana narodowa i tak zwana niepodległościowa. Obóz, zwany popularnie „niepodległościowym“, uważał, że interes Polski wymaga przedewszystkiem rozbicia dawnego imperjum rosyjskiego, wyrwania z niego możliwie jak największych przestrzeni i potworzenia na nich (po zaspokojeniu terytorjalnych potrzeb Polski tak, jak je ten obóz pojmował). szeregu narodowych państw, które wchodząc z Polską (zbudowaną federalistycznie) w stosunek ścisłego przymierza, stanowiłyby dla Polski wał ochrony. Pierwotna koncepcja obozu tego, który, o ile chodzi o ich wcielenie w życie, aż nadto był pochopny do mierzenia sił na zamiary, niczem właśnie nie różniła się od dzisiejszych koncepcji, głoszonych przez niektórych hitlerowców. Wedle jednych, jak drugich, Rosja miała być odrzucona możliwie daleko ku wschodowi, powstać miała plejada państw wyzwolonych, grawitujących na około wyzwalającego ośrodka: wtedy Polski, dziś Niemiec. Obóz ten skłonny był uważać pokój ryski za rodzaj rozejmu, który nie powinien być nadmiernie trwały i były chwile, kiedy zdawało się, że istotnie pokój ryski nie będzie niczem innem, jak rozejmem. Bolszewicy obawiali się tego chwilami zupełnie szczerze i ta zupełnie szczera obawa przed aktywnością wschodniej polityki polskiej, mogącej się w pojęciu rosyjskiem przerodzić każdej chwili w akresywność, skierowała (obok oczywiście i innych względów, równie dla rosyjskiej racji stanu poważnych) politykę sowiecką na tory przyjaźni, chwilami nawet współpracy z Niemcami. Wyprawa kijowska, a potem obawa powrotnej ofensywnej fali polskiej, narzuciła jeszcze bolszewikom dwa pociągnięcia: pierwsze, to stworzenie Ukrainy sowieckiej (manewr ten nie był nowy, był powtórzeniem, tylko bardziej zabudowanem, takiego samego ma-

newru, zastosowanego względem Niemców w Brześciu litewskim w 1918 r.), drugie, to bardzo gorliwe zajęcie się mniejszością ukraińską w Polsce w okresie 1921 — 1928. Sowiecką Ukrainę Charkowską przeciwstawiono „polskiej" Ukrainie Kijowskiej. Jest to manewr stawiania tronu przeciwko tronowi, jego założenia i cele są tak jasne, że nie potrzebują uzasadnienia i wyjaśnień. Dużą początkową samodzielność tego państwowego tworu likwidowano stopniowo, bardzo ostrożnie, w miarę, jak słabła aktywność wschodniej polityki polskiej, a obecnie, gdy front Polski zupełnie wyraźnie i zapewne na długo obrócił się ku zachodowi, tempo likwidacji ukraińskiej państwowości i narodowego na jej terenie życia nabrało bezprzykładnej intensywności. Rosja jest mądra, Rosja umiała zawsze korzystać z chwili i teraz więc dokłada starań, by mogąca się kiedyś zmienić konjunktura zastała na Ukrainie już fakty dokonane.

Niebezpieczeństwo oderwania Ukrainy od Rosji zażegnywały Sowiety nietylko przez stworzenie, a następnie powolną i ostrożną likwidację państwowości ukraińskiej. Trzeba było jeszcze wyperswadować zwycięskiej ostatecznie na polu bitwy Polsce całą „absurdalność" koncepcji rozbijania Rosji na państwa narodowe, a przedewszystkiem niebezpieczeństwo, związane z wszelkiem tworzeniem państwa ukraińskiego. Tu jest geneza kilkoletniego flirtu z ukraińską mniejszością w Polsce, flirtu w szczególności z Ukraińcami halickimi, trwającego w słabnącem tempie aż po r. 1928. Ustał on dlatego, że z jednej strony przestał być Sowietom potrzebny w miarę odwracania się uwagi Polski ku zachodowi, i dlatego także, że likwidowanie ukraińskiego życia na Ukrainie przybrało z czasem takie rozmiary, że dalsza gra sowiecka nawet wśród Ukraińców halickich, mało zresztą wymagających, stała się już niemożliwa. Cel Sowietów został jednak osiągnięty, bo te wszystkie półspiski, schadzki, tajne konferencje, półsłówka o zjednoczeniu ziem ukraińskich, bynajmniej nie miały na celu odrywania jakichkolwiek kresów od Polski. Sowiety nie prowa-

dziły ani jednej chwili zaborczej polityki w stosunku do Polski, nie chciały Rzeczypospolitej zabrać ani piędzi ziemi; polityka ich była nawskroś pokojowa i miała na celu przepoić opinję polską takąże samą pokojowością. Sowietom chodziło tylko o utrwalenie ryskiej linji, o zademonstrowanie Polakom ad oculos, na co się narażają, jeżeli raz jeszcze lekkomyślnie postawią na porządku dziennym sprawę ukraińską.

Cała ta robota sowiecka była bardzo tajemnicza, ale bynajmniej nie tajna. Agenci sowieccy nie tylko nie pragnęli niczego przed nami ukryć, lecz wręcz dokładali wszelkich starań, byśmy wiedzieli znacznie więcej, niż było w istocie; gdyby byli mogli, byliby wybębnili na rynku tematy swych rozmów z ukraińskimi notablami.

Nie można zaprzeczyć, że cel swój osiągnęli. Obozowi narodowo-demokratycznemu w Polsce, który w założeniu swem jest antyukraiński, przybyło bardzo dużo bardzo poważnych argumentów. Doktryna, że ruch narodowy ukraiński jest dla Polski niebezpieczeństwem poważniejszem i bardziej nieprzejednanem, niż niebezpieczeństwo rosyjskie, zyskał znacznie na sile, reszty dokonał wzmagający się nacisk niemiecki. Traktat ryski umocnił się znakomicie; interes i zysk Rosji jest tu wyraźny, można z punktu widzenia i polskiej racji stanu, tak przynajmniej, jak ją pojmuje jedna z dwu naszych wielkich szkół politycznych, upatrywać w tem interes i zysk Polski. Interesu ukraińskiego nikt się w tem dopatrzeć nie może, nie dopatrują go się też dziś i Ukraińcy haliccy, którzy bardzo boleśnie odczuli polsko-sowiecki pakt o nieagresji. I tu nasuwa się pytanie, dlaczego przez kilka lat dopomagali Sowietom w uświadamianiu opinji polskiej, że Polska nie poradzi sobie nigdy z „kwestją ukraińską“?

Naturalną rolą Ukraińców, żyjących w granicach Polski, kategorycznym postulatem ukraińskiej racji stanu, było zrobienie wszystkiego, co było tylko w ich mocy, by niedopuścić do utrwalenia się stanu rzeczy, stworzonego trak-

tatem ryskim, a przynajmniej znacznie utrwalanie się takie utrudniać.

Wysiłek polityczny ukraiński powinien był zatem iść po linji wzmacniania tego obozu politycznego w Polsce, który uważał traktat ryski tylko za chwilowy rozejm. Jeżeli sprawa ukraińska miała jakieś szanse stania się aktualną, jeżeli miały zaistnieć warunki powstania ukraińskiej państwowości, to tylko na wypadek wojny między Rosją, a jej zachodnimi sąsiadami, wojny oczywiście dla Rosji nieszczęśliwej. Ale jeżeli do tej wojny przyjść miało, jeżeli zwłaszcza Polska miała być stroną zaczepną, a w razie zwycięstwa patrzeć życzliwie na powstawanie państwa ukraińskiego, to tylko w tym wypadku, gdyby w opinji polskiej zwyciężyło przekonaie, że na powstaniu państwa ukraińskiego Rzeczypospolita żadnego uszczerbku nie poniesie, a przeciwnie, samych korzyści spodziewać sie może. Wywołanie i wzmocnienie takiej opinji powinno było być bodajże jedynym celem zamieszkujących Polskę Ukraińców, tych przynajmniej, którzy chcieli praktycznie coś zdziałać na rzecz państwa ukraińskiego. Oczywiście, nie chcę przez to twierdzić, że wysiłki, do tego celu zmierzające, musiałyby być uwieńczone powodzeniem, że ideologja narodowo-demokratyczna i jej poważne argumenty, a zwłaszcza rosnący nacisk niemiecki nie byłyby i wbrew usiłowaniom Ukraińców doprowadziły Polski do paktu z Sowietami, t. j. tam, gdzie te same czynniki doprowadziły ją, używając Ukraińców jako narzędzia; ale w każdym razie wysiłki, w tym kierunku idące, byłyby zgodne z ukraińską racją stanu, wypływałyby naturalnie z ich położenia, byłyby zrozumiałe. Przyjaciel, czy wróg powiedziałby: „No trudno, nic dziwnego, że Ukraińcy prowadzą swoją ukraińską politykę“. Zamiast tego, Ukraińcy haliccy wzmacniali z całych sił traktat ryski.

Cała publicystyka ukraińska i wszyscy politycy twierdzili jednomyślnie, że traktat ryski cofnął granice rosyjską zanadto ku wschodowi, że Polska stworzyła sobie trakta-

tem ryskim trudności nie do pokonania w postaci kwestji ukraińskiej. Cały niemal ciężar elementu ukraińskiego w Polsce szedł w kierunku odstraszania Polaków od wszelkich zamiarów dalszego cofania granic rosyjskich; pojawiały się nie tylko na Wołyniu, lecz i w Galicji niedwuznaczne przejawy „orjentowania się ukraińskiego narodu ku wschodowi“, jak się to wtedy nazywało.

Że te nastroje i objawy wypływały z pewnej psychozy, nie zaś z życiowego instynktu narodu, o tem świadczy najlepiej bolesna reakcja na polsko-sowiecki pakt o nieagresji, nie mniej przeto są one faktem bardzo niedawnej przeszłości.

Jakie były przyczyny tej psychozy?

U Ukraińców wołyńskich nie potrzeba ich dłużej roztrząsać; narodowy ruch ukraiński na Wołyniu nie był za czasów rosyjskich silny, rusyfikacja umysłów była tam znacznie dalej posunięta, niż na właściwej Ukrainie Dnieprowej, granica ryska była uważana za coś sztucznego, nie bez pewnej słuszności zresztą, a bolszewizm, wtedy przynajmniej, nie miał nic odstraszającego dla ukraińskiego inteligentnego proletarjatu, wychowanego w duchu rosyjskim. Ukrainizacja Wołynia (mówię o ukrainizacji umysłów, nie zaś o etnograficznej przynależności ludności tej prowincji) dokonała się w wielkiej mierze już za czasów polskich pod wpływem Ukraińców halickich.

Bardziej skomplikowane są przesłanki, na których postępowanie swe opierali Ukraińcy haliccy. Działały tu więc przedewszystkiem świeże wspomnienia przegranej wojny z roku 1918 — 19; głęboka niechęć do mocarstw Ententy, w których niewiadomo, dlaczego Ukraińcy haliccy pokładali aż po dzień 15 marca 1923 roku nadzieję, że obdarzą ich własną halicką państwowością, a przedewszystkiem przechodząca nieraz w nienawiść głęboką, kilkadziesiąt lat tradycji już mająca niechęć do Polaków. Już ona sama wystarczała, by ustosunkować się bardzo niechętnie do narzuconych warunków bytowania i do nowego porząd-

ku, w którego trwałość pokonania nie chcieli wierzyć. Za obowiązek patrjotyzmu poczęto uważać przeciwstawianie się temu porządkowi, choćby nie dawało ono żadnych prawdopodobnych korzyści, za obowiązek patrjotyczny poczęto uważać głoszenie niewiary w trwałość nowego, powojenego porządku rzeczy. Cały wysiłek Ukraińców halickich nie poszedł w kierunku najwygodniejszego i najkorzystniejszego urządzenia się w nowopowstałych warunkach, lecz przeciwnie, zużyty został na myślenie lub tylko marzenia o stworzeniu sobie, lub ściślej mówiąc, o otrzymaniu od kogoś warunków innych, wszystko jedno jakich, byle innych. Za cel sam w sobie poczęto uważać znajdywanie się zawsze w obozie innym, niż każdorazowo Polacy. Już sam fakt, że posądzano Polaków o agresywne zamiary w stosunku do Sowietów, budził sympatje ukraińskie do tych ostatnich. Cóż dopiero, gdy propaganda sowiecka przyszła w ukraińskiej szacie, cóż dopiero, gdy poczęła operować hasłem „zjednoczenia", które sporadycznie błąkało się na szpaltach ukraińskich dzienników, aż do ostatnich miesięcy 1932 roku. Do tego wszystkiego doszło jeszcze hasło solidarności „wszystkich pokonanych", przeciwstawiające się rzekomej solidarności „zwycięzców". Z hasła tego zrodzony traktat w Rapallo łudził ukraińców perspektywami na antypolską kooperację sowiecko-niemiecką, a cały, bardzo potężny moralny wpływ niemiecki pracował łącznie z sowieckim, tylko bardziej szczerze od niego, nad niedopuszczeniem do głosu i wpływów jakiejkolwiek realnej koncepcji politycznej wśród Ukraińców halickich. Z różnych założeń wychodząc i do różnych celów zmierzając, były polityka sowiecka i niemiecka zgodne w tem, że Ukraińcy w Polsce muszą pozostać „kwestją nie do rozwiązania", czyli innemi słowy mówiąc, narzędziem obcego w Polsce wpływu i obcej polityki. Ukraińcy zastrzegali się zawsze bardzo stanowczo, ostatnio nawet bardzo kompetentnemi usty (deklaracja Dr. Dmytra Lewickiego w Sejmie z d. 3.XI 1932), że nie chcą być i nie będą narzędziem

czyjejkolwiek polityki. Niema powodu wątpić w szczerość tej deklaracji; nikt nigdy jeszcze od początku świata nie chciał być narzędziem cudzej polityki, ale nie mniej przeto niejeden już w historji niem był. Do istoty narzędzia należy nieświadomość roli, którą spełnia; kto pomaga świadomie jest dobroczyńcą, przyjacielem, sprzymierzeńcem, wreszcie sługą, nigdy narzędziem. Można stać sie narzędziem nawet w ręku najgorszego wroga, którego się jak najbardziej nienawidzi, któremu się jak najbardziej nie ufa i któremu pragnęłoby się, o ile możności, szkodzić.

Naprzykład Dr. Eugenjusz Petruszewicz z pewnością nie darzył Polaków ani Państwa Polskiego najmniejszą sympatją, z pewnością nic dalej nie leży od jego zamiarów, jak chęć dopomożenia polityce polskiej; z pewnością nie byłby był opuścił żadnej sposobności, by Polsce zaszkodzić, gdyby był tylko miał siły po temu i gdyby mógł wiedzieć, jak się to robi. A jednak były takie czasy, gdy, jak to napomknąłem w mej broszurze p. t. „O konstruktywną politykę na Rusi Czerwonej", Dr. Petruszewicz „z precyzją pruskiego grenadjera wykonywał wszelkie rozkazy Warszawy".

Nie mam tu na myśli słynnej z dyskusji, jaka się nad nią w ciągu 1932 roku wywiązała, odpowiedzi, którą we wrześniu 1921-go roku dał na polską propozycję rokowań i porozumienia, gdy mianowicie odmowę motywował tem, że Ukraińcy nie są kompetentnymi do rokowania nad przyszłością Wschodniej Galicji, gdyż „na zasadzie art. 91 Traktatu w St. Germain en Laye suwerenność nad tym krajem należy do Wielkich Mocarstw". Zajmując to stanowisko i dając tę nieprawdopodobną odpowiedź, nie działał Dr. Petruszewicz za suggestją Warszawy, działał zupełnie samodzielnie i sam przy pomocy swych doradców znalazł odpowiedź i jej umotywowanie. Warszawa była o tysiąc mil od przypuszczenia, że Rząd Zachodnio-ukraiński może taką odpowiedź wymyślić. (Dr. Petruszewicz po jedenastu latach zaprzeczył, że tę odpowiedź dał, ale uczynił to dopiero

wtedy, gdy dyskusja w prasie ukraińskiej nie chciała się uspokoić po pierwszem wyjaśnieniu, że jedynie taka odpowiedź była „jurydycznie słuszna", poza tem cała prasa, podlegająca jego wpływowi aż po rok 1923, propagowała nieustannie tezę rzekomej suwerenności mocarstw nad Galicją Wschodnią).

Odpowiedź Dr. Petruszewicza z września 1921 roku zrodziła się samodzielnie w duszy jego własnej i jego doradców, którzy wszyscy, z wyjątkiem jednego tylko, ją aprobowali. Psychologiczne podłoże tej odpowiedzi było trojakie:

1) Zakamieniała polonofobja, t. j. uczucie negatywne, które u Ukraińców halickich bardzo często, choć najniesłuszniej w świecie, bywa utożsamiane z pozytywnem w istocie swojej uczuciem miłości do własnego narodu i zrozumieniem jego racji stanu.

2) Nieufność niekompetencji, t. j. lęk przed powzięciem czegoś ze strony człowieka, niezdolnego do zrozumienia sytuacji i konsekwencji takiego lub innego do niej ustosunkowania się.

3) Właściwe, aż nazbyt często, ukraińskim politykom dążenie do bezpodmiotowości, o którem już powyżej wspomniałem.

Jak już powiedziałem, we wrześniu roku 1921 Rząd polski nie wiedział jeszcze, że Dr. Petruszewicza i Rządu Zachodniej Ukrainy można użyć jako narzędzia. Sierpień i wrzesień 1921-go roku był jednym z tych krótkich momentów, jakie się czasem zdarzały, kiedy w Warszawie brała górę tendencja do rozwiązania sprawy ukraińskiej w Polsce na szerokiej płaszczyźnie, drogą porozumienia, nie traktując narodu ukraińskiego i jego przedstawicieli, jako objekt wyłącznie, lecz jako współprzedmiot, j a k o p a r t n e r a. Taka była geneza oferty, którą firmowały nazwiska: Piłsudski, Witos, Skirmunt.

Jaki był myślowy proces Dr. Petruszewicza i jego doradców?

Oferta przyszła ze strony polskiej, ze znienawidzonej strony polskiej i wzbudziła zrazu zdumienie, bo Rząd Zachodnio-Ukraiński był o tysiąc mil od przypuszczenia, że Polacy są zdolni do takiego ujęcia sprawy. Wszak emigracyjni ministrowie zachodnio-ukraińscy Polaków i Polski nie znali zupełnie, znali ich z polemik, jakie z nimi za czasów austrjackich prowadziła prowincjonalna prasa polska i na tem koniec. Poza tem wiedzieli co najwyżej, że Polska, to jest „ein Saisonstaat". Nagle, jak z jasnego nieba, spada propozycja, przyjeżdża wysoki dostojnik cerkiewny, poważny działacz i polityk i powiada, że był u polskiego ministra Spraw Zagranicznych, że od niego to a to usłyszał, i że Rząd polski zapytuje, czy Rząd Zachodniej Ukrainy skłonny byłby rozpocząć pertraktacje na takiej to platformie.

Po zdumieniu, zabrała głos polonofobja, ta podskórna, nieświadoma, przez dwa pokolenia gazeciarskiej i parlamentarnej połajanki wyhodowana polonofobja. „Czy może być coś dobrego z Nazaretu"? „Timeo Danaos et dona ferentes". I to są zdania, które słyszał każdy Polak, który odważył się wystąpić z jakąś śmielszą lub uczciwszą koncepcją w dziedzinie nieszczęsnych stosunków polsko-ukraińskich. Propozycja przychodzi ze strony polskiej, nic w niej dobrego dla Ukraińców być nie może, im lepiej wygląda, tem groźniejszy w niej kryje się podstęp, to musi być „podrywka" (ileż razy piszący te słowa usłyszał to właśnie określenie). Ten podstęp trzeba z pod nęcących pozorów wyłuszczyć. Szukajmy podstępu!! Mija dzień, mija dwa i trzy; podstępu doszukać się nie można. Wszystko wygląda tak jasno, rozsądnie, uczciwie... Jezus, Marja! Ratujcie wszyscy Święci!! Toż to musi być jakiś podstęp z piekła rodem, że go się nie można doszukać! Polacy muszą „w tem coś mieć". Ta propozycja leży w interesie Polski, więc (i tu wniosek bardzo charakterystyczny) musi być szkodliwa dla Ukraińców, więc trzeba ją odrzucić, więc trzeba ją udaremnić tak, by nikt z Ukraińców nie mógł jej

przyjąć. W tym punkcie następuje dantejskie „il gran rifinto“, skok w bezpodmiotowość. Ukraińcy oferty polskiej nie przyjmą, Ukraińcy oferty polskiej przyjąć nie mogą, bo Ukraińców przecie niema! Niech pan Skirmunt przeczyta tylko artykuł 91 Traktatu w St. Germain, gdzie wyraźnie stoi, że „suwerenność nad Galicją Wschodnią należy do mocarstw“. O, żołnierze polscy i ukraińscy, pocóż tyle waszej krwi popłynęło nad dniestrowem pobrzeżem!! „Suwerenność nad Galicją Wschodnią należy do mocarstw“—cudowna odpowiedź, „jedynie jurydycznie właściwa“, mająca tą dobrą stronę, że propozycję polską grzebie raz na zawsze, bo nikt z Ukraińców nie będzie już jej mógł przyjąć, a mająca jeszcze i tę dobrą stronę, że gdyby się kiedyś okoliczności zmieniły, to nikt za to, co się stało, nie będzie odpowiedzialny, Rząd Zachodniej Ukrainy nie powiedział, że nie chce, powiedział, że nie może, bo suwerenność nad Galicją Wschodnią należy do mocarstw. Znalazł ratunek w bezprzedmiotowości: Ukraińcy są tylko „kwestją“, nie są partnerem, nie są współtwórcami dziejów...

Ćwierć wieku mija od chwili, gdy pod kierownictwem ś. p. Wojciecha Dzieduszyckiego i Wickhama Steeda zacząłem się zapoznawać z tem, co się potocznie nazywa „polityką“. To ćwierćwiecze obfitowało w wypadki wielkie, o niebywałej doniosłości historycznej i danem mi było być ich widzem zazwyczaj z bardzo dobrego punktu obserwacyjnego. Przeżyłem olbrzymich rozmiarów wstrząśnienia, patrzałem na upadek wielkich państw i najczcigodniejszych dynastji, widziałem narodziny nowych ludów i miałem możność obserwować wewnętrzny mechanizm niejednego gabinetu i niejednego spisku; widziałem niejedno pole bitwy, widziałem wszelkie przejawy dobra i zła ludzkiego ducha i charakteru, zapał i poświęcenie i cuda męstwa i przykłady nieprzeliczone tchórzostwa, zdrady i głupoty. I od nadmiaru wrażeń stępiła się moja wrażliwość, wyrobiło się sceptyczne pobłażanie dla ludzi i wypadków. A jednak jeszcze dziś, po dwunastu latach, burzy się w mych żyłach

krew, gdy sobie przypomnę, jak zachodnio-ukraiński dyktator i jego ludzie w zwrotnej dziejów godzinie wyparli się sino-żółtego sztandaru, który Polska wtedy chciała uszanować!

Po tej odpowiedzi stało się jasnem, że Dr. Petruszewicz i jego ludzie nie mogą być nadal brani w rachubę jako partnerzy przy rozstrzyganiu dalszych losów sprawy wschodnio-galicyjskiej. Postanowiono tedy traktować ich nadal wyłącznie jako przedmiot naszej polityki i wykorzystać na korzyść Polski ich swoistą psychikę.

W rok niespełna potem wewnętrzno-polityczna sytuacja uczyniła koniecznem rozwiązanie się Sejmu i przeprowadzenie nowych wyborów. O ile chodziło o sprawę wschodnio-galicyjską, było to o tyle niewygodne, że Ukraińcy w ówczesnych warunkach mogli byli z terenu trzech południowo-wschodnich województw przeprowadzić dwudziestu kilku posłów—„samostijnyków", co mogło w ostatniej chwili utrudnić przygotowujące się ostatecznie, już formalne załatwienie sprawy wschodnio-galicyjskiej. Merytorycznie było już wszystko gotowe, w szczególności międzynarodowe stanowisko Rządu zachodnio-ukraińskiego było już zgórą od roku nieodwołalnie zlikwidowane. Tymczasem poważna ilość posłów, wybranych przez pięcioprzymiotnikowe wybory (jakże łatwo było o legendę, że gdyby nie polskie represje, byłoby ich znacznie więcej), mogła była przy pewnych okolicznościach wnieść nowy czynnik do sprawy, dojrzałej skądinąd do rozwiązania. Początkowo myślano, że uda się odłożyć wybory do niedalekiej chwili załatwienia sprawy Wschodniej Galicji, ale potężne stronnictwa polskie, licząc na dobre dla siebie szanse wyborcze, nie chciały nawet słyszeć o zwłoce. Nie było rady, trzeba było pogodzić się z faktem, że wybory jesienią roku 1922 są nie do uniknięcia, wobec tego po naradach postanowiono w Warszawie, że Dr. Petruszewicz nakaże bojkot wyborów. I Dr. Petruszewicz ten rozkaz ze ślepą zajadłością wyko-

nał!!! Więcej nawet, gdy mu z rozsądnej ukraińskiej strony przedkładano, że decyzja bojkotowania wyborów jest wprost samobójcza, zawinął się w swój płaszcz dyktatorski i z tajemniczą miną oświadczył, że tak może myśleć człowiek z ulicy, on jednak, dzięki swym ścisłym stosunkom z gabinetami mocarstw i znakomitym informacjom, jakie posiada, wie lepiej, co czynić należy i gwarantuje za skutek.

Dziś, po jedenastu latach, sami aktorzy tych dziejów nie mogą pojąć, jak się to stać mogło, że dyktator i ogół ukraiński mogli tak pójść na pasku polityki warszawskiej, że mogli nie zdawać sobie sprawy, iż uchylenie się od wyborów w roku 1922 było ostatniem, najostrzejszem przekreśleniem przegranej już zresztą na tylu innych polach sprawy zachodnio-ukraińskiej. A jednak wytłomaczenie jest niezmiernie proste. Dr. Petruszewicz i jego ludzie szli tępo za podszeptem polonofobji, której intensywność zaciemniała im sąd. Nie zdobyli się na politykę konstruktywną, na politykę, w której byliby podmiotem, na politykę, płynącą z poczucia ukraińskiego interesu. Jedyną polityką, na którą się zdobyć mogli, to była polityka antypolska, t. j. to, co w ciasnem rozumieniu swem za taką uważali, innemi słowy mówiąc, mogli się zdobyć tylko na coś, co było wypływem i refleksem polityki polskiej, tak, że w końcu musieli się stać jej narzędziem. Musieli się stać narzędziem, pracującem na zgubę swej własnej sprawy, bo nie chcieli przyjąć na siebie roli współpartnera, nie chcieli zaś dlatego, że przyjmując ją, byliby musieli uwzględnić i równoległy interes Polski. Nie jestem wcale pewny, że ta psychologja, która poświęci zawsze interes ukraiński tam, gdzie będzie on równoległy z interesem Polski, należy już do przeszłości.

Dr. Petruszewicz w roku 1922, t. j. wtedy, gdy już w zupełnie niepoczytalny sposób grzebał swoją sprawę, lubił wobec wszelkich perswazji rozsądniejszych rodaków powoływać się na swoje stosunki z możnymi tego świata, którzy lada chwila mieli coś zrobić dla Ukraińców. Znowu ten pęd do bezpodmiotowości. „Mocarstwa miały wyrzec su-

werenność Wschodniej Galicji“ pisał jeszcze w 1932 roku jeden z najpoważniejszych polityków ukraińskich starszego pokolenia, który odegrał wielką rolę w wypadkach 1918—1922 r. I na dowód rozmiaru wpływów ukraińskich na arenie międzynarodowej cytował (powtarzam, że było to jeszcze w 1932 roku) wniosek, jaki na Zgromadzeniu Ligi Narodów postawił w roku 1921 delegat Kanady, wniosek, w którym, jak wiadomo, delegat Polski, prof. Askenazy, zmienił tylko jedną literę (ze „statut“ na „status“) i sam pierwszy za nim głosował. Powoływać się na tego rodzaju przykład można tylko w dobrej wierze, bo trudno jest posądzać jednego z najpoważniejszych polityków ukraińskich, że do tego stopnia lekceważy sobie własny naród, że uważa, iż można bezkarnie taką mu bajeczkę opowiedzieć. Choć znam wypadki bezprzykładnego zaiste lekceważenia własnego narodu przez zagraniczne placówki ukraińskie, wypadki bardzo świeżej, wręcz najświeższej daty, gdy jedno z biur ukraińskich zagranicą przefabrykowało a d u s u m n a s z e j h a l i c k i e j p u b l i c z n o ś c i tekst debaty w angielskiej Izbie gmin i w komunikacie rozesłało go ukraińskiej prasie. A przecież stenogramy z posiedzeń angielskiej Izby gmin wychodzą drukiem w dwadzieścia cztery godzin po debacie, można je kupić za parę groszy i można tak łatwo sprawdzić, czy i co było mówione. Z czyjego nakazu i w czyim interesie karmi się takiemi bajeczkami umysły narodu? A jeżeli się tak postępuje z tekstami, które każdy może sprawdzić, to co dopiero być musi ze sprawozdaniami z konferencji poufnych, przy których niema świadków i o których przebiegu można bez obawy kontroli opowiadać wszystko, co się chce.

Boję się, że nadużywam cierpliwości czytelnika; że czytelnik polski, czy ukraiński powie, że poruszam sprawy, które mnie nie obchodzą. Czytelnik polski powie, że jeżeli Ukraińcy robią błędy, to tem lepiej, sami na tem najgorzej wyjdą, my możemy tylko się z tego cieszyć, bo Ukraińcy, to

nasz wróg, z którym się nigdy dogadać nie będziemy mogli, więc każdy ich błąd jest tem samem dla nas korzystny. Czytelnik ukraiński zaś powie mi, że to jest właściwie ukraińska sprawa osądzić, czy to, co robią ukraińscy politycy, jest dobre, czy złe, a widocznie nie musi być tak zła ich polityka, skoro się temu Polakowi tak nie podoba. Ten brak entuzjazmu z polskiej strony może działać raczej na podtrzymanie dotychczasowego ducha i dotychczasowych nastrojów w społeczności ukraińskiej. Wszak co dla Polski jest nieprzyjemne, jest zbawieniem Ukrainy, Timeo Danaos et dona ferentes etc.

Nie uważałem nigdy naszych trzech południowo-wschodnich województw ani za Zachodnią Ukrainę, ani za Wschodnią Małopolskę i nigdy ich zapewne ani za jedno, ani za drugie uważać nie będę. Uważałem je, uważam i uważać będę za to, czem są w istocie, za stare królestwo halickie, za starą polską Ruś Czerwoną, za dzielnicę, której oblicze bardzo wyraźnymi rysami wyrzeźbiła historia. A wolą historji, już blisko dziesięciowiekowej, było, by ziemia ta stała się terenem zetknięcia, zmieszania i połączenia słowiaństwa lechickiego i słowiaństwa ruskiego. Ziemia ta jest i pozostanie, cokolwiekby nacjonaliści jednej i drugiej strony chcieli, typową ziemią polsko-ruską, to jest polsko-ukraińską, bo to jest jedno i to samo.

Ale powiedzą mi może ze strony ukraińskiej, że Ukraińcy mają na tej ziemi liczebną przewagę. Zapewne, że tak jest, ale czyż woda, aby być słoną, musi zawierać aż pięćdziesiąt procent soli?

Ziemia czerwieńska, ziemia halicka, to ziemia polsko-ukraińska, to jest jej zasadnicza cecha charakterystyczna i wszelka polityka, która zapomni o tem podstawowem założeniu, wszelka polityka, próbująca odrobić dziesięciowiekowe dzieło historji, a tem samem usiłująca iść wbrew tendencjom także dziejów przyszłych, jest polityką złą, błędną i same tylko szkody przynieść musi. Wszystko jedno, czy ją będą prowadzić Polacy, czy Ukraińcy.

Społeczność słowiańska dzielnicy halickiej rozpada się na dwa narody, to prawda, tak samo, jak społeczność katolicka tej ziemi rozpada się na dwa obrządki. Ale podobnie, jak to, co się wewnątrz unickiej cerkwi dzieje, nie dzieje się w łonie jakiegoś narodowego kościoła ukraińskiego, lecz wewnątrz wspólnego, powszechnego Kościoła katolickiego, tak samo to, co się dzieje w łonie jednego z narodów ziemi czerwieńskiej, dzieje się w łonie całej społeczności i nie może być traktowane, jako rzec obca, lub obojętna. Dlatego to, pisząc o rzeczach ukraińskich, nie miałem nigdy uczucia, że piszę o rzeczach cudzych, obcych lub wrogich, lecz pisałem o nich zawsze, jako o rzeczach mej własnej społeczności. I choć nie wielu Polaków, a zapewne prawie nikt z Ukraińców, to moje stanowisko dzisiaj podziela, nie mniej przeto wiem, że do niego należy przyszłość i uzdrowienie.

Dlatego to, póki miałem możność praktycznego wpływania na bieg spraw w dzielnicy halickiej, zawsze starałem się sprowadzić Rząd polski na platformę, którą uważam za jedynie możliwą podstawę dla zdrowej i owocnej polityki, zawsze też starałem się zaszczepić w społeczności ukraińskiej zrozumienie, że musi się ona stać tej polityki partnerem, współpodmiotem. Tezami zasadniczemi tej koncepcji polityki narodowościowej na ziemiach mieszanego zasiedlenia jest: 1) w sprawach, jedną tylko narodowość obchodzących, jak najdalej posunięta samodzielność i bezpośredni kontakt z państwem, bez pośrednictwa drugiej narodowości; 2) w sprawach ogólnych parytet; 3) w dziedzinie polityki międzynarodowej równoległość.

Jak dotąd, mam na sumieniu trzy nieudałe próby praktycznej realizacji tej polityki: pierwsza, to znany już epizod z Dr. Petruszewiczem z r. 1921, druga, to ustawa o samorządzie wojewódzkim z roku 1922, trzecia, to próba stworzenia wyższej uczelni ukraińskiej imienia Króla Daniela Halickiego z r. 1924. Ta ostatnia sprawa będzie przedmiotem osobnego mego artykułu w „Biuletynie Polsko-Ukraiń-

skim“, więc jej tutaj nie omawiam, pierwsza zaś jest dostatecznie znana. Tutaj parę więc tylko słów o sprawie samorządu wojewódzkiego z r. 1922.

„Narodny Komitet“, natychmiast po jej uchwaleniu przez Sejm, rozesłał do kancelarji zainteresowanych mocarstw protest przeciw tej ustawie (tekst tego protestu znajduje się w archiwach Ministerstwa Spraw Zagranicznych). Czyniąc to, pozbawił Ukraińców ostatniej już możliwości uzyskania jakiejś międzynarodowej gwarancji dla ukraińskiego stanu posiadania w Polsce. Ze wstępu do uchwały Konferencji Ambasadorów z 15 marca 1923, na który teraz Ukraińcy tak często się powołują, nic konkretnego wyinterpretować się nie da. Zresztą do interpretowania układów międzynarodowych powołane są tylko strony kontraktujące. Wniesiona przez angielskich parlamentarzystów (znowu przykład ucieczki od podmiotowości) petycja do Ligi Narodów była tylko dowodem kompromitującej naiwności tych ludzi i poszła ad acta. Żaden inny los jej spotkać nie mógł, była tylko znowu wyzyskana przez różne zagraniczne agentury, jako sposobność do opowiedzenia społeczeństwu ukraińskiemu jeszcze jednej, podtrzymującej nieuzasadnione nadzieje bajeczki.

Dziś ze strony ukraińskiej i to nie tylko w przemówieniach sejmowych, słyszy się bardzo często skargi, że Rząd polski „nie dotrzymał przyrzeczenia“ i nie wprowadził w życie ustawy o samorządzie wojewódzkim z r. 1922-go, pomimo protestu ukraińskiego społeczeństwa. Takie stawianie sprawy jest przejawem bardzo bolesnego samolekceważenia się, jest ono bowiem równoznaczne z doświadczeniem, że: 1) przejawów ukraińskiej opinji nie trzeba brać poważnie, 2) że Ukraińców nie należy traktować, jako partnera, jako współpodmiot, współregulujący wzajemne stosunki obu narodów dzielnicy halickiej, lecz można i trzeba traktować ich wyłącznie jako przedmiot. Jest też w takiem stawianiu sprawy pewna doza poniżającej godność narodową chytrości: „Dajmy sobie samo-

rząd narzucić, korzyść podwójna — po pierwsze będziemy go mieli, po drugie będziemy mogli narzekać na krzywdę". Znowu strach przed podmiotowością, bo podmiotowość, to jest świadome swych celów i odpowiedzialności wykuwanie stopniowe własnemi rękoma przyszłości narodu, to nieustanna wymiana żądanych praw za dobrowolnie na siebie przyjęte i z godnością spełniane obowiązki.

Nie wiara w teksty układów, nie noszących ukraińskiego podpisu, przyniesie narodowi lepszą przyszłość. Nie przyniósł jej ani układ w St. Germain, ani wstęp do decyzji Konferencji Ambasadorów z 15. III. 1923; w życiu narodów bardziej jeszcze, niż w życiu jednostek, pamiętać trzeba o prawdzie, że litera martwą jest, a czyn tylko zbawia. Naród, to nie dziecko, któremu święty Mikołaj przyniesie zabawkę, gdy będzie grzeczne; święty Mikołaj w polityce, to p. Doherty, który daje sobie prof. Askenazemu zmienić jedną literę, ale za to cały sens w swym wniosku, to tych tam kilku posłów angielskich, którzy przed niewłaściwe forum zanoszą petycje, oparte o powietrze, a domagające się niewiadomo czego, to wreszcie hitlerowskie obietnice zjednoczonej buforowej Ukrainy.

Żaden naród nigdy niczego nie dostał od żadnego protektora; naród ma tylko to, co sobie w zwrotnych chwilach dziejów własną siłą zdobyć potrafi i to, co sobie w szarej codziennej dobie wypracuje. Naród musi mieć pozytywną świadomość swej podmiotowości, a to jest całkiem co innego, niż negatywna świadomość swej odrębności.

Publicystyka ukraińska od niejakiego czasu żąda od Polaków tonem bardzo stanowczym, nieraz wręcz ultymatywnym „czynów, a nie słów". Żądanie słuszne, ale cóż pomoże polski „czyn", jeżeli go nie przyjmie ukraińska opinia, jeżeli nie istnieje partner ukraiński? Piszący te słowa ma przecież na sumieniu aż trzy takie polskie czyny i co z nich wynikło? Nic a nic, bo za każdym razem partner ukraiński schronił się w bezpodmiotowość...

Wynikła nawet może pewna szkoda. Każde powo-

dzenie zachęca, każde niepowodzenie odstrasza. Żaden rząd, żaden minister, żaden wojewoda, a już broń Boże poseł lub senator, nie chce narażać się na niepowodzenie i kompromitację. Polityka na bardzo daleką metę, przygotowana na przetrwanie niejednego niepowodzenia, to nie jest rzecz na dzisiejsze czasy, czasy kinematografu, demokracji i dyktatur i rządów inteligentnego proletarjatu. Dziś szuka się przedewszystkiem „sukcesu". Żmudne prace przygotowacze zostawia się temu, kto łaskaw, na jego własny koszt i ryzyko. Jeżeli ma ochotę, niech się pora z opinją publiczną.

Robi się tedy robotę przygotowaczą, tworzy się—witane z dużą nieufnością przez opinię ukraińską — placówki, jak „Biuletyn polsko-ukraiński", jak „Polsko-ukraińskie Towarzystwo naukowe". Celem ich nie jest jedynie „przygotowanie psychiki polskiej", co też wywołało szereg niechętnych komentarzy, lecz także równie ważne mierzenie politycznej temperatury ukraińskiej, badanie wzrostu poczucia własnej podmiotowości w społeczeństwie ukraińskiem, bez którego wszelki polski „czyn", podobnie, jak poprzednie, pozostanie tylko efemerydą, nieudałą próbą.

Bóg nie może zbawić jednej duszy ludzkiej bez jej współdziałania; „kwestja ukraińska" nie może i nie powinna być rozwiązana bez Ukraińców. Potrzeba nam partnera. Ale Ukraińcom trzeba się nim stać, bo póki nie okrzepną w poczuciu własnej podmiotowości, póki nie przyjmą na siebie wszelkich, z tem związanych niewygód i ciężarów, póty pozostać muszą... „kwestją ukraińską".

Stanisław Łoś.

Nie dotykając zupełnie wywodów szanownego Autora, może i ma prawo Redakcja wyciągnąć z nich pewien, coprawda tylko szczegółowy, ale kategoryczny wniosek na własną rękę, który pokrywa się całkowicie z linją prze-

wodnią „Naszej Przyszłości“, ciągnącą się od dwóch lat nieprzerwanie w naszych poglądach na sprawę ukraińską.

Dlaczego Ukraińcy nie byli w stanie, jak to słusznie stwierdza autor na konkretnych przykładach, uchwycić realnych możliwości swego politycznego i narodowego rozwoju? Dlaczego odrzucali z doktrynerskim uporem i zaprzepaszczali korzystne okazje?

Rzecz prosta i jasna: bo w społeczeństwie ich miarodajną jest dotąd zapalczywa, doktrynerska, zawsze radykalizująca idea demokratyczna, takiego, czy innego autoramentu. A naród bez odpowiedniego współdziałania idei konserwatywnej, twórczej, budującej, nie jest w stanie uchwycić i zrealizować swej właściwej racji stanu. A już pod żadnym warunkiem nie jest do tego zdolny naród, pozbawiony państwa, w wielu swych warstwach zniszczony, a więc społecznie kadłubowy, dążący dopiero do jakiegoś odrodzenia, przy wybitnym braku realnych sił i środków do tego. W takich warunkach rozwichrzona, z natury swej istoty negatywna, tylko burząca — nawet w swych pozornie konstruktywnych zamierzeniach — idea demokratyczna, przeciwstawiająca się zawsze komuś i czemuś (bo bez tego istniećby nie mogła), nie jest oczywiście w możności wyciągnąć rydwanu ukraińskiego z odwiecznej topieli.

Ma autor zupełną słuszność, że Polska ma wciąż jeszcze do czynienia tylko ze „sprawą ukraińską“, a nie z realnym ukraińskim narodem. Bo tego jakgdyby nie było. Ucieka przed nami, otulając się w jakąś mgłę mirażu, jakichś ciągłych krzywd (jakby innym ludziom na świecie źle nie było!), a w rezultacie istotnie **nie mamy przed sobą partnera!** Naród ukraiński ucieka przed rzeczywistością, nie chcąc zdać sobie sprawy z tego, że każda pożądana lepsza rzeczywistość może być wykuta dopiero, gdy człowiek stanie na twardym gruncie rzeczywistości chwilowej, realnej.

I dlatego to podnosimy na łamach tego pisma raz po

raz z takim naciskiem, że jeżeli „sprawa ukraińska“ ma wejść nareszcie na jakiekolwiek realne tory i jakiekolwiek konkretne dać narodowi ukraińskiemu korzyści, to musi najpierw rozwinąć się w jego łonie dość silna idea, mentalność i taktyka konserwatywna, musi kadłubowe dotąd społeczeństwo ukraińskie uzupełnić się nową warstwą, wyznającą ten konstruktywny system myśli i pracy, którego Ukraińcom od niepamiętnych czasów brakło zupełnie.

Redakcja.

CHAOS SPOŁECZNY.

Rozdział pod powyższym nagłówkiem z wybitnego dzieła René Guénon'a p. t. „La crise du monde moderne“ nadesłano nam w tłumaczeniu. Zamieszczamy go, jako bardzo trafną analizę doktryny demokratycznej i jej odziaływania na dzisiejsze stosunki.

Nie leży w zakresie niniejszego studjum zastanawianie się nad punktem widzenia społecznym, obchodzącym nas jedynie bardzo pośrednio, ponieważ przedstawia on dość odległe zastosowanie zasad podstawowych i dlatego właśnie naprawa świata współczesnego nie mogłaby nastąpić, rozpoczynając od tej dziedziny.

Naprawa ta w samej rzeczy, podjęta w ten odwrotny sposób, to znaczy rozpoczynając od skutków, zamiast od przyczyn, byłaby pozbawioną poważnych podstaw, a zatem byłaby tylko ułudą; nic stałego nie mogłoby z niej wyniknąć i należałoby wciąż rozpoczynać wszystko od początku, dlatego, że uprzednio nie osiągnęło się porozumienia, co do prawd zasadniczych. Z tej to przyczyny jest niemożebnem udzielić kategorjom politycznym, nawet w najszerszem znaczeniu tej nazwy, innego znaczenia, jak tylko znaczenia zwykłych znaków zewnętrznych umysłowości danej epoki. Jednakże nawet pod tym kątem widzenia nie możemy pominąć zupełnem milczeniem przejawów bezładu współczesnego w dziedzinie społecznej, jako takiej.

Nikt w obecnym stanie świata zachodniego nie znajduje się na stanowisku, któreby mu odpowiadało normalnie ze względu na jego własną naturę; wyraża się to powiedzeniem, że kasty już przestały istnieć, kasta bowiem, pojęta w swem właściwem, tradycyjnem znaczeniu, nie jest

niczem innem, jak samąże naturą indywidualna z całokształtem specjalnych uzdolnień, które to uzdolnienia przygotowują każdego człowieka do spełniania takiej lub innej funkcji. Z chwilą zaś, gdy dostęp do jakichkolwiek czynności nie podlega już żadnej uzasadnionej regule, wynika nieuchronnie, że każdy będzie wykonywał jakiebądź czynności, często takie, do których jest jak najmniej zdatny, rola zaś jego w społeczeństwie będzie określona nie przez traf — który w istocie nie istnieje [1]) — ale przez to, co daje złudzenie ślepego trafu, czyli przez zazębienie różnego rodzaju przypadkowych okoliczności. Najmniejsze mieć tu będzie znaczenie jedyny czynnik, który powinienby znaczyć w podobnym wypadku; mamy tu na myśli różnice usposobienia, istniejące między ludźmi.

Przyczyną całego tego bezładu jest zaprzeczenie tych właśnie różnic, tyczące się również i hierarchji społecznej; zaprzeczenie to, zrazu może ledwie świadome i objawiające się raczej w praktyce, niż w teorji — pomieszanie kast bowiem poprzedziło ich zupełne skasowanie, a raczej, innemi słowy, pomylono się co do natury poszczególnych jednostek, zanim się nauczono nie brać ich zupełnie pod uwagę — zaprzeczenie to więc, powtarzamy, zostało przez współczesnych podniesione do godności pseudo-zasady pod nazwą „równość". Byłoby zbyt łatwem zadaniem wykazać, że równość nie może nigdzie istnieć, dla tej prostej przyczyny, że niema dwuch istot, które byłyby jednocześnie wyraźnie odrębne i zupełnie podobne do siebie pod każdym względem; równie łatwo możnaby wykazać wszystkie bezsensowne skutki, wynikające z tego urojonego pojęcia, w imię którego narzuca się wszędzie jednakowy szablon, jak np. dając wszystkim jednakowe wykształcenie, tak, jakgdyby wszyscy byli w stanie rozumieć te same rze-

---

[1]) To, co ludze nazywają trafem, jest poprostu nieznajomością z ich strony przyczyn; gdyby przez powiedzenie, że „coś się stało przypadkiem", chciało się wyrazić, że dane wydarzenie stało się bez przyczyny, byłoby to przypuszczenie, sprzeczne samo w sobie.

czy, lub też jakgdyby do pojęcia tychże można było stosować dla wszystkich bez różnicy jedne i te same metody. Możnaby postawić pytanie, czy nie chodzi tu raczej o wyuczenie się, niż o zrozumienie prawdziwe, to znaczy, czy inteligencja nie jest tu zastąpiona pamięcią, w pojęciu czysto słownem i „książkowem“ obecnego systemu nauczania, dążącego jedynie do nagromadzenia pierwotnych i luźnych wiadomości i w którym chodzi o ilość tych wiadomości, a nie o ich rodzaj; dzieje się to w świecie współczesnym z przyczyn, które wyjaśnimy dokładniej nieco dalej: jest to zawsze rozproszenie w wielorakości. Możnaby tu powiedzieć wiele o błędach nauczania przymusowego, nie tu miejsce jednak nad tem się zastanawiać; nie chcąc zaś wychodzić z ram, któreśmy sobie zakreślili, musimy się zadowolnić zaznaczeniem mimochodem owego specjalnego skutku teorji równości, jako jednego z czynników nieładu, czynników zbyt licznych, aby można je wymienić wszystkie, nie pominąwszy z nich ani jednego.

Oczywiście, jeśli znajdziemy się wobec pojęcia takiego, jak „równość“ lub „postęp“, lub też wszelkich innych dogmatów świeckich, na ślepo przyjmowanych przez prawie wszystkich naszych współczesnych, dogmatów, z których największa część zaczęła się kształtować w XVIII stuleciu, to staje się niemożliwością przypuszczenie, że takie pojęcia mogły się zrodzić spontanicznie. Są to rzeczywiste sugestje, w najściślejszem tego słowa znaczeniu, nie mogące wywierać wpływu gdzieindziej, jak tylko w środowiskach, na przyjęcie ich przygotowanych; pojęcia te nie wytworzyły same całkowicie stanu umysłu, charakteryzującego epokę współczesną, ale znacznie przyczyniły się do rozwoju jego w stopniu, któregoby sam przez się nie zdołał osiągnąć. Gdyby te sugestje się rozwiały, ogólna umysłowość rychłoby zmieniła orjentację, dlatego też są one tak starannie podtrzymywane przez tych wszystkich, którym zależy na podtrzymywaniu nieładu, jeśli już nie na powiększaniu takowego; stąd również w czasach, w któ-

rych wszystko podlega dyskusji, jedynie te właśnie pojęcia nie bywają dyskutowane. Trudno jest zresztą określać dokładnie stopień szczerości tych, którzy zajmują się propagandą podobnych pojęć, jak również zbadać, do jakiego stopnia ludzie dają się brać na lep własnych kłamstw i sugestjonują siebie samych, sugestjonując innych; a nawet w tej propagandzie ci właśnie naiwni, poddający się własnej sugestji, są najlepszemi narzędziami, wnoszą tu bowiem głębokie przeświadczenie, któreby inni z trudnością mogli symulować i które łatwo się udziela. Poza tem wszystkiem jednakże potrzebna jest akcja, najzupełniej świadoma, potrzebny jest kierunek, który może być nadany jedynie przez ludzi, zdających sobie dokładnie sprawę z myśli, wypuszczonych przez siebie w obieg. Użyliśmy tu wyrażenia „myśli", określenie to jednak nie jest tu właściwie użyte, jest bowiem rzeczą oczywistą, że nie chodzi tu o myśl oderwaną, ani o cokolwiek, mogącego być choćby w przybliżeniu zaliczonem do kategorji „intelektu". Są to myśli fałszywe, jeśli chcemy; lepiej, by je wszakże określić jako „pseudomyśli", przeznaczone głównie do wywoływania reakcji sentymentalnych, co jest w samej rzeczy środkiem, najłatwiejszym i najskuteczniejszym dla oddziaływania na masy. Pod tym względem „słowo" ma tu większe znaczenie od pojęcia, które ma wyrażać i po największej części „bożki współczesne" są właściwie tylko słowami. Okazuje się tu bowiem ten osobliwy fenomen, znany pod nazwą „werbalizmu", kiedy to dźwięk słów wystarcza, by dać złudzenie myśli. Wpływ, wywierany przez mówców na tłumy, jest szczególnie charakterystyczny w tym względzie; nie potrzeba go studjować bliżej, by uświadomić sobie, że chodzi tu o działanie sugestji, którą porównać można do sugestji hipnotyzerów.

Nie zatrzymując się dłużej nad temi spostrzeżeniami, powróćmy do skutków, jakie pociąga za sobą zaprzeczenie wszelkiej prawdziwej hierarchji i zauważmy, że w obecnym stanie rzeczy człowiek nietylko pełni odpowiednią dla

siebie funkcję jedynie przypadkowo i w drodze wyjątku, podczas kiedy właśnie taki stan rzeczy powinienby się zaliczać do wyjątków, ale jeszcze się zdarza, że jeden i ten sam człowiek bywa powołany do pełnienia coraz to innych funkcji, tak, jakgdyby mógł zmieniać dowolnie swoje uzdolnienia. Wydać to się może paradoksem w tej epoce „specjalizacji", ale tak się dzieje w istocie, osobliwie w dziedzinie polityki. Jeżeli kompetencja „specjalistów" bywa często bardzo złudną, a w każdym razie bywa zamkniętą w ramach bardzo ciasnych, to wiara w tę kompetencję jest jednakże faktem. Można więc zadać sobie pytanie, jak się to dzieje, że wiara ta nie odgrywa już żadnej roli, jeśli chodzi o karjerę polityków, w której najzupełniejszy nawet brak tej kompetencji rzadko kiedy stanowi przeszkodę? Przy bliższem jednakże zastanowieniu się dochodzimy do wniosku, iż nic w tem niema osobliwego, ponieważ jest to wynik bardzo naturalny pojęcia „demokracji", mocą którego władza przychodzi z dołu, opierając się przedewszystkiem na większości, co znowu ma, jako nieunikniony skutek, wykluczenie wszelkiej istotnej kompetencji, ponieważ wszelka kompetencja związana jest z pojęciem pewnej wyższości, nawet względnej i może być jedynie przywilejem mniejszości.

Pewne wyjaśnienia nie będą tu zbędnemi: z jednej strony, aby wykazać sofizmaty, ukrywające się pod pojęciem „demokracji", z drugiej zaś strony węzły, wiążące te pojęcia z całokształtem umysłowości współczesnej. Wobec zajętego przez nas stanowiska nie potrzeba wyjaśniać, że wszystkie te uwagi czynione są poza nawiasem wszelkich konfliktów politycznych, w których, czy to zbliska, czy zdaleka, nie rozpoznajemy się zgoła. Zapatrujemy się na te kwestje w sposób, najzupełniej bezinteresowny, tak, jakgdyby tu chodziło o każdy inny przedmiot badań, starając się jedynie uświadomić sobie jaknajdokładniej, co spoczywa na dnie tych zagadnień; stosowanie tej metody jest niezbędnym i dostatecznym warunkiem do rozwiania wszel-

kich złudzeń, jakie mają pod tym względem nasi współcześni. Chodzi tu również właściwie o „sugestję“, tak, jak to mówiliśmy przed chwilą, poruszając pojęcia nieco różne, choć pokrewne; skoro zaś ma się świadomość, że to sugestja, skoro się zrozumiało jej działanie, nie można już tej sugestji podlegać. W tego rodzaju kwestjach badanie głębsze i czysto „objektywne“, używając specjalnego żargonu, zapożyczonego od filozofów niemieckich, jest znacznie skuteczniejsze od wszelkich deklamacji sentymentalnych i od wszelkich polemik partyjnych, które niczego nie dowodzą i są tylko wyrazem zwykłych upodobań indywidualnych.

Najsilniejszy argument przeciwko demokracji daje się streścić w kilku słowach: Pierwiastek wyższy nie może pochodzić z niższego, ponieważ „p l u s“ nie może wynikać z „m i n u s u“. Jest to absolutna prawda matematyczna, której nic nie może obalić. Należy zauważyć, że ten sam argument, zastosowany w innej dziedzinie, służy również przeciwko materjalizmowi. Niema nic przypadkowego w tem uzgodnieniu i dwa te zagadnienia są znacznie ściślej związane ze sobą, niżby się to mogło na pierwszy rzut oka wydawać. Jest aż nazbyt jasnem, że lud nie może udzielać władzy, której sam nie posiada: prawdziwa władza nie może pochodzić skądinąd, jak tylko z góry. Dlatego, zauważmy to mimochodem, władza nie może zostać uprawniona, jak tylko przez coś wyższego nad porządek społeczny, czyli przez autorytet duchowy; jeżeli jest inaczej, będzie to tylko karykatura władzy, jedynie „stan faktyczny“, jednak z braku zasady nie usprawiedliwiony, w którym panować może jedynie nieporządek i zamieszanie. Takie obalenie wszelkiej hierarchji rozpoczyna się z chwilą, gdy władza doczesna chce się wyzwolić z pod władzy duchowej, następnie, gdy chce ją uczynić sobie podległą pod pozorem użycia jej do celów politycznych; jest to pierwsza uzurpacja, otwierająca drogę następnym i możnaby wykazać, że np. królowie francuscy już od XIV wieku pracowali nie-

świadomie nad przygotowaniem Rewolucji, która miała ich obalić. Innym razem będziemy może mieli sposobność rozwinąć lepiej ten punkt widzenia, który dziś możemy wskazać jedynie bardzo pobieżnie.

Jeżeli określimy demokrację, jako rządzenie się ludu własną, od niego samego pochodzącą władzą, to stajemy wobec niemożliwości, wobec rzeczy, która faktycznie nie może istnieć, ani w naszej epoce, ani w żadnej innej; nie można dać się oszukać słowom, a jest przecież sprzecznością uznać za możliwe, aby jedni i ci sami ludzie byli równocześnie rządzącymi i rządzonymi. Albowiem, chcąc tu użyć języka Arystotelesa, jedna i ta sama istota nie może istnieć w „czynności" i „w potędze", w tym samym czasie i w tym samym stosunku. Panujący tu stosunek wywołuje z konieczności dwa określenia: Nie byłoby rządzonych, gdyby równocześnie nie było rządzących, nawet gdyby ci sprawujący rządy sprawowali je bezprawnie, bez innego prawa, jak to, które sobie przywłaszczyli sami; cała umiejętność rządzących w świecie współczesnym polega na wpajaniu w lud przekonania, że rządzi sam sobą, a lud chętnie wierzy temu twierdzeniu, zwłaszcza, że mu ono pochlebia i że sam nie jest w stanie zastanowić się głębiej, by się przekonać, że jest ono niemożliwością. Dla wytworzenia tego właśnie złudzenia zostało wymyślone „powszechne głosowanie"; opinja większości ma nibyto stanowić prawo, czego się jednak nie spostrzega, to właśnie tej prawdy, że opinja jest czynnikiem, dającym się bardzo łatwo kierować i urabiać zawsze zapomocą stosownych sugestji, że można w tej opinji wywoływać prądy w tym lub innym określonym kierunku. Nie pamiętamy już, kto pierwszy użył określenia co do „fabrykowania opinji"; jest to określenie najzupełniej słuszne, choć należy tu dodać, że niezawsze ci sprawujący na pozór władzę mają w rzeczywistości potrzebne środki do rozporządzenia dla osiągnięcia tego skutku. To ostatnie spostrzeżenie tłumaczy przyczynę, dla której brak kompetencji u polityków, znajdujących się na „świeczniku", ma

jedynie znaczenie bardzo względne. Ponieważ jednak nie chodzi nam tu o rozbieranie części składowych tak zwanej „machiny rządzącej“, poprzestajemy na zaznaczeniu, że brak właśnie tej kompetencji daje możność podtrzymywania tego wyżej wspomnianego przez nas złudzenia. Jedynie bowiem w tych warunkach politycy, o których mowa, mogą uchodzić jako emanacja większości, będąc niejako jej odbiciem, albowiem większość, powołana do wygłoszenia swego zdania w jakiejkolwiek kwestji, jest zawsze złożona z osobników niekompetentnych, których liczba jest zawsze większą od liczby tych, którzy są w stanie wypowiedzieć się z całkowitą znajomością rzeczy.

Prowadzi nas to do określenia, na czem polega zasadniczy fałsz pojęcia, że większość ma stanowić prawo, gdyż nawet, jeśli to pojęcie siłą rzeczy jest najzupełniej teoretyczne, pozostaje jeszcze do wytłumaczenia, w jaki sposób mogło się ono zakorzenić w umyśle współczesnym, oraz jakie są dążności tegoż umysłu, którym to pojęcie odpowiada i które pozornie zadawalnia. Błąd najwidoczniejszy, to ten właśnie, któryśmy tylko co wskazali: zdanie większości może być jedynie wyrazem niekompetencji, która z kolei wynika z braku inteligencji lub z prostej i czystej ignorancji. Możnaby tu przytoczyć pewne spostrzeżenia z dziedziny „psychologji zbiorowej“, a mianowicie przypomnieć fakt dość znany, że w tłumie zbiór reakcji umysłowych, objawiających się wśród jednostek, tłumy tworzących, wytwarza rezultat, nie osiągający nawet poziomu przeciętności, ale poziom czynników najniższych. Możnaby tu z drugiej strony zauważyć, jak to niektórzy filozofowie współcześni chcieli zaszczepić w dziedzinie intelektualnej teorję „demokratyczną“, obwieszczającą przewagę zdania większości, czyniąc z tak zwanej zgody ogółu pozorne „kryterjum prawdy“. Nawet przypuszczając, że istnieje w rzeczywistości kwestja, co do której wszyscy ludzie mieliby uzgodnione zdanie, to uzgodnienie niczby samo przez się nie dowodziło. Prócz tego nawet, gdyby ta jednomyśl-

ność istniała istotnie — co jest zawsze wątpliwem, tembardziej, że jest zwykle znaczna liczba ludzi, nie mających żadnego zdania w jakiejkolwiek kwestji i którzy nawet nigdy nie zastanawiali się nad daną kwestją — byłoby w każdym razie niemożliwością stwierdzić faktycznie powyższą jednomyślność, tak, że to, co się przytacza na korzyść danej opinji i jako dowód jej prawdziwości, okazuje się tylko zgodą największej liczby ludzi, zgodą, zamkniętą w środowisku, bardzo ograniczonem w czasie i przestrzeni. W dziedzinie tej uwydatnia się jeszcze bardziej, że teorja ta pozbawiona jest podstawy, gdyż łatwiej tu przychodzi uodpornienie się na wpływy uczucia, które wchodzi w grę, jako nieomal że nieuniknione, gdy chodzi o dziedzinę polityczną. Jest to właśnie wpływ sentymentu, stanowiącego jedną z głównych przeszkód do zrozumienia niektórych rzeczy, nawet dla tych, którzy skądinąd mają zdolność umysłowa, w pełni wystarczającą, aby bez trudu zrozumienie to osiągnąć. Impulsy emocjonalne przeszkadzają zastanowieniu się; jednym z najpospolitszych wybiegów polityki jest właśnie umiejętność, wykorzystująca tę niezdolność zrozumienia.

Zbadajmy jednak samo sedno kwestji: czem jest właściwie to prawo większości, na które się powołuja rządy współczesne i z którego czerpią swoje usprawiedliwienie? Jest to poprostu prawo materji i siły brutalnej, prawo, mocą którego masa, pędzona własnym ciężarem, rozgniata wszystko, co staje na jej drodze. Tu właśnie znajduje się punkt styczności pomiędzy pojęciem „demokracja" a „materjalizm"; dlatego to właśnie pojęcie to jest tak ściśle złączone z umysłowością obecną. Jest to zupełny przewrót porządku normalnego, ponieważ jest to ogłoszenie przewagi wielorakości samej przez się, przewagi, istniejacej jedynie w świecie materjalnym [1]) — w świecie duchowym bowiem, a wyrażając się prościej: we wszechświecie, jed-

[1]) Wystarczy przeczytać św. Tomasza z Akwinu, by zrozumieć „numerus stat in parte materiae".

nostka znajduje się u szczytu hierarchji, gdyż ona jest zasadą, z której płynie wszelka wielorakość [1]); skoro jednak przyczyna zostanie negowaną lub nie uwzględnioną, zostaje tylko wielorakość, która identyfikuje się z materją jako taką. Z drugiej strony aluzja nasza do ciężkości jest nietylko prostem porównaniem, ciężkość bowiem w dziedzinie sił fizycznych, w zwykłem znaczeniu tego słowa, przedstawia dążność obniżającą się i kompresywną, której wynikiem jest coraz to większe ograniczenie jednostki, a która dąży jednocześnie w kierunku potęgi ilościowej, wyobrażonej w naszem porównaniu coraz to ściślejszą gęstością [2]); skłonność ta jest właśnie, która oznacza kierunek rozwoju działalności ludzkiej na początku epoki współczesnej. Prócz tego należy zauważyć, że materja przez swoją potęgę podzielności, a zarazem ograniczenia, jest tem, co nauka scholastyczna nazywa „zasadą indywidualizacji" i argument ten łączy niniejsze nasze spostrzeżenia z poprzednimi naszymi wywodami co do indywidualizmu.

Ta sama dążność, o której mowa, jest również, rzec można, dążnością „wyodrębniającą", tą, według której ma miejsce to, co tradycja judejsko-chrześcijańska określa jako „upadek" istot, które się oddzieliły od jedności pierworodnej [3]). Wielorakość, rozpatrywana poza swą zasadą

---

[1]) Z jednych kategorji rzeczywistości do drugich analogja tu, jak również we wszystkich wypadkach podobnych, musi być ściśle stosowana w kierunku odwrotnym.

[2]) Dążność tę tradycja hinduska określa jako Tamas i utożsamia ją z ciężkością i ignorancją; zauważa się, że wedle tego, cośmy mówili o stosowaniu analogji, kompresja, czyli kondensacja jest przeciwieństwem koncentracji duchowej lub intelektualnej, tak, że chociaż wydać się to może dziwnem na pierwszy rzut oka, jest ona korelatywną rozdziałowi i zatraceniu się wielorakości. Rzecz się ma tak samo z jednostajnością, urzeczywistnioną od dołu na najniższym poziomie, według pojęcia „równości", które jest na przeciwnym krańcu jedności wyższej i zasadniczej.

[3]) Dlatego to Dante umieścił symboliczne miejsce pobytu Lucyfera w samym środku ziemi, czyli w miejscu, w którem zbiegają się ze wszystkich stron siły ciężkości; biorąc rzecz z tego punktu widzenia, jest to strona przeciwna centrum atrakcji duchowej lub niebiańskiej, której symbolem jest słońce, według największej części tradycyjnych doktryn.

i która przez to nie może być sprowadzona do jedności, przedstawia w porządku społecznym zbiorowość, pojętą jako zwykłą sumę arytmetyczną jednostek, z których się składa i zbiorowość taka nie jest w samej rzeczy niczem innem, o ile żadna wyższa zasada nie łączy jej z jednostkami i prawo zbiorowości pod tym względem jest właśnie prawem o największej ilości, na którem się opiera pojęcie demokratyczne.

Tu należy nam się zatrzymać chwilę, aby rozwiać możliwe pomieszanie pojęć. Mówiąc o indywidualiżmie współczesnym, rozpatrywaliśmy jego przejawy prawie wyłącznie w dziedzinie intelektualizmu, możnaby zatem mniemać, że, o ile chodzi o ustrój społeczny, rzecz ma się zgoła inaczej. Istotnie, biorąc określenie „indywidualizmu" w najbardziej ograniczonem jego znaczeniu, byłoby się skłonnym przeciwstawić zbiorowość jednostce i myśleć, że fakty takie, jak rola coraz to więcej zaborcza państwa i wzrastająca różnorodność instytucji społecznej, są oznaką dążności, przeciwnej indywidualizmowi. W rzeczywistości jest wręcz przeciwnie, gdyż zbiorowość, nie będąc niczem innem, jak ogólną sumą jednostek, nie może im być przeciwstawioną, tak samo, jak nie może być im przeciwstawione państwo, pojęte na sposób współczesny, czyli jako zwykłe przedstawicielstwo masy, w którem nie przebija żadna zasada wyższa; właśnie bowiem na zaprzeczeniu wszelkiej zasady nadindywidualnej polega indywidualizm taki, jakiśmy tu określili. Jeżeli zatem w dziedzinie społecznej istnieją tarcia między różnemi dążnościami, należącemi w jednakowej mierze do ducha współczesnego, tarcia te nie zachodzą pomiędzy indywidualizmem a czem innem, ale poprostu pomiędzy różnorodnemi odmianami, którym sam indywidualizm podlega; łatwo tedy uprzytomnieć sobie, że wobec braku wszelkiej przyczyny, zdolnej zjednoczyć prawdziwie wielorakość, tarcia takie muszą być liczniejsze i poważniejsze w naszych czasach, niż w jakiejkolwiek innej epoce. Kto bowiem mówi: indywidualizm, mówi z ko-

nieczności: rozdział. Ten zaś rozdział, wraz ze stanem chaotycznym, który zeń wynika, jest fatalnym skutkiem cywilizacji najzupełniej zmaterjalizowanej, ponieważ właśnie materja jest korzeniem rozdziału i wielorakości.

Ustaliliśmy to, trzeba nam jeszcze nalegać na bezpośredni skutek „idei demokratycznej“, będącej zaprzeczeniem elity, pojętej w jedynem jej słusznem znaczeniu. Nie bez przyczyny „demokracja“ przeciwstawia się bezpośrednio „arystokracji“; to ostatnie określenie oznacza właśnie — przynajmniej, jeśli jest rozpatrywane w swem znaczeniu etymologicznem — władzę elity. Elita, w dokładnem ujęciu, nie może istnieć, jak tylko w niewielkiej liczbie, władza jej, a raczej autorytet, pochodzący li tylko z jej wyższości intelektualnej, nie ma nic wspólnego z siłą liczebną, tą podstawą „demokracji“, której cechą istotną jest poświęcenie mniejszości na rzecz większości, a przez to samo, jak wspominaliśmy wyżej, gatunku na rzecz ilości, a co za tem idzie — elity na rzecz masy.

Rolą kierowniczą prawdziwej elity jest samo jej istnienie, z konieczności bowiem odgrywa ona tę rolę, skoro istnieje, jest zatem radykalnie przeciwną „demokracji“, związanej ściśle z pojęciem „równości“, czyli z zaprzeczeniem wszelkiej hierarchji. Samą podstawą idei „demokratycznej“ jest twierdzenie, że każdy poszczególny osobnik wart jest drugiego, gdyż są równi sobie ilościowo, choć nigdy innej równości, jak ilościowej, nie będą w stanie osiągnąć. Prawdziwa elita, jak wspomnieliśmy wyżej, może być tylko intelektualną, dlatego to właśnie „demokracja“ nie może wprowadzić się gdzieindziej, jak tylko tam, gdzie czysty intelektualizm nie istnieje, jak się to dzieje obecnie z naszym światem współczesnym. Tylko, ponieważ równość jest faktycznie niemożebną, gdyż w praktyce nie można znieść wszelkich różnic między ludźmi, pomimo wszelkich wysiłków niwelacyjnych, dochodzi się zapomocą ciekawej nie-

logiczności do tworzenia fałszywych elit, bardzo różnorodnych, dążących do zastąpienia prawdziwej elity; owe fałszywe elity opierają swe istnienie na jakich bądź wyższościach, wybitnie względnych i przypadkowych, a zawsze w czysto materjalnym zakresie. Łatwo to można stwierdzić, zważywszy, że wyróżnienie społeczne, mające obecnie największe znaczenie, jest to, które się opiera na majątku, czyli na wyższości najzupełniej zewnętrznej, oraz ilościowej; jedyne to wyróżnienie, dające się uzgodnić z „demokracją", ponieważ wychodzi z tego samego punktu widzenia. Dodamy zresztą, że ci, którzy występują jako przeciwnicy tego stanu rzeczy, nie wprowadzając przytem żadnej zasady natury wyższej, nie są w możności zaradzić skutecznie temu nieładowi, nawet wówczas, jeśli go nie potęgują, idąc wciąż dalej w tym samym kierunku; walka toczy się jedynie wśród odmian „demokracji", akcentując mniej lub więcej dążność do „równości", taką, jaka występuje wśród różnorodnych odmian indywidualizmu, co zresztą na jedno wychodzi.

Ta garść uwag wydaje nam się wystarczającą dla scharakteryzowania społecznego współczesnego świata, wykazując jednocześnie, że w tej dziedzinie, tak, jak i w innych, jeden jest tylko środek wydobycia się z chaosu — powrót do intelektualności, a zatem przygotowanie elity, która obecnie nie istnieje na Zachodzie. Nie można bowiem określić tą nazwą kilku pierwiastków odosobnionych i nie skoordynowanych, które przedstawiają niejako możliwości nierozwinięte. W samej rzeczy pierwiastki te mają na ogół tylko dążności lub aspiracje, pobudzające je do reagowania na współczesnego ducha, bez możliwości istotnego działania ich wpływu; to, co im zbywa, to prawdziwa wiedza, przekazana przez tradycję, której zaimprowizować niepodobna, a inteligencja, puszczona samopas w tak pod każdym względem niepomyślnych okolicznościach, nie może tego zastąpić, jak tylko bardzo nieudolnie i w nader ograniczonej mierze.

Istnieją zatem jedynie wysiłki rozprószone, które się często zatracają na skutek braku zasad i kierunku doktryny. Rzecby można, że świat współczesny broni swego ustroju swem własnem rozdrobnieniem, od którego nawet jego przeciwnicy nie umieją się ustrzec. Taki stan rzeczy trwać będzie, dopóki ci ostatni będą stali na gruncie „świeckim“, na którym duch współczesny posiada bardzo wybitny atut, ponieważ jest to jego własna i wyłączna dziedzina; zresztą, jeżeli przy tym gruncie obstają, to dlatego, że mimo wszystko duch ten ma na nich bardzo wielki wpływ.

Z tego to właśnie powodu tylu ludzi, ożywionych niezaprzeczenie dobrą wolą, nie jest w stanie pojąć, że należy z konieczności rozpocząć od zasad i upierają sią przy rozdrabnianiu sił w takiej lub innej dziedzinie relatywnej, społecznej czy innej, w której nie można w tych warunkach dokonać nic istotnego lub trwałego. Prawdziwa elita przeciwnie, nie powinna wkraczać bezpośrednio w te dziedziny, ani mięszać się do działalności zewnętrznej, powinna natomiast kierować wszystkiem swoim wpływem, nieuchwytnym dla gminu, tem głębszym, im mniej byłby widocznym.

Rozmyślając o potędze sugestji, o której wspominaliśmy wyżej, a która nie dopuszcza żadnego prawdziwego intelektualizmu, będziemy mogli mieć wyobrażenie, jak wielką tembardziej byłaby potęga takiego wpływu, wywieranego w jeszcze większym ukryciu ze względu na jego naturę i bieżące źródło swe w czystej umysłowości— potęga, która zresztą, zamiast być osłabioną rozdziałem, tkwiącym w wielorakości i słabością, nieodłaczną od kłamstwa i złudzenia, byłaby, przeciwnie, wzmocnioną przez skupienie w jedności zasadniczej i z i d e n f i k o w a ł a b y s i ę z s a m ą s i ł ą p r a w d y.

ZNACZENIE SPÓŁDZIELCZOŚCI W ROLNICTWIE.

W ciągu ostatnich 20 lat wzrosła w Europie liczba członków spółdzielni dziesięciokrotnie przy równoczesnym wzroście ludności o niespełna 30%.

Tak potężny rozwój spółdzielczości świadczy już sam przez się o wielkiem jej znaczeniu dla nowoczesnych stosunków socjalnych i ekonomicznych, ciągłość zaś jego i stopniowość dowodzi głębokiej potrzeby spółdzielczości dla dzisiejszych społeczeństw.

Nie jest to jakiś efemeryczny rozwój instytucji, chwilowo odpowiadającej potrzebom ludzkim, skazanej po ich zaspokojeniu na stopniowy zanik, lecz rozrost, organicznie związany z widoczną przebudową społeczeństw, które znużone ustawiczną walką klas, egoizmem kapitalizmu i bezmyślnością demagogji, pragną widzieć w spółdzielczości ochronę przeciwko wzrastającej anarchji i szkołę pielęgnowania najszlachetniejszych uczuć altruistycznych, które jedynie, przy pogłębieniu życia religijnego, mogą stawić skuteczną tamę rozszerzaniu się zarazy bolszewickiej. Nie są to czcze słowa, lecz najprawdziwsza rzeczywistość, jeżeli zważymy, że bolszewizm tam wszędzie spotkał się z najskuteczniejszym oporem, gdzie rozwinął się już przedtem dostatecznie silny ruch spółdzielczy.

Przykładem tego może być Anglja lub Danja, gdzie, jeżeli dotychczas bolszewizm nie zapuścił głębszych korzeni, mimo katastrofalnego bezrobocia, tak bardzo sprzyjającego jej rozwojowi, to właśnie dzięki dobrze pojętej i zorganizowanej spółdzielczości.

Znaczenie spółdzielczości można streścić w następujących tezach:

1) spółdzielczość usuwa klasowe przeciwieństwa, łączy bowiem nieraz w jednej osobie robotnika i przedsiębiorcę, wierzyciela i dłużnika, konsumenta i producenta;

2) spółdzielczość hamuje ustawiczną pogoń kapitału za zyskiem bez względu na dobro konsumenta, zwraca bowiem uwagę na zapoznaną okoliczność, że ludzie nie są przeznaczeni dla wytworów przemysłu, lub rolnictwa, lecz odwrotnie: wytwory te są przeznaczone dla ludzi;

3) spółdzielczość wprowadza w miejsce kapitału międzynarodowego i anonimowego kapitał, związany ściśle z miejscem jego powstania i z potrzebami osób, które go pracą swą do życia powołały; wskazują mu one określony ściśle cel działania, wskutek czego zmniejsza się ryzyko;

4) spółdzielczość zmniejsza do minimum koszta rozprowadzenia produktów, obywając się bez pośrednictwa i reklamy, koszta te bowiem w ostatnich czasach wzrastały we wręcz odwrotnym stosunku do rozwoju techniki przemysłowej, która, produkując coraz to więcej towarów, zwyczajnie coraz niżej stojących jakościowo, znajdywała coraz większe trudności w ich zbywaniu.

Tak mniejwięcej przedstawia się znaczenie spółdzielczości, rozpatrywane z ogólnego punktu widzenia. Jeżeli przejdziemy teraz do stosunków rolniczych, to znaczenie to uwydatni się jeszcze bardziej, gdyż do poprzednio wymienionych korzyści, mogących mieć w większym lub mniejszym stopniu zastosowanie do rolnictwa, przybędzie jeszcze bardzo dziś ważny wzgląd socjalny, a mianowicie możność zatrudnienia na wsi nadmiaru inteligencji, która w dzisiejszych warunkach jest skazaną na nędzną wegetację po miastach, bez żadnych widoków na przyszłość.

Spółdzielnie wiejskie, jeżeli mają dobrze prosperować i jeżeli nie mają w krótkim czasie wyradzać się w instytucje, czysto kapitalistyczne w gorszem tego słowa znaczeniu, gdyż nie mające dobrych stron tych ostatnich, lecz tylko ich ujemne, t. j. wyłączną chęć zysku — muszą znaleźć się w rękach ludzi, starannie wykształconych, dających

prócz tego swoim nieposzlakowanym charakterem rękojmię, że sprostają swym ciężkim i odpowiedzialnym zadaniom wzamian za zabezpieczenie im bytu materjalnego, jakie znaleźć będą mogli w spółdzielniach.

Spółdzielnie więc na wsi mają, prócz innych korzyści, także wybitnie dodatnie znaczenie socjalne, a nadto dziś, przy ogromnem zubożeniu rolnika, one jedynie mogą go najskuteczniej i najprędzej podnieść materjalnie, co, zważywszy, że rolnik właśnie stanowi najliczniejszą klasę obywateli, jest ze względu na ogólne podniesienie dobrobytu niezmiernie ważnem.

Nic więc dziwnego, że spółdzielczością rolniczą interesuje się u nas opinja publiczna coraz bardziej. Należy jednak stwierdzić, że nie zawsze poglądy, wypowiadane na ten temat, są racjonalne: chęć naśladowania w rolnictwie fabryk, t. j. tworzenia dużych zakładów, zorganizowanych fabrycznie, a produkujących masowo zboże, mleko, czy mięso, przyczyniła się w znacznej mierze do błędnego poglądu, że prawdziwy postęp w rolnictwie zależy w większym stopniu od koncentracji dużej ilości gospodarstw w wielki zakład wytwórczy, aniżeli od rozwoju spółdzielczości w ścisłem tego słowa znaczeniu. Ta ostatnia pozostawia o wiele większą swobodę poszczególnym rolnikom, niż fabryki produktów rolniczych, w których zatem może nastąpić lepszy podział pracy, lepsza dyscyplina, lepsza technika, a tem samem może postęp rolniczy rzekomo znacznie prędzej się rozwinąć, niż w zwyczajnych gospodarstwach, objętych choćby najgęstszą siecią najlepiej zorganizowanych spółdzielni.

Celem urzeczywistnienia takich poglądów na fabryczną, że ją tak nazwiemy, produkcję rolniczą, proponowano w ostatnich czasach zakładanie spółek udziałowych, które oczywiście ze spółdzielniami nie mają nic wspólnego, a które składałyby się z dotychczasowych gospodarzy, którzy okazaliby chęć przystąpienia do nich, wnosząc jako swój udział swe grunta, inwentarze, żywe i martwe i nawet pe-

wną ilość pracy, za którą nie pobieraliby pełnego wynagrodzenia, kapitalizując jego resztę jako dalszy swój udział w spółce.

Zwolennicy takich spółek, bardziej fantastycznych, niżby się to na pierwszy rzut oka wydawać mogło, przytaczają cały szereg korzyści, jakie one ze sobą przynieść mogą. Do korzyści tych zaliczają zmniejszenie kosztów produkcji, ułatwienie standaryzacji, co wpłynie na uprzystępnienie zbytu, zmniejszenie powierzchni nieużytków przez skasowanie miedz granicznych, wynoszących podobno w Polsce kilkadziesiąt tysięcy hektarów, zmniejszenie ryzyka przez zastosowanie najnowszych urządzeń w budynkach i maszynach, przez udostępnienie pomocy weterynaryjnej i fachowe kierownictwo, oraz mnóstwo innych korzyści, jak łatwość elektryfikacji, motoryzacji i td. i t. d.

Pogląd z gruntu błędny, świadczący o tem, że skłonni jesteśmy popadać z jednej ostateczności w drugą: z gospodarstw, zbyt rozdrobnionych wskutek t. zw. reformy rolnej z jednej strony, a braku ustawodawstwa spadkowego z drugiej — do gospodarstw - olbrzymów, zorganizowanych na sposób fabryczny. Oczywiście i wpływ mentalności sowieckiej, propagującej powstanie dużych jednostek gospodarczych, ma tu swe znaczenie, choć przyznać trzeba, że nie tak bezpośrednie, jakby się to na pierwszy rzut oka wydawać mogło; inicjatorzy bowiem wspomnianych spółek udziałowych nie chcą wcale występować przeciwko prawu własności gruntowej, a przynajmniej są przekonani, że drogą rozmaitych zarządzeń można je będzie zachować nienaruszone.

Niestety jednak sprawa przedstawia się inaczej: jeżeli przyjmiemy, że w pojęciu własności mieści się pojęcie władzy, jaką ma właściciel nad posiadanym przedmiotem, to wprowadzenie wspomnianych spółek udziałowych w stosunki rolne jest oczywistem zniesieniem tej władzy, właściciel bowiem nie może już uprawiać swojego gruntu, wniesionego do spółki jako udział, w taki sposób, jakiby mu

odpowiadał, lecz musi się zgodzić na taką uprawę, jaką uzna za stosowne spółka. Nie na tem jednak koniec: dotychczasowy właściciel, a obecny udziałowiec, będzie miał ogromnie utrudnione wycofanie się ze spółki, gdyż żądając z powrotem swego kawałka ziemi, wniesionego do spółki, nie otrzyma już tego samego kawałka, lecz inny, wedle uznania spółki, wykrojony z części obwodowej posiadanej przez spółkę powierzchni pola, a to w tym celu, aby nie psuć konfiguracji jej gruntów; wreszcie prawo rozporządzania swym udziałem będzie musiało być znacznie ograniczone, aby zabezpieczyć spółkę przed napływem elementów obcych, mogących je zdezorganizować.

Z dawnego więc prawa własności pozostałyby tylko strzępy, a raczej tylko tytuł własności udziału w spółce, władza zaś, która z każdą własnością jest tak ściśle związana, ograniczyłaby się do pewnej ilości głosów na walnem zebraniu spółki, decydujących o jej zarządzie i rozdziale zysków. Jak dalece byłaby to władza iluzoryczna przy projektowanych przepisach kontroli ze strony władz samorządowych i jak byłaby ona niezgodna z naturą pracy rolnika, który zmuszony do ciągłej walki z przyrodą i dostosowywania się do zmieniających się warunków ekonomicznych, musi mieć niezależność decyzji, a więc poczucie odpowiedzialności i tem samem dobrze pojętej władzy nad przedmiotem — tego udowadniać nie potrzeba.

To też stwierdzić należy, że wspomniane spółki udziałowe w rolnictwie stoją w oczywistej sprzeczności z prawem własności i już choćby z tego względu nie miałyby najmniejszych widoków urzeczywistnienia, pomijając już wrodzoną niechęć naszego rolnika do wszelkich innowacji.

W obecnych czasach podważania prawa własności musimy starannie unikać wszelkich koncepcji, któreby nasuwały jakiekolwiek tylko wątpliwości pod tym względem. Wszelkie korzyści, któreby takie pomysły za sobą przynosić miały, nie stoją w żadnym stosunku do strat, jakieby wynikły z podważenia prawa własności, a cóż dopiero mó-

wić, gdy te korzyści są w najwyższym stopniu, jak zobaczymy, nieprawdopodobne!

Rozpatrzmy bliżej tę sprawę! Wszelki postęp rolniczy zależy w znacznie mniejszym stopniu od powierzchni posiadanych gruntów, niż od dostępności kapitału, ta zaś zależy przedewszystkiem od rentowności i pewności, jaką dany warsztat przedstawia; zatem rozwój postępu jest zależny w końcowem ogniwie tego łańcucha przyczyn i skutków od zdolności kierownika i od jego zainteresowania się warsztatem. Jasną jest rzeczą, że kierownik, który będzie sam właścicielem całości lub części warsztatu, będzie o wiele więcej nim zainteresowany, niż kierownik dużego przedsiębiorstwa spółki udziałowej.

Prócz tego jednak jest jeszcze jeden wzgląd, przemawiający przeciwko spółkom udziałowym, a jest nim wielostronność produkcji, która w małym tylko stopniu da się zmniejszyć przy przejściu ze średniego gospodarstwa do bardzo dużego, fabrycznego. A ta właśnie wielostronność, czyli niemożność specjalizacji, powoduje zwiększenie ryzyka, gdyż utrudnia przy różnorodności produkcji dostosowanie się do ściśle ograniczonych warunków. To, co przy gospodarstwach przeciętnych jest zabezpieczeniem się przed ryzykiem, to w gospodarstwach bardzo dużych jest przeciwnie, jego zwiększeniem. Tam różnorodność produkcji zmniejsza ryzyko, tu, w produkcji masowej, gdzie każde kółko musi dokładnie zachodzić jedno na drugie, gdzie każde zwichnięcie najmniejszej części składowej grozi rozpadem całej machiny, względnie całego przedsiębiorstwa — jest ryzyko właśnie w tej różnorodności znacznie większe.

Niewątpliwie więc spółki udziałowe nie przyczyniłyby się do rozwoju postępu w rolnictwie, a natomiast wprowadziłyby w stosunki rolnicze chaos, którego skutkiem mogłoby być bardzo łatwo cofnięcie się rolnictwa wstecz, zamiast spodziewanego postępu.

Pozostaje zatem tylko spółdzielczość, jako najważniejszy czynnik postępu rolniczego.

Spółdzielnie mają na celu ułatwić rolnikowi produkcję lub zbyt, nigdy zaś nie jest ich celem dochód od udziałów i w tem właśnie tkwi zasadnicza różnica między niemi, a spółkami udziałowemi. Te ostatnie mają formę czysto kapitalistyczną, bo założeniem ich jest zysk od udziałów, a zatem im większy udział, tem większy zysk, spółdzielnie natomiast nie uzależniają zysku od udziału, lecz od stopnia korzystania z ich świadczeń, n. p. rabat od ceny zakupionych za pewną kwotę towarów, premja za pewną ilość dostarczonego mleka do przerobu i t. p.

Nasuwa się tu dziwna sprzeczność: spółki udziałowe w rolnictwie podważają prawo własności, a mimo to są pomyślane jako organizacje ultra-kapitalistyczne, podczas, gdy spółdzielnie, nie mające tego kapitalistycznego momentu, jakim jest zysk od udziałów, nie przeciwstawiają się zupełnie prawu własności. Już ta sama sprzeczność w strukturze spółek udziałowych, w przeciwstawieniu do spółdzielni, uwydatnia, o ile bardziej na zdrowych zasadach opierają się te ostatnie.

Oczywiście spółdzielnia, jako taka, może być właścicielką dużych gospodarstw rolnych, jak to ma miejsce w Anglji, gdzie do spółdzielni należy przeszło 14.000 ha gruntów ornych; ale to są wyjątki, które zresztą w niczem nie upodabniają spółdzielni do spółek udziałowych, jako opartych na zupełnie innej zasadzie.

O ile więc spółdzielnie mogą bardziej przyczynić się do rozwoju postępu, niż spółki udziałowe?

Przedewszystkiem, w przeciwstawieniu do spółek, wykazują one dużą łatwość specjalizacji, nie zaniedbując jednak ubocznych gałęzi produkcji, n. p. w mleczarniach spółdzielczych wyrób masła, a produkcja świń, jako gałąź uboczna. Jest to w dzisiejszych czasach niezmiernie ważny moment zmniejszenia ryzyka, a tem samem udostępnienia kapitału.

Najrozmaitsze są kierunki postępu, do jakich spółdzielczość może bezpośrednio się przyczynić; wybierzmy z nich

jeden, a mianowicie komasację gruntów, którą mogłyby urzeczywistnieć spółdzielnie maszynowe, lub orki motorowej (nazwa w tym wypadku jest obojętna).

Zwolennicy spółek udziałowych zwracają nieraz uwagę, jakeśmy już powiedzieli, na możność skasowania miedz granicznych przy organizowaniu dużych gospodarstw. Ta sama jednak rzecz jest możliwa, a przynajmniej narazie do pomyślenia, przy dobrze zorganizowanych spółdzielniach, które, mając dokładne pomiary danego gruntu, mogą łatwo znieść miedze graniczne poprzeczną uprawą roli, a potem je reaktywować na podstawie dokładnych punktów stałych. Takie postępowanie miałoby na celu wykorzystanie wszystkich dodatnich właściwości poprzecznej uprawy roli.

Jeżeli teraz przypuścimy, że z biegiem czasu przekonają się wszyscy członkowie spółdzielni maszynowej o wydatnych korzyściach poprzecznej uprawy roli, to jasną się stanie potrzeba stosowania się w uprawie do sąsiadów, a ponieważ niezawsze jest to rzeczą łatwą, przeto dążność do łączenia kilku kawałków rozrzuconego pola, należących do jednego właściciela, w jeden większy łan, stanie się z czasem coraz większa; komasacja będzie zatem coraz łatwiejsza do przeprowadzenia.

Komasację mogą również przyśpieszyć ubezpieczenia gradowe, które powinny znaleźć się w rękach spółdzielni, jako instytucji miejscowej i znającej tem samem najlepiej stosunki meteorologiczne danej okolicy z dłuższej obserwacji. Przy odpowiedniem poprowadzeniu tej akcji, włościanie będą woleli ubezpieczać się przed gradem niewielką premją, aniżeli, celem zmniejszenia tego ryzyka, trwać w gospodarstwie, rozrzuconem na wiele kawałków, wzajemnie od siebie na tyle odległych, aby można przypuszczać, że ewentualna szkoda gradowa dotknie tylko jeden, lub najwyżej parę kawałków, a nie wszystkie.

Jak widzimy więc, rola spółdzielni w przeprowadzeniu tak ważnej sprawy, jak komasacja gruntów, zmniejsza-

jąca ogromnie ilość nieużytków, względnie miedz i umożliwiająca prawdziwy postęp — jest ogromna.

Spółdzielnie przez rozszerzanie postępu w produkcji rolniczej przyczyniają się ogromnie do obniżenia kosztów jej, ale tak samo mogą się one przyczynić do podniesienia ceny ziemiopłodów, z bezpośrednią korzyścią dla rolnika, przez usunięcie zbędnego pośrednictwa.

O ile więc postęp przez zakładanie spółek udziałowych jest więcej, niż wątpliwy, o tyle przez spółdzielnie jest on zupełnie pewny, pod warunkiem tylko, aby były dobrze prowadzone i aby nie zatracały swej cechy istotnej, t. j., aby na pierwszem miejscu stawiały potrzeby i dobro swych członków, a nie zysk.

Oczywiście rozwój spółdzielczości musi być wynikiem istotnych potrzeb ludności, a nie przymusu. Włościanin, któremu by kazano należeć odrazu do kilku spółdzielni, mógłby się do nich łatwo zniechęcić. Najlepiej więc zacząć od jednej tylko, która w miarę swego rozwoju coraz bardziejby się specjalizowała, pozostawiając inne dziedziny nowopowstającym spółdzielniom.

Najwspanialszym przykłasem wybitnego rozwoju naszej spółdzielczości może być wieś Lisków w powiecie Kaliskim, gdzie dzięki ofiarnej i wytrwałej pracy tamtejszego proboszcza, ks. Blizińskiego, osiągnięto zadziwiające rezultaty.

Spółdzielczość, jak powiedzieliśmy, przyciąga inteligencję miejską, która, przy dobrej woli ludności i odpowiedniem ustawodawstwie, znalazłaby niezmiernie wdzięczne pole działania. Dla przykładu weźmy sprawę pastwisk gminnych, które obecnie w ogromnej swej większości są właściwie nieużytkami, a które małym stosunkowo nakładem kapitału mogą stać się źródłem wielkiego bogactwa. Taka rzecz, jak właśnie meljoracja pastwisk gminnych, bijąca najbardziej w oczy swą skutecznością, może się stać doskonałą propagandą dla dalszego rozwoju spółdzielczości i dlatego od niej byłoby wskazanem rozpoczynać ruch

spółdzielczy na wsi. To też, jeżeli weźmiemy pod uwagę mleczarstwo, należy najpierw zmeljorować pastwiska i wprowadzić uprawę odpowiednich roślin pastewnych, potem starać się o podniesienie chowu bydła, a dopiero na samym końcu stawiać mleczarnie z odpowiedniem urządzeniem. Odwrotny porządek może będzie bardziej efektowny, ale stanowczo nie da tak trwałych i pewnych rezultatów, jak powyższy; chodzi tylko o to, aby raz przyjęty plan wykonywać z całą systematycznością przez szereg lat, nie tracąc z oczu nigdy głównego celu danej spółdzielni.

Tylko tak pojęta praca ma w ruchu spółdzielczym widoki rozwoju. A jak przedstawia się ona obecnie w najogólniejszych zarysach ?

Weźmy dla przykładu sklepy kółek rolniczych: przedewszystkiem uderza tu w oczy dorywczość, brak wszelkiej systematyczności i podtrzymywanie chwiejących się kółek per fas et nefas wszelkimi sposobami. Dostawcami towarów są kupcy małomiasteczkowi, dający lichy towar na kredyt, którego kółko potrzebuje, sprzedając samo również na kredyt. Członkowie bowiem kółka, wychodząc z błędnego założenia, że należy im się kredyt, nieraz go bardzo nadużywają. To jedna ważna przyczyna upadku kółek, a druga — to prowadzenie sklepów przez ludzi, zupełnie nieodpowiednich, po największej części przez gospodarzy, którzy, nie mogąc już pracować na roli, odnajmują kółku część swego domostwa i obierają w ten sposób bardziej dogodną dla siebie pracę handlową nad więcej nużącą pracą za pługiem. Oczywiście są to najczęściej ludzie nieudolni, nieumiejący nawet dobrze pisać i rachować, nie mówiąc już o znajomości elementarnych przepisów handlowych. Kontrolowani bardzo rzadko, przyprawiają kółko wkrótce o wielkie straty bądź przez zwyczajną nieuczciwość, bądź też przez nieudolność, jak n. p. przez złe przechowywanie towaru, wskutek czego wielka jego część ulega zepsuciu, przez złe odważanie względnie odmierzanie, przez częste

zwyczajne omyłki rachunkowe i najrozmaitsze inne błędy, niedopuszczalne w najmniejszym sklepie.

Można sobie łatwo wyobrazić, jakie są wyniki takiego zaniedbania zwłaszcza w obecnych, ciężkich czasach, gdy wszelkie marnotrawstwo powinno być wręcz niedopuszczalne.

Członkowie kółka zrażają się do niego coraz bardziej wskutek drożyzny towarów i złej ich jakości, a przedewszystkiem ściągania kredytów, lekkomyślnie udzielonych przez kółko wbrew elementarnym zasadom spółdzielczości, które przy instytucjach handlowych przyjmują wyłącznie sprzedaż tylko za gotówkę.

Tu i ówdzie próbują podtrzymywać kółka przez nadawanie im trafiki, lub prawa wyszynku, które jednak w najlepszym wypadku potrafią jedynie przedłużyć na jakiś czas nędzną wegetację kółek, kosztem oczywiście moralności włościan przez ułatwianie im upijania się.

Piękna i tak aktualna dziś idea spółdzielczości staje się w ten sposób prawdziwą parodją: zamiast pośredniczyć w bezpośredniej wymianie między przemysłem a rolnictwem, stają się kółka rolnicze zupełnie zbędnym tworem, opartym na pseudo-patrjotycznych uczuciach wsi, nakazujących zaopatrywać się w towary w kółku, a nie u Żydów, nie bacząc jednak na to, że po największej części towar ten jest kupiony właśnie u Żydów i to już z trzeciej lub czwartej ręki. Oczywiście są wyjątki, ale te nie zmieniają ogólnego obrazu, który, jak widać, nie przedstawia się wesoło.

Trudno wymagać, aby wieś, stojąc jeszcze nisko kulturalnie, dała pierwsza inicjatywę przeorganizowania kółek; powinna ona wyjść z miast. Przemysł fabryczny powinien w dzisiejszej walce o rynek zbytu zwrócić jak największą uwagę na odpowiednią organizację kółek rolniczych, które, odpowiednio postawione, mogą dać przemysłowi o wiele lepsze wyniki, niż najdroższa reklama, gdyż nie ona prowadzi na wsi do celu przy obojętności naszego włościanina do wszelkiej innowacji, ale jedynie realne korzyści, któ-

re może mieć rolnik z używania odpowiednich towarów, mogą go uczynić nabywcą dla danego przemysłu. Na to jednak czas już, aby kółka rolnicze przestały_być nędznymi sklepikami, sprzedającymi najrozmaitsze drobiazgi najgorszego gatunku, lecz, aby się stały nowożytnemi instytucjami handlowemi, zaopatrującemi rolnika w najlepsze maszyny, nawozy sztuczne, żelazo, materjały bławatne i t. d. i t. d., po cenach możliwie najniższych.

Nie zapominajmy więc, że wieś potrzebuje koniecznie czynnika kulturalnego, inaczej przyswaja sobie z miast tylko kulturę powierzchowną z jej materjalizmem i demagogją. Folwarki, które były do niedawna najważniejszym pionierem postępu, dziś kurczą się coraz bardziej i pierwotnym swym zadaniom już sprostać nie mogą, zwłaszcza w obecnych, tak niesłychanie skomplikowanych warunkach ekonomicznych, Dlatego też inteligencja miejska, fachowo przygotowana i obejmująca kierownictwo całego ruchu spółdzielczego, byłaby dla wsi niezmiernie pożądana.

Dziś, kiedy wedle słów premjera Prystora całe życie gospodarcze musi się dostosować do głównego celu: podniesienia rolnictwa, musi przyjść kolej na zainteresowanie się spółdzielczością rolniczą, która tak przez zniżenie kosztów produkcji, jak też przez zwyżkę cen płodów rolniczych może się najbardziej przyczynić do przezwyciężenia kryzysu rolniczego, a nadto może otworzyć rolnictwu w przyszłości tak szerokie horyzonty rozwoju, jakie jeszcze nigdy dotychczas nie były jego udziałem.

Józef K. Paygert.

POLACY SĄ SŁOWIANAMI!

W n-rze lutowym „Naszej Przyszłości“ zamieścił p. min. Karol Niezabytowski artykuł p. t. „Czy Polacy są Słowianami“? — w którym to artykule wypowiada swe przekonanie, że „Polacy nie są Słowianami. Niema to oczywiście znaczyć, że wcale pierwiastku słowiańskiego w sobie nie mamy. Po szeregu bowiem wieków współżycie różnych ras nie może być rasy całkiem czystej, czy wolnej od wszelkiej przymieszki“. W konkluzji powiada czcigodny pan minister, że „prawie nie mamy krwi słowiańskiej w naszych żyłach“. Redakcja w swym dopisku zaznaczyła, że „mentalność polska, ilustrowana wielu przykładami naszej tysiącletniej już historji, jest diametralnie różną od mentalności Moskali, Rusinów, Czechów i Słowian południowych“. „Nie jesteśmy słowiańskiego pochodzenia — cała reszta Słowiańszczyzny nie wytworzyła nigdy typu prawdziwego żołnierza“. Jest wreszcie mowa o „rycerskim pierwiastku wojnych Wikingów u Polaków“.

Nad uwagami powyższemi i t. p. należy się dobrze zastanowić. Literatura, na którą powołał się p. min. Niezabytowski, jest przestarzała. Stan wiedzy o powyższym przedmiocie przechodził różne ewolucje: obie dawne zasadnicze teorje o kolebce i pochodzeniu Słowian, bałkańsko-ilirska i sarmacka, zaczerpnięte były z tradycji t. zw. sennarskiej, która dotrwała do końca XVIII w. i musiała ustąpić badaniom Schlössera i Karamzina, a z naszych Naruszewicza i Surowieckiego.

Dobrowsky i Szafarzyk wprowadzają nowa epokę. Niemiec Bopp dowiódł, że Słowianie wyosobnili się obok Irańczyków, Indusów, Ormian, Greków, Italów, Celtów,

Germanów i Litwołotyszów ze wspólnego pranarodu indoeuropejskiego. Ze zbudowanych genealogji języków indoeuropejskich Schleichera, Ficka i Schmidta, największem uznaniem cieszy się ta ostatnia (z r. 1890). Wyodrębnieni Słowianie żyli w sąsiedztwie plemion irańskiego i bałtyckiego (por. L. Niederle: Najdawniejsze siedziby Słowian, str. 7 „Początków kultury słowiańskiej", Brücknera, Kadleca i Niederlego, nakł. Akademji Umiejętności w Krakowie), w rodzinie językowej „satem", w przeciwstawieniu do „centum", w długiem połączeniu z Bałtami, który to okres ma specyficzne znaczenie.

Dziś przyjęto teorję o europejskiem pochodzeniu indoeuropejczyków — przyczem uczeni niemieccy utożsamili typ germański z indoeuropejskim („indogermanisch"), francusy zaś uznali typ celtycko - słowiański za indoeuropejski.

Prasłowianie byli rasą nie-jednotypową z punktu widzenia antropologicznego; przeważały w nich dwa typy, jasnego długogłowca i ciemnego krótkogłowca. Od północy dosięgli oni Wisły i Bałtyku, przekraczając od południa Sudety i Karpaty, docierali do Desny i do Tweru. Ich pracentrum było między Wisłą a środkowym Dnieprem. W I stuleciu po Chr. nazywają ich kroniki Windami (Wenedami), a stosunki z Germanami, którym ulegali, mieli już w VI w. przed Chr.

Teorje najazdu nie utrzymały się jednak w nauce (Piekosiński!); ostatnią próbę ich — bardzo zresztą ciekawą — dał Peisker, autor koncepcji o „zemindarze — ziemianinie". Ustalono, że Słowianie mieli następujące siedziby: Wenedzi za Wisłą, Weleci — Lucice u morza Bałtyckiego, inni zaś pod Karpatami. W pokojowym okresie, t. zw. „przedhistorycznym", dosięgli Słowianie brzegów Łaby, po drugim zaś okresie ekspansji wzięli udział w wędrówce narodów. Wówczas dokonała się wyraźniejsza dyferencjacja. W latach 610—41 Słowianie zajęli półwysep Bałkański. „W ogólności cały kompleks połabskich

i pomorskich Słowian, prócz Serbów, blisko się łączy z obszarem polskim, tworząc z nim razem jeden wielki obszar językowy lechicki, w odróżnieniu od obszaru serbskiego i czesko-słowackiego". (Niederle, Najdawniejszy podział na szczepy, por. j. w. str. 26). Polacy dopiero w historji późniejszej stali się jednolitym narodem, pierwotnie zaś składali się z Wiślan, Polan (przyczem Polanie nietylko Polaków oznaczają!), Łęczycan, Kujawian, Mazowszan i Ślężan.

Jak wiadomo, odmienne stosunki dziejowo-rozwojowe rozmaicie kształtowały Słowian. Kultura i cywilizacja łacińska i bizantyńska różne wyciskała znamiona. Przy porównaniu zatem, jak i przy przeciwstawieniach, należy stosować metodyczność i umiejętność, bo inaczej — „comparatio non est ratio". To też rzekoma djametralna odległość Polaków od innych Słowian jest faktycznie pojęciem nadzwyczaj względnem. Przedewszystkiem, nietylko udowodnionem naukowo, ale i notorycznem jest szczególne pokrewieństwo tych dwóch kultur, odległych od siebie zresztą geograficznie narodów: Chorwatów i Polaków. Nietylko my się uważamy za „Herrenvolk". Taką samą mieliśmy szlachetczyznę — i taki sam polot literacki. Słusznie też mówił zmarły prezes Akademji jugosłowiańskiej i zarazem członek naszej, Włodzimierz Mażuranić, przyjaciel Polski i druh serdeczny uczonych naszych ze ś. p. Balzerem na czele, syn również przyjaciela i szermierza wolności polskiej, bana Iwana — że poezja staroniemiecka wobec starochorwackiej, a w szczególności dubrownickiej, ma się tak, jak szewc do pana. I ten chorwacki „gospodar" i „gospodin", to rodzony brat szlachcica polskiego, twórcy zachowawczej naszej kutlury.

Jeśli idzie o bitność słowiańską, to tak tradycje Chorwatów (od czasów starodawnych, przez Zrińskiego, do wielkiej chwały bojowej Chorwatów w armji austro-węgierskiej), jak i Serbów (od Kosowego Pola, aż po Humanowo i Wielką Wojnę) i Bułgarów i ukraińskich kozaków

i t. p., nie pozwalają zapomnieć o sobie i sprawiedliwy rycerz polski zobaczy częstokroć w nich męstwo — w stosunku do swego — bratnie.

Nie wpadajmy w przesadę! Bezkrytycznego słowianofilstwa nikt od nas nie żąda. Polityka racji stanu jest odwiecznym nakazem naszym i ani sentyment, ani odruch nie mają prawa jej przeszkadzać. Ale jednostronnie zapominać o łączności naszego pochodzenia i fenomenalnem (bo największem w grupach: germańskiej, romańskiej i słowiańskiej) pokrewieństwie językowem słowiańskiem, a — jak badanie porównawcze, skandalicznie zresztą w Polsce nieznanych, literatur słowiańskich wykazuje — i literacko-artystycznem, to dowolność i przypadkowość, a nie poznawanie sine ira et studio. Dowcipnie powiedział był ś. p. Włodzimierz Perzyński, że Słowianie, to grupa narodów, które nic w sobie nie mają słowiańskiego: Czesi — to żydzi, czy Prusacy słowiańscy, my zanadtośmy szlachetni i jaśniepańscy, by być Słowianami, Ukraińcy — to chłopi, nie naród, a o Rosjanach i Bułgarach — to wszyscy przecie wiedzą, że nie są Słowianami! Naprawdę, tak rozumować przecież na serjo nie można. Jeśli wogóle „nie może być rasy całkiem czystej“, to czemuż żądać takich niebywałych właściwości specjalnie od Słowian — i przeciw nim specyficznie obracać pewnik powszechny?! Jeśli zaś „mamy w sobie pierwiastek słowiański“, to nie można twierdzić, że „prawie nie mamy krwi słowiańskiej w naszych żyłach“. Z czynów zaś, pięknych swym ogromem, a politycznie niewdzięcznych (jak odsiecz Wiednia), wyraźnie widać nasz romantyzm, znacznie bliższy słowiańskiego, niż Germanów. O d r ę b n o ś c i naszej nie uważajmy za o b c o ś ć względem Słowian.

Jerzy Pogonowski.

PRZYJAŹŃ POLSKO-FRANCUSKA.

Nie o politycznej przyjaźni dwóch rządów mówić tu będziemy, ale o przyjaźni dwóch wybitnych indywidualności, dwóch serc i dwóch umysłów: wielkiego Polaka i wybitnego Francuza.

Bezpośrednia, żywa i czynna przyjaźń jednostek z dwóch różnych narodów głębsze i trwalsze nieraz ma znaczenie, niż traktaty pisanych przymierzy. Zdarzało nam się spotkać Francuzów, ożywionych głęboką i szczerą życzliwością dla Polski tylko dlatego, że kiedyś — w latach szkolnych — Francuzi ci mieli nauczycieli lub kolegów Polaków; szczególniej wśród starszego pokolenia Francuzów, ludzi, mających dziś lat 60—70, można spotkać takich niezawodnych przyjaciół Polski.

P. L. Wellisz, który od lat interesował się rolą wybitnych Polaków wśród społeczeństwa francuskiego i który w roku 1909 wydał pierwszą pracę na temat: „Zygmunt Krasiński i Ary Scheffer", obecnie opracował stosunek tych dwóch ludzi w obszernem i pięknie wydanem dziele pod tytułem: Léopold Wellisz. Les Amis romantiques, Ary Scheffer et ses amis polonais. Précédé d'une étude de Gabriel Sarrazin „Le Poète anonyme de la Pologne" et accompagné de 25 reproductions des oeuvres de Ary Scheffer. Paris, Editions du Trianon, 1933, 1 tom w 4-ce, str. XIII, 147 i 24 plansze.

Polska praca p. Wellisza z roku 1909, oddawna już wyczerpana, jest podstawą, z której wyrosło wydane obecnie dzieło francuskie; jednak, przez ubiegłe 24 lata autor zdołał odkryć tyle dokumentów i faktów, że jest to jakby

zupełnie nowa praca, od tamtej niezależna i tylko tematem luźno z nią związana.

Chcąc dzisiejszej publiczności francuskiej przedstawić dzieje przyjaźni między A. Schefferem a Zygmuntem Krasińskim i jego rodziną, p. Wellisz uznał za niezbędne poinformować tę publiczność o życiu i dziełach Krasińskiego, a było to tem bardziej niezbędne, że obecnie niema w sprzedaży ani jednego francuskiego przekładu dzieł „bezimiennego poety“ (są w obiegu księgarskim tylko przekłady angielskie i włoskie); uczynił to p. Wellisz w sposób niezmiernie wytworny i trafny: zwrócił się mianowicie do sędziwego przyjaciela Polski, znakomitego krytyka i historyka literatury, p. Gabriela Sarrazin'a, najlepszego dziś we Francji znawcy twórczości Zygmunta Krasińskiego. (G. Sarrazin wydał przed laty piękną i głęboką pracę o naszej poezji romantycznej pod tytułem: „Les Grands Poètes romantiques de la Pologne. (Essais de littérature et d'histoire“. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński. Paris. Perrin, 1906, 1 tom w 16-ce, str. XIII i 340). P. Sarrazin napisał dla dzieła p. Wellisza nową pracę o Krasińskim, może nawet głębszą i ciekawszą, niż poprzednia; charakteryzuje w niej Krasińskiego, jako „dramatycznego poetę sumienia“, streszcza życiorys poety i jego własną tragedję sumienia, opowiada o przyjaźni z Schefferem na podstawie dzieła p. Wellisza, roztrząsa treść filozoficzną i religijną listów Krasińskiego do malarza; pogląd swój na poetę i jego twórczość Sarrazin wyraża w następujący, kategoryczny sposób: „Zygmunt Krasiński jest nietylko jednym z największych poetów Polski, ale jednym z największych duchów, jakie ludzkość wydała. Mniej narodowy, niż Mickiewicz, mniej zatopiony w marzeniu i o mniejszym, niż Słowacki, polocie, przewyższył ich obydwu przenikliwością intuicji i sumiena, siłą i głębokością myśli, słusznością i zasięgiem poglądów. A zaprawdę, gdyby mi wypadło powiedzieć całkowitą myśl moją, nie lękałbym się postawić go wyżej nawet od Mic-

kiewicza; jeżeli jest trochę mniej polski, niż Mickiewicz, to jest zato Krasiński szerszy, bardziej ludzki i bardziej uniwersalny, niż jego znakomity współzawodnik". ,

Tak stanowcza i tak pochlebna opinja znakomitego krytyka francuskiego o poecie polskim może i powinna zachęcić czytelnika francuskiego do bliższego zapoznania się zarówno z omawianem dziełem, jak i z twórczością Krasińskiego.

Dzieło p. Wellisza ma tytuł: „Romantyczni Przyjaciele", bo też przyjaźń ta była rzeczywiście romantyczna: zrodziła się mianowicie z zachwytu, jakim natchnęła Krasińskiego znaleziona przypadkiem, u pewnego handlarza rycin w Hadze, reprodukcja obrazu Francesca di Rmini Ary Scheffera. Malarz ten (1795—1858), jeden z najwybitniejszych artystów romantycznych, dziś nieco zapomniany i niedoceniony, cieszył się w połowie XIX-ego wieku zasłużoną sławą. Znakomity myśliciel i pisarz francuski, Ernest Renan, najlepiej może ujął istotę i wartość talentu Scheffera: „Był to doskonały artysta, który, jak nikt inny, umiał przyoblekać ciałem ideały moralne i utrwalać obrazy tego, co zachwyca nas, ulepsza i rozrzewnia".

Ary Scheffer, Holender z pochodzenia, urodził się jako obywatel francuski i był malarzem francuskim. Chociaż studja malarskie odbywał w Paryżu w latach, gdy rosła tam i rozwijała się romantyczna grupa malarzy francuskich, do której się przyłączył, różnił się przecież Scheffer od swych kolegów romantycznych, Géricault, Delacroix i innych, stosunkiem do koloru i wyborem tematów; nie barwa bowiem stanowi główną zaletę obrazów Scheffera, ale rysunek i kompozycja, nie gwałtowność i burzliwość tematów, ale ich umiar i głębia duchowa. Stanowi więc w romantycznem malarstwie zjawisko odrębne, pełne harmonji i skupienia.

Zygmunt Krasiński, który — jak sam to w liście do Gaszyńskiego wyznaje — był dość obojętny względem obrazów, nie byłby może zwrócił uwagi na obrazy Scheffe-

ra, gdyby nie głębia moralna, której obrazy te są wyrazem. To też, gdy w roku 1844-ym ujrzał rycinę, przedstawiającą „Francesca di Rimini“ Scheffera, zachwycił się treścią moralną tego dzieła i oto, co pisał wówczas do żony:

„Skorom spojrzał, uczułem the perfect Beauty! I zaraz te cztery wiersze przyszły mi na myśl:

I w piekle nie jest bez Bożej opieki,
Kto z ukochaną — choć w piekle — na wieki!
Bo choć szatanów lud nad nim się sroży,
Gdy kochać może—w nim żyje duch Boży.

Piękność, to tchnienie Boże, wiejące przez świat i uderzające prądem w pierś twoją. Gdy z tym oddechem Boga się spotkasz, zaraz jakaś błogość rozlewa się po duchu twoim. Gdym ten kopersztych ujrzał, niezmiernie smutny byłem zawczoraj, uczułem, że piękny — i stało mi się tak na duchu, jakgdybym po odmówieniu modlitwy czuł się spokojniejszy“.

Od tej chwili, od zachwytu Krasińskiego wobec dzieła Scheffera i od przytoczonego listu poety do żony, zaczyna się ich przyjaźń, chociaż Krasińscy dopiero w rok później zapoznali się osobiście i zbliżyli z Schefferem — za pośrednictwem Delfiny Potockiej. Pozostali oni wiernymi i czujnym przyjaciółmi i wielbicielami Scheffera, aż do jego zgonu, pomagali mu materjalnie i moralnie, przyczynili się do tego, że artysta w ostatnich latach swego życia namalował około dwudziestu portretów polskich: Potockich, Branickich, Szembeka i in.

Wyrazem tej przyjaźni jest korespondencja między poetą, jego żoną Elizą, panią Delfiną a Schefferem, którą odkrył, umiejętnie skomentował i w pięknej swej książce ogłosił p. Leopold Wellisz.

Świat tej korespondencji, to świat najszlachetniejszych myśli i uczuć najczystszych; uczestnicy tej rozmowy listo-

wej, Krasiński, pani Eliza, Scheffer, to jakby współbiesiadnicy jakiejś uczty Chrystusowej, na wzór „Sympozjonu“ Platona pojętej; rozprawiają w niej o Bogu, o istocie piękna i prawdy, wypowiadają najgłębsze swe przeświadczenia i najżarliwsze wierzenia, Jakże daleki jest ten świat czystej, głębokiej i szlachetnej myśli, płonącej żarem najszczerszego uczucia, od atmosfery dzisiejszego świata, złożonego długotrwałą niemocą po katastrofie wielkiej wojny, wstrząsanego gorączką przemian, jakie skutki tej wojny powodują! I oni wówczas, owi szlachetni rozmówcy, przeżywali niedole, nieraz może cięższe od tych, które my dziś przeżywamy: niewola Polski, rewolucja 1848-go roku, a przecież przez całą tę korespondencję płynie szlachetny prąd myśli i uczucia; niedole krajowe, społeczne i osobiste nie zasłaniają Krasińskiemu najwyższych prawd duchowych. By dać o tej francuskiej korespondencji Krasińskich z Schefferem niejakie pojęcie, przytoczymy tu w przekładzie ułamek listu Krasińskiego i wyjątek z listu jego żony do Ary Scheffera.

Po upadku Rzeczypospolitej Krakowskiej, a w odpowiedzi na list malarza, pracującego wówczas nad obrazem, mającym przedstawiać ukrzyżowaną Polskę, poeta pisze piątego kwietnia 1846 roku:

„Dowiedział się pan z dzienników, jak najszczytniejsze nadzieje padają pod kosami kilku wieśniaków, obałamuconych przez jakichś ponurych agentów. Widział pan, na własne oczy, jak w przeciągu dni dziesięciu podniósł się kamień mogilny i jak opadł znów jeszcze cięższy na nieśmiertelne serce, które świat cały opuścił, ale które przecież, mocą swego męstwa i swego męczeństwa, skruszy śmierć, niezdolną je ujarzmić. To, co naszkicowała pańska wyobraźnia, dokonało się w naszych oczach na jawie. Tak więc chwila, gdy Chrystus zawołał: „Ojcze mój, czemuś mnie opuścił!“, powtarza się oto w dziejach ludzkości dla całego narodu. Śmierć nada sobie pozory rzeczywistości. Śmierć przez czas jakiś małpować będzie życie i zwycię-

stwo. I dadzą jej wiarę. Znajdzie wielbicieli, wiernych i, gorzej jeszcze, pochlebców. Powiedzą jej: „Dobrze czynisz“. Inni zaś jej rzekną: „Bądź wieczną“. Wobec tego powinnyby zstąpić na ziemię ciemności, wobec tego winnaby zasłona w świątyni rozedrzeć się od góry do dołu. Cały naród zstąpi do katakumb XIX-ego wieku. Dotąd Naród ten walczył na krwawej arenie z tygrysem i hjenami, kupionemi i utuczonemi przez Cezara; walczył przez sto lat nagi, jak gładjatorzy i z odrobiną żelaza w ręku dla obrony; ten ułomek żelaza będzie mu odebrany; Naród musi zapaść się pod ziemię, pozbawiony słonecznego światła. Tam, bezbronny, bez oczywistej nadziei, zewsząd osaczony, wyznawać ma swego Boga, który jest Duchem Chrystusowym w polityce i w świecie, jak pierwsi chrześcijanie wyznawali Ducha Chrystusowego poza polityką i poza światem; tak, musi wyznawać go tak samo, z tą samą nieskończoną wiarą, z tą samą nadludzką wytrwałością, wśród takich samych udręczeń, mrąc tysiącem śmierci w każdej godzinie, aby tem szybciej dotrzeć do prawdziwego żywota, do królestwa Sprawiedliwości i Miłości na ziemi“.

A oto część listu Elizy Krasińskiej do Scheffera z 10-go września 1848 roku, gdy Europa cała była wielkim wulkanem rewolucji:

„Dziś bardziej, niż kiedykolwiek, jestem, jak wątły liść, unoszony przez wichry. Żyję w najzupełniejszej niepewności. Rozbijam namiot mój na skraju drogi, nie wiedząc, czy nie będę musiała zwinąć go, zanim dzień upłynie. A zresztą, czyż niepewność, nietrwałość nie jest najistotniejszą cechą czasów, które przeżywamy? Czyż największe przedsięwzięcia dni naszych nie są wznoszone na piaskach ruchomych? Niestety! Epoka nasza jest przedziwna, pełna posępnych sprzeczności i niewymownego smutku. Olbrzymia i karla, wspaniała i nędzna zarazem, wielka w rzeczach zewnętrznych, a nędzna przez ludzi; a przecież i ludzie i rzeczy są jednakowem objawieniem Boga; rzeczy jednak są myślą Bożą niezrozumianą, a tylko tragicznie wprowadzoną

w życie świata, podczas, gdy ludzie są tą samą myślą, lecz jasną i harmonijną, lecz świadomą siebie, lecz wcielającą się w życie, bez wstrząsów i przemocy, mocą wolnej woli, przez wolną wolę człowieka. W naszych czasach ludzie nie znają, nie uznają Boga. Chcą działać, obalać, budować, tworzyć, bez tej jedynej mocy życia i potęgi. Są to karły, wznoszące na popiele budowle z trupich kości. Ale, ponieważ świat jest tworem bożym, Stwórca nie może opuścić swego dzieła; Bóg usunął się od ludzi, to prawda, ale nie usunął się od rzeczy; te wielkie poruszenia, te wstrząsy podziemne, które kruszą powierzchnię ziemi od krańca do krańca, te burze szalone, ten nieunikniony i krwiożerczy huragan, przebiegający świat z szybkością błyskawicy, te ciemności, ta nieskończona męka trwogi, nadziei, niemocy, pragnienia, szałów i niepokojów, te kataklizmy nagłe i wszechogarniające, ten płonący wir dnia dzisiejszego, te ciężkie zasłony wobec przyszłości, te przepaści, ze wszech stron się rozwierające — czyż to wszystko nie mówi nam, czyż to wszystko nie każe nam pojąć, że glob ziemski porusza się pod potężnem tchnieniem, według woli niezgłębionej, nieprzeniknionej, w drogach swych niepojętej, woli Boga straszliwego niekiedy, ale zawsze Boga-Zbawiciela? I chociaż śmierć jest nam wszędzie widzialna, czyż nie wierzymy z całej duszy, że światło, że zbawienie, że życie są bliskie? Niechże więc nadzieja nie opuszcza serc szlachetnych, niech wesprze je moc święta, aż do błogosławionej chwili, gdy wszystko stanie się według wiary całkowitej!“

Te dwa urywki dają pojęcie o wysokim i czystym poziomie, na jakim bytowała przyjaźń Krasińskich do Scheffera; poprzez dzieło p. Wellisza, jak złota nić przewodnia, przewijają się te listy trojga przyjaciół, równie piękne i szlachetne; dzielą się przecież ci przyjaciele ze sobą także bezpośredniemi troskami życia powszedniego i wspierają nawzajem w kłopotach i nieszczęściu; do tego grona przyłączyła się także Delfina Potocka i córka Scheffera, pani Kornelja Marjolin.

Krąg przyjaciół i znajomych Scheffera wśród Polaków rozrastał się — przy wydatnem współdziałaniu Krasińskich: Norwid, Chopin, Braniccy, Potoccy, Szembekowie; kilku malarzy polskich: Kapliński, Kwiatkowski, Tepa, było jego uczniami.

Po śmierci Krasińskiego i Scheffera panie Eliza i Kornelja pocieszały się wzajemnie w boleści i wspólnie przeżywały polską tragedję 1863-go roku i francuską 1870-go roku. Historję „przyjaźni romantycznej", obejmującą lata 1844 — 1870, osnuł pan Wellisz na tle dziejów owej epoki, które wierne odbicie znajdują w listach przyjaciół, będących świadectwem najwyższych wzlotów ducha i uczucia, do jakich owa epoka była zdolna.

W przypisach do swego dzieła pan Wellisz omawia stosunek krytyki do twórczości Scheffera, podaje szczegóły o rytowniku Sainte-Eve, który wykonał miedzioryt według portretu Krasińskiego przez Scheffera, wylicza przekłady francuskie dzieł poety i prace francuskie o nim.

Najcenniejszym przecież z dodatków do pracy p. Wellisza jest „Katalog portretów Polaków, wykonanych przez Scheffera, oraz innych dzieł malarza, znajdujących się w Polsce"; katalog ten, owoc wieloletnich, żmudnych i wielostronnych poszukiwań, obejmuje dwadzieścia portretów osobistości polskich oraz 14 innych prac Scheffera, będących w polskiem posiadaniu. Książka p. Wellisza ozdobiona jest 24-ma wspaniałemi reprodukcjami dzieł Scheffera, wśród których znajduje się 16 portretów Polaków i Polek.

Jak widzimy, książka ta bogata jest we wszystko, co może i powinno zapewnić jej powodzenie i wzbudzić zainteresowanie wśród publiczności, dla której jest przedewszystkiem przeznaczona: we Francji.

Głównym celem, który przyświecał panu Welliszowi przy pracy nad tem pięknem dziełem, było, jak sam w przedmowie wyznaje, pragnienie, by „przypomnieć węzły serdeczne i umysłowe, które istniały między Francją i Polską, wówczas nawet, gdy Polska pozbawiona była wolności"

i wykazać, że „współpraca tych narodów w dziedzinie artystycznej i umysłowej, jako niezbędne dopełnienie łączącej je przyjaźni i solidarności politycznej, może powołać się tutaj na szlachetne i wzniosłe tradycje".

O ile nam wiadomo, praca p. Wellisza swój cel osiągnęła: artykuły barona Ernesta Seillière'a, członka Instytutu Francuskiego i Henryka de Montfort, sekretarza Akademji Nauk moralnych i politycznych w Paryżu, obok wielu innych, świadczą, że dzieło p. Wellisza dotarło do francuskiej elity umysłowej i wywołało spodziewany i zasłużony oddźwięk życzliwości i uznania; propagandzie kulturalnej polskiej przybył w ten sposób atut wartościowy i trwały.

Stanisław Piotr Koczorowski.

Redakcja „Naszej Przyszłości" musi usprawiedliwić się wobec Czytelników z powodu zamieszczenia w tym wypadku recenzji o pewnej książce wogóle. Ponieważ dział recenzyjny w naszem wydawnictwie nie mógł być niestety jeszcze zorganizowany, dlatego nie zamieszczamy z reguły żadnych recenzji, chociaż nieraz jesteśmy o to proszeni i chociaż rozumiemy dobrze, że taki dział, dotyczący zwłaszcza wybitniejszych dzieł krajowych i zagranicznych, byłby ciekawy i korzystny dla pracy i tendencji wydawnictwa.

Dlaczego więc robimy wyjątek dla książki p. Wellisza i to z naszej własnej inicjatywy? Odpowiedź jasna: prosimy wziąć pod uwagę choćby tylko wyżej zacytowany ustęp listu Elizy Krasińskiej o stanie Europy w r. 1848 i o nastawieniu ówczesnych umysłów. Prosimy przeczytać raz jeszcze ten znamienny ustęp, charakteryzujący stosunki i mentalność owej epoki!

Czyż nie to samo—słowo w słowo—prawią dzisiaj ludzie o obecnych stosunkach? I czyż dzisiejszy, nawskroś zmaterjalizowany, rozwydrzony, w chaosie i w dorywczych, śmiesznie krótkowzrocznych wysiłkach pogrążony świat nie dochodzi zwolna, stopniowo, nieraz podświadomie

do przekonania, że bez uznania „potężnego tchnienia woli niezgłębionej, nieprzeniknionej Boga“ nie wybrnie z obecnego impasu i niedoli? Że owe konferencje i konferencyjki, owe kombinacje i kombinacyjki dyplomatyczne, polityczne, gospodarcze i inne — w których płaskość i bezradność „wybitnych“ sfer i „wybitnych“ jednostek, w gruncie rzeczy „karłowatych“, w całej pełni się ujawnia — nie wywołują po tych ostatnich kilkunastu latach powojennych wrażenia, że ci wszyscy ludzie porywają się z motyką na słońce?

Czyż brak dzisiaj listów, przemówień i artykułów, brzmiących swą treścią całkiem podobnie do listu Elizy Krasińskiej?

Skala nędzy, przewrotów i chaosu większa dzisiaj, niż przed blisko stu laty, ale jakże podobna! Ale potem nastąpiła wnet epoka spokoju, pomyślności, dobrobytu — powszechnością swą światową nieznanego przedtem w dziejach. Czyż nie wolno nam wysnuć z tego pewnej analogji, pewnych pomyślnych horoskopów na przyszłość?

Wolno i należy! Ale pod warunkiem, że ludzie polityki i gospodarki zrozumieją raz nareszcie, iż konferencjami i dorywczymi paljatywami i przeróżnemi technicznemi kombinacjami sprawy nie załatwią. Wszak ani Liga Narodów, ani owe tysiączne — niezmiernie już nudne swą jałowością — konferencje międzynarodowe, dyplomatyczne czy gospodarcze, nie były w stanie dotąd rozwiązać skutecznie, na serjo, ani jednego ważnego problemu! Nie były w stanie, bo brak w zmaterjalizowanych społeczeństwach należytego uznania dla owej „Wyższej Woli“, a z tem brak i zdrowego, trzeźwego, a uczciwego rozsądku. Wszystko, co mogłoby stworzyć trwalsze fundamenta dla jakiejś poprawy na serjo stosunków politycznych, społecznych i gospodarczych w każdem państwie z osobna i we wzajemnych między państwami stosunkach, uważane jest za zbyt ogólnikowe, abstrakcyjne, fantastyczne, nierealne. A ludzie i konferencje gubią się i gmatwają beznadziejnie w dorywczych, bezplanowych, krótkoterminowych sytuacjach

i szczegółach. I tylko takie doraźne kwestje, konjunktury i szczegóły nazywają — w dziwnem zaślepieniu — „konkretnymi“, nie zdając sobie sprawy, że one właśnie są najczęściej utopją!

Nie zdają sobie sprawy — z dziwnym, tępym uporem — że szczegóły można wówczas dopiero produktywnie i korzystnie załatwić, gdy się wpierw zbuduje wyraźne, trwałe, uczciwe fundamenty programowe. Bez nich wszelkie koncepcje, choćby „najwybitniejsze“, to bańki mydlane, które pryskają za pierwszym powiewem wiatru.

Wszelka więc skuteczna, prawdziwie produktywna myśl polityczna i gospodarcza, wszelki trwalszy impuls do naprawy stosunków, musi oprzeć się — czy chce, czy nie chce — na uznaniu pewnej głębszej idei moralnej i wypływającego z niej konsekwentnego, wszechstronnego moralnego programu, na dłuższą zakreślonego metę.

I w tem leży perspektywa wybrnięcia z panującego impasu. Oto myśli, które uważnemu czytelnikowi, badającemu głębiej dzisiejsze stosunki, nasuwa lektura książki p. Wellisza — oczywiście poza samem pięknem swego właściwego tematu. I dlatego robimy dla niej ten wyjątek, zamieszczając jej recenzję z pod wybitnego, fachowego pióra.

Redakcja.

PROBLEM UKRAIŃSKI.

CZĘŚĆ DRUGA.

O PRACY KONSTRUKTYWNO - KONSERWATYWNEJ.

Co to jest postęp i konserwatyzm?

W społeczeństwie ukraińskiem słowo „postęp" bardzo jest w modzie, chociaż niema zrozumienia, na czem właściwie polega postęp i zamiast postępu istnieje zanik, czyli rozkład duchowy. Z drugiej zaś strony słowo „konserwatyzm" jest nam obce i wstrętne. Słowo „konserwatyzm" wywołuje wrażenie mumji zabalsamowanej. Pod konserwatyzmem rozumie się u nas zastój, zacofanie, zaskorupiałość. Nawet ci, co to uważają się za konserwatystów, nie mają zrozumienia i głoszą o konserwatyźmie dziwaczne pojęcia.

Jeden z najwybitniejszych konserwatystów polskich napisał w r. 1931 list otwarty do konserwatysty ukraińskiego, w którym podał ogólne zasady konserwatyzmu [1]).

Na list ów pojawił się cykl artykułów w „Mecie", w których autor daje publiczną odpowiedź konserwatysty ukraińskiego. Artykuły owe, pełne wyszukanych frazesów, są tak dalece niejasne i mętne, że trudno z nimi polemizować. Wskażę tylko na dwie sprawy, a mianowicie: ów konserwatysta ukraiński stawia konserwatyzm na równi z konserwatyzmem państwa rosyjskiego, które tak opłakanie skończyło, natomiast w obronie własności prywatnej widzi materjalizm.

Już to wykazuje, jaki u nas brak zrozumienia prawdziwego konserwatyzmu, bo przecież konserwatyzm rosyjski

---

[1]) Dr. J. Bobrzyński: Nasza Przyszłość. Tom XV, 1931.

nie był konserwatyzmem, ale zabójstwem ducha ludzkiego, był mroczem lub lodem, który wstrzymywał wszelki rozwój życia. Prawo zaś własności prywatnej — to nie podstawa materjalizmu, ale zachowanie przyrodzonego prawa, nakazanego przez dekalog Boży. Że ktoś może nadużywać prawa własności (jak i każdego prawa dekalogu Bożego) w ten sposób, że w dobrach materjalnych widzi wyłącznie najwyższe swe dobro i dlatego dba tylko o owe dobro materjalne, tego jeszcze nie można poczytać za zło zachowania i bronienia prawa własności.

Czem jest więc prawdziwy konserwatyzm? Prawdziwy konserwatyzm przyznaje i zachowuje sprawy trwałe i niezłomne, same w sobie pożyteczne i cenne, sprawy zaś przemijające i chwilowe traktuje, jako takie i posługuje się niemi o tyle, o ile w pewnym czasie i w pewnych warunkach mogą być przydatne i korzystne. Prawdziwy więc i pozytywny konserwatyzm przyznaje i opiera się przedewszystkiem na przyrodzonych i nadprzyrodzonych prawach i zasadach Bożych, które są niezłomne, wiecznie trwające i niezmienne. Opierając się na tych zasadach i prawach, rozwija swoją działalność, uszlachetnia ducha ludzkiego i prowadzi do prawdziwego postępu jednostki i całego społeczeństwa ludzkiego. Otóż prawdziwym postępem nie jest zdobywanie wyłącznie dóbr materjalnych, ani też wynalazki na polu techniki, ale przedewszystkiem rozwój i uszlachetnianie ducha ludzkiego na zasadach niezłomnych, wiecznie trwałych praw Bożych. Gdzie jest taki postęp, tam dobra materjalne i ulepszenia techniczne służą i wychodzą na dobro prawdziwe. Lekceważenie zaś przyrodzonych i nadprzyrodzonych praw Bożych nie tworzy postępu, ale powoduje rozkład, bo rodzi chłodny materjalizm, jaki wytwarza wyzyskujących pasożytów, a u drugiej strony wyzyskiwanych proletarjuszy, a wszelki rozwój na polu tech-

nicznym prowadzi w tym wypadku do nowego rozkładu i upadku życia duchowego, krótko mówiąc: do ruiny ludzkości.

Kościół katolicki jest instytucją najbardziej konserwatywną, a równocześnie najbardziej postępową.

Kościół katolicki jest najbardziej konserwatywny, bo chroni i zachowuje zasady niezłomne, za żadną cenę nie odstępuje i nigdy nie odstąpi od dogmatów wiary i etyki; nie zmienia swych przekonań z dnia na dzień, jak to widzimy w życiu świata, ale nawet wśród prześladowań stoi zawsze na stanowisku, wyznaczonem przez Założyciela swego, Chrystusa Pana. Kościół katolicki jest również najbardziej postępowy, rozwija bowiem życie swoje i działalność w ramach wiecznie trwałych zasad wiary i etyki, wytworzył i dalej wytwarza prawdziwą kulturę. Kościół katolicki, spełniając przykazania Chrystusa, szuka głównie i przedewszystkiem Królestwa Bożego w duszach, ale przytem osięga i wszystko inne w doczesnych sprawach dobrobytu życia ludzkiego. Kościół katolicki zrodził nietylko olbrzymów świętych, którym nie mogą równać się genjusze świata, ale również wielkich uczonych, genjalnych mistrzów na polu sztuki i wszelkiego rodzaju wynalazków na polu techniki. Kościół katolicki założył i otworzył pierwsze, najgłówniejsze uniwersytety, otwarł szkoły wiedzy w różnych kierunkach rozwoju kulturalnego. Na Kościele katolickim spełniają się po wszystkie czasy słowa Chrystusa Zbawiciela: Szukajcie Królestwa Bożego, a wszystko inne wam się doda— jako konieczny wypływ i konsekwencja wewnętrznego życia, opartego na zasadach Królestwa Bożego. Kościół katolicki jest rzeczywiście owym uczonym ewangelicznym, który, poznawszy zasady Królestwa Bożego i postępując wedle nich, upodobnił się do człowieka zamożnego, który ze swego skarbu wynosi stare i nowe wartości. Stare, bo wiecznie trwałe sprawy o wartości nadprzyrodzonej, a równocześnie

i nowe, bo tworzy ustawicznie nowe wartości, bo działa bez przerwy i uszlachetnia swych wyznawców. „Każdy doktór uczony w Królestwie niebieskiem podobny jest człowiekowi gospodarzowi, który wyjmuje ze skarbu swego nowe i stare rzeczy“. (Math. 13,52).

Schizma i herezja, jako wypływ świata tego, nie prowadzą do prawdziwego postępu.

Naodwrót ma się sprawa ze schizmą i herezją. Schizma—to obumarcie i skostniałość ducha, bo tam niema światła życiodajnego i ciepła Ducha świętego, podobnie, jak niema przyrodzonego życia w gałęzi, oderwanej od pnia żywego. Skostniałe formy, a pod niemi zgniła treść, zamiast postępu, rozkład moralny. Również różne herezje i sekty, wziąwszy rozbrat z wieczną i absolutną Prawdą, błądzą po manowcach, z jednego fałszu wpadają w drugi, ustawicznie są w niepokoju i również powodują rozkład duchowy. Wszystkie owe zboczenia od prawdziwego Kościoła katolickiego podobnie są całkiem do świata tego, którego są wypływem. Świat bowiem ustawicznie faluje, niby morze wzburzone. Raz podnosi się, to znów opada. Nagromadza bogactwa, dokonuje olbrzymich wynalazków na polu techniki, buduje budowle, chełpi się cywilizacją, a potem, zamiast prawdziwego postępu, powoduje kataklizmy, w których wszystko rozpada się i niszczeje; bo świat, zaniedbując postęp duchowy, wytwarza upadek moralny, jako główną przyczynę kataklizmów i to tem straszniejszych, że w takich ogólnych kataklizmach zwykle ulegają zniszczeniu również zdobycze prawdziwej kultury, podobnie, jak ogólna powódź lub inne kataklizmy w przyrodzie niszczą wszystko bez różnicy.

Świat zawsze łaknie nowości.

Ludzkość tak oswoiła się i zżyła z owym nieustającym ruchem świata, że wydają się jej nudnymi czasy pokojowe, prawdziwemu rozwojowi i życiu kulturalnemu po-

myślne i sprzyjające i dlatego łaknie zmian, pragnie nadzwyczajnych wydarzeń, a wojnę przyjmuje z oklaskami radości, chociaż gorzko za to potem pokutuje. Wszystko, co dawne, chociaż wypróbowane, trwałe i cenne, nie podoba się i zrzuca się, jak niepotrzebną odzież, a imponuje to, co nowe, chociaż tylko pozornie dobre, chociaż nawet szkodliwe i niebezpieczne.

Sprawa więc całkiem jasna, że gdzie niema prawdziwego, pozytywnego konserwatyzmu, tam niema również prawdziwego postępu.

Prawdziwy konserwatyzm i fałszywa żądza nowatorstwa.

Trafne zrozumienie konserwatyzmu, jak również fałszywego postępu, podaje znany katolicki historyk i filozof, Ryszard Kralik we Wiedniu, w swej odpowiedzi na zarzut, zrobiony mu przez jednego z krytyków, zresztą życzliwego. Krytyk ten mianowicie zarzuca, że obszerna praca literacka Kralika nie daje nowego implusu, któryby świat przełamał i nadał mu nowy kierunek. W odpowiedzi na ten zarzut dowodzi Karlik owemu krytykowi, że właśnie zasadnicza tendencja konserwatywna była bezwarunkowym celem jego twórczości, była jego zadaniem, była prawie konieczną zasługą w tym rewolucyjnym czasie, w czasie, specjalnie łaknącym nowości. Ażeby nie być podobnym do owych, wszystko wywracających fałszywych proroków, przed którymi ostrzegał Jezus Chrystus po wszystkie czasy, uważał za konieczne zbudować cały swój program kulturalny na autorytatywnej tradycji Kościoła katolickiego. Uważał on wypracowanie pryncypjum konserwatywnego w chaosie naszych czasów za konieczniejsze, aniżeli nieudolne, dziecięce próby dążenia do rzekomej genjalności, do wymuszonej oryginalności, aniżeli zakładanie nowych sekt i zezwalanie na plamienie wiecznych zasad Bożego objawienia, czystej wiary i Kościoła heretycznem reformatorstwem, bezcelowym „postępem“, dostosowywaniem się

do zwodniczego ducha świata i dziwacznemi formami nowego stylu.

Po myśli tego uczonego prawdziwy styl, to najbardziej prosty sposób wyrażania się. Raczej lakoniczny, albo suchy styl attycki ,aniżeli błyszczący styl „azjatycki“ z czasów upadku. Konserwatyzm, pojedyńczy styl — to genjusz.

Rozumie się, że dzisiejszy czas, żądny nowości, nie jest do tego zdolny, jego brak wiedzy jest taki wielki, jak brak smaku; gotów on odmówić genjalności Zbawicielowi Boskiemu, który powiedział: „Nie mniemajcie, żem przyszedł rozwiązywać Zakon albo proroki. Nie przyszedłem rozwiązywać, ale wypełnić. Zaprawdę bowiem powiadam wam: Aż przeminie niebo i ziemia, jedna jota albo jedna kreska nie odmieni się w Zakonie, aż się wszystko stanie. A ktoby czynił i nauczał, ten będzie zwan wielkim w Królestwie niebieskiem“ (Math. 5, 17, 19).

Prawdziwie tworzyć, znaczy przedewszystkiem: to, co cenne, zatrzymać i dalej prowadzić. Homera, Dantego, Szekspira zazwano kompilatorami, jednakowoż właśnie jako kompilatorzy, stali się oni wielkimi, trwałymi filarami swoich narodów. Tylko, gdzie jest zdrowy konserwatyzm, tam jest poczucie swojskości domowej w tym, przez Boga stworzonym świecie i poczucie optymizmu. Jako konserwatyści bowiem oceniamy tradycję, rozumiemy wszystko, a zarazem wiemy, że i my kiedyś również zrozumiemy to, co dotychczas było dla nas niezrozumiałe. Naszem zadaniem w pierwszej linji jest rozumieć, a nie krytykować. Nie można ganić jelenia, że ma rogi, a konia, że nie ma rogów, nie możemy Szyllera ganić. że nie jest Goethem, ani też Goethego, że nie jest Szyllerem. Również i taka filozofja jest niemożliwa, kiedy Schopenhauer osądza świat cały jako nagany godny i w ten sposób wmawia przygnębiający pessymizm, a Nitsche zachowuje się całkowicie jak obłąkany [1]).

---

[1]) „Bekenntnis zum Optimismus“. Von Richard v. Kralik. „Schönere Zukunft“, 1932, Nr. 17, str. 374.

Dwie ostateczności, prowadzące do jednego celu.

Prawdziwy konserwatyzm sprzeciwia się dwom krańcowościom, a mianowicie stagnacji życiowej i zaskorupiałości, a z drugiej strony nieuzasadnionej, bezcelowej i gorączkowej działalności. Jedna i druga krańcowość powoduje rozkład symptomów życiowych i niszczy wszelki dorobek prawdziwej kultury. Gdy w organiźmie ludzkim zatamuje się obieg krwi, gdy zatrzyma się prawidłowy rozwój, wtenczas następuje zanik, zdrowe soki psują się i przetwarzają w straszną gangrenę, która sprowadza śmierć. Z drugiej zaś strony nadmierna gorączka, albo trujący narkotyk trawi organizm, sprowadza nerwowość i zabija.

Podobne dzieje się i w życiu ludzkiem, tak jednostek, jak i całego społeczeństwa. Krótkowzroczny i egoistyczny konserwatyzm starego typu na jednym biegunie, a na drugim rewolucjonizm — doprowadzają do niebezpiecznych wstrząsów, bo naruszają istotę życiowych symptomów. Istota zaś symptomów życiowych polega na selekcji wartości, a mianowicie na zgromadzeniu dobra kulturalnego, a z drugiej strony na odrzucaniu odpadków [1]).

Charakterystyka naszego konserwatyzmu.

My, Ukraińcy, jesteśmy znani ze swego konserwatyzmu. Jednakowoż konserwatyzm nasz jest zgniły, negatywny i zgubny. U nas zamiast prawdziwego konserwatyzmu, istnieją dwie skrajności. Z jednej strony chronimy troskliwie i uparcie sprawy nietylko nikłej wartości, albo bezwartościowe, ale nawet nam szkodliwe, uważając je za cenne, nienaruszalne i dla nas konieczne — z drugiej zaś strony przyjmujemy gorączkowo wszelkie chwilowe hasła, zgubne i ułudne, które wytwarzają brak zasad i chaos. Ten nasz swoisty konserwatyzm przebija się nawet w pieśniach lu-

---

[1]) „Niedorzeczny defetyzm". „Nasza Przyszłość". Tom XVIII, 1932.

dowych. Weźmy np. „kołomyjkę“, która zaczyna się bardzo smutną, tęskną, aż duszę przygnębiającą melodją, a potem już w następnej strofie następuje skoczna i wesoła melodja pewnego szału duchowego tak, jakby dusza niejako pragnęła pozbyć się poprzedniego nastroju i osądzić go. Dwie krańcowości. Pessymizm i oszołamiająca radość. Jest to dowodem, że duch narodu naszego jest chory.

Ów chorobliwy nastrój podtrzymuje jeszcze więcej wpływ orjentalizmu, który ogarnął nasze umysły i serca, podsyca naszą naturę sentymentalną, mami fantazją i odwraca od realnych, koniecznych i korzystnych spraw. Jest to nasze wielkie zło, że przyjęliśmy religję z Wschodu, a nie z Zachodu, że nie wyrośliśmy w atmosferze Rzymu, ale Bizancjum.

Nie odczuwamy, że sentymentalność i fantazja rodzi w duszy tylko próżnię, zniechęcenie, osłabienie i niezdolność do inicjatywy i do waki życiowej, a naodwrót, że realna, rozumna i pozytywna praca, trud, walka i ofiara prowadzą do pozytywnych i trwałych wyników, rodzą wysokie idee i prawdziwą, szlachetną poezję.

Obłuda orjentalizmu jest głównie przyczyną, że trzymamy się formy, a nie zwracamy uwagi na treść. Stąd nie mamy pełnego zrozumienia wiecznych, niezłomnych podstaw i prawd wiary i dlatego nie ziściliśmy ich tak, jak należy, we wszystkich dziedzinach naszego życia. Przyjęliśmy formę wiary, a życiową treść wypełniamy swymi wymysłami, tradycjami i zwyczajami, które sprzeciwiają się nieraz nadprzyrodzonemu prawu Bożemu.

Lud prosty zachowuje często zwyczaje zabobonne, jak największe świętości, a Sakramenta i przepisy Kościoła lekceważy, albo ich nie rozumie.

Trafia się, że włościanin dochowuje postu bardzo skrupulatnie na intencję bydła, ale post, nakazany przez Kościół, lekceważy. Bo bydło jest u niego ważniejsze, aniżeli powaga i władza Kościoła. Śmieszne, niekulturalne zwyczaje przy różnych okazjach i zabawach jest prawie niemożliwem

usunąć. Nieestetycznych urządzeń w Kościele, jak np. grubych krzyży, świec przed ikonostasem, zwanych postawnikami i t. d., nie można zmienić, bo zaraz bunt wiernych. Tak mniej więcej wygląda nasz konserwatyzm.

Wogóle nasze poglądy na sprawy religijne, narodowe i polityczne, są tak dalece zaskorupiałe i zaściankowe, że zakrywają szerszy horyzont i nie zezwalają na rozwinięcie sił życiowych. Np. nasz katolicyzm jest tak ścieśniony i związany naszemi szkodliwemi tradycjami, że nie możemy należycie zrozumieć życia Kościoła katolickiego. I dlatego Kościół katolicki odczuwamy pod pewnym względem jako coś nieswoistego i nie bardzo nam koniecznego.

Uprzedzenie względem kleru bezżennego.

Jak dalece konserwatyzm nasz jest skostniały, krótkowzroczny i negatywny, najlepiej pokazuje pogląd i rozumowanie naszego ogółu w kwestji celibatu i żonatego kleru.

Chcę obszerniej zająć się tą sprawą, gdyż w tem leży główna i bezpośrednia przyczyna naszego negatywnego konserwatyzmu.

Sama już nazwa celibatu wywołuje u nas nietylko uprzedzenie, ale pogardę, pewnego rodzaju obrzydzenie, a nawet formalny strach paniczny, podobnie, jak u dziecka obawa przed dziką babą w maku, którą w niego wmówiła jego matka. Żonaty kler podniesiono do najwyższego znaczenia, bo kler żonaty — to podstawa i obrona Kościoła i narodu, a celibat — to zdrada obrządku, Kościoła i narodu. Ktoś obcy, biorąc objektywnie całą ową kwestję, może zżymać się i mimowoli może postawić sobie pytanie: czy naród ten, który uważa siebie za katolicki, ma katolickiego ducha, czy pojmuje znaczenie i autorytet Kościoła, czy rozumie i jest świadomy nadprzyrodzonego życia religijnego, czy odczuwa, w czem leży siła narodu?

Gdy w djecezji stanisławowskiej w 1920 r., a w djecezji przemyskiej w 1925 r., postanowili obaj Biskupi wyświę-

cić tylko tych kandydatów stanu duchownego, którzy zdecydują się pozostać w stanie bezżennym, wtenczas powstał w kraju taki krzyk między klerem żonatym i świecką inteligencją, jak gdyby ziemia miała się zapaść. Prasa, wiece, agitacje, terror na alumnach ze strony agitatorów, jednem słowem, wszyscy zorganizowali się jak gdyby przed najstraszniejszym wrogiem. Posługiwano się przytem niecnemi napaściami, niesumiennymi wymysłami tak, że każdy środek, nawet nieetyczny, był u nich dobry, o ile tylko godził w celibat. Aranżowano sztuczne wiece, przy pomocy agitacji zwoływano naród, uchwalano pod dyktatem rezolucje bez dopuszczenia do dyskusji. Naród szedł, ale nie wiedział, o co idzie, czy, ażeby odbierać żony księżom, czy wieśniakom? Na jednym takim wiecu, po wygłoszeniu bezsensowego referatu i po ogłoszeniu bez dyskusji rezolucji, jeden z włościan z galerji poprosił o głos. Z początku zabroniono mu, bo dyskusja była niedopuszczalna, ale, kiedy ten włościanin domagał się natarczywie głosu, wtenczas udzielono mu głosu w przypuszczeniu, że w imieniu „narodu" zaprotestuje przeciw celibatowi. Tymczasem doznano gorżkiego zawodu, bo ów wieśniak odezwał się w ten sposób: „A co będzie z dzwonami, zabranymi w czasie wojny?" To pytanie, po całym szeregu podburzających ustnych i prasowych agitacji, aż nadto dobrze świadczy, jak naród interesuje się małżeństwem kleru. Dla niego nawet dzwony są ważniejsze, aniżeli żona księdza. Drugi znowu wieśniak, wracając z podobnego wiecu, wyraził się w ten sposób, że właściwie nie wie, o co chodziło, ale wiernym chodzi o to, ażeby księża do szkoły chodzili, dzieci katechizmu uczyli, ludzi do dobra prowadzili. Oto prawdziwy konserwatyzm, który umiał ocenić, co konieczne, trwałe i korzystne, a co dodatkowe i niekonieczne. Naród pragnie dobrego kapłana, gorliwego kapłana, kapłana w całem znaczeniu tego słowa, ale nie jego żony, która nie ma nic wspólnego z powołaniem kapłańskiem i z urzędem kapłańskim.

Wprawdzie obecnie ucichła ta burza, nieżonaty stan

duchowieństwa osiągnął prawo obywatelstwa, a nawet zaczyna się już przyznawać potrzebę stanu nieżonatego, jednakowoż raczej z motywów materjalnych, bo nastąpiły czasy bardzo ciężkie, w których żonaty ksiądz nie może utrzymać rodziny i wychowywać dzieci. Jednakowoż motyw ten jest niski, bo wskazywałoby to, że ksiądz musi być dobrze sytuowany i nieobowiązany do praktykowania ubóstwa.

A tymczasem właśnie ksiądz powinien być ubogi duchem, nie przywiązywać się do żadnych dóbr ziemskich, nie być zniewolonym do zbierania pieniędzy i dóbr materjalnych, a w pewnych okolicznościach praktykować nawet całkowite ubóstwo.

Teraźniejszy kryzys finansowy i bieda materjalna jest również przyczyną, dlaczego tak mało synów z rodzin duchowieństwa wstępuje do stanu duchownego. Minęły już bowiem te czasy szczęśliwe, kiedy wygodny i dostojny stan duchowny przyciągał wielu kandydatów. Jeden z naszych żonatych księży, zapytany przezemnie, dlaczego syn jego uczy się w świeckich szkołach i to za granicą, a nie poświęcił się teologji, odpowiedział mi, że nie dlatego n. p., iż nie ma powołania, ale po prostu dlatego, że on sam nie chce, ażeby syn jego biedował tak, jak jego ojciec. Oto dowód, jaki duch i jakie zrozumienie panuje, ogólnie biorąc, w rodzinach duchowieństwa o stanie duchownym. Taki kapłan i jemu podobni kwalifikują się raczej do trenu, a nie do frontu w linji bojowej.

Tą samą przyczyną da się również wyjaśnić owa obcość i uprzedzenie rodzin duchowieństwa żonatego do stanu zakonnego. Tylko bardzo rzadkie bywają wypadki, że syn, albo córka księdza poświęca się służyć w tym stanie Bogu i narodowi. A przecież wedle wszelkiego rozumowania i z natury rzeczy klasztory powinny zapełniać się najwięcej synami i córkami rodzin kapłańskich.

Czego nie może w pełni dokonać kler w żonatym stanie?

Z tego względu, że pozytywny albo negatywny konserwatyzm zależy głównie od kleru, a ogół znowu naszego inteligentnego społeczeństwa stoi w obronie stanu żonatego kleru, dlatego jestem zniewolony powiedzieć, że głównie kler żonaty, jako taki, jest powodem naszego negatywnego konserwatyzmu. Kler bowiem żonaty nie może, jakby należało, wychować duchowo narodu, zrodzić idei i jej urzeczywistnić. Kler żonaty nie może w całej intensywności odczuć znaczenia ofiary i jej wykonywać. Kler żonaty nie może w pełni uzyskać dla siebie należnego autorytetu, ani też istniejący podtrzymać i zachować. Kler żonaty nie może w pełni wróść w Kościół katolicki i zżyć się zupełnie z jego życiem, które jest właśnie głównem źródłem życia duchownego, pełnej, czystej i świętej ofiary i prawdziwego autorytetu. A te cztery, wyżej wspomniane sprawy są podstawą, siłą i treścią prawdziwego i pozytywnego konserwatyzmu i postępu.

Twierdzenie moje opieram na historji naszego Kościoła i narodu, a następnie mam odwagę powołać się na blisko 30-letnie swoje doświadczenie w czasie spełniania przezemnie urzędu biskupiego. Zaznaczam, że te moje twierdzenia wypowiadam bez uprzedzenia, albo gniewu do żonatego kleru, ani nie chcę przypisywać mu tych niedomagań, jako świadomej, dobrowolnej i subjektywnej winy. W końcu zaznaczam, że biorę tutaj pod uwagę kler żonaty, jako stan.

Wśród wielu innych powodów, dla których żonaty kler nie może, jakby należało, wypełnić wyżej wskazanych swych zadań, jest jeden główny powód, a mianowicie ten, że żonaty kler jest wedle słów św. Pawła Apostoła podzielony między żoną a Jezusem Chrystusem, wcielonym Synem Bożym (I. Kor. 7.32-33).

Problemat łączności duchowieństwa z Kościołem.

Dlatego, że Kościół katolicki jest źródłem życia duchowego, ofiary i autorytetu, zaczniemy rozważać najpierw o najściślejszej i całkowitej łączności duchowieństwa z Kościołem, założonym przez Chrystusa.

W jednym z moich poprzednich listów pasterskich, powołując się na jednego katolickiego apologetę [1]), napisałem, że nie wystarczy tylko czerpać życie od Chrystusa — podobnie, jak niemowlę ssie pokarm z piersi matki — ale należy wżyć się w życie Chrystusa. Podobnie, jak gałąź, złączona z pniem, żyje jego sokami, tak też trzeba połączyć się z Jezusem Chrystusem i żyć Jego życiem. A to, co powiedziano o Jezusie Chrystusie, wcielonym Synu Bożym, to samo odnosi się również do Kościoła katolickiego. Tutaj nie wystarcza tylko pewna lojalność, ale konieczne jest całkowite i najściślejsze złączenie i zjednoczenie z Kościołem tak, ażeby żyć jego życiem, z nim odczuwać, z nim cierpieć, z nim cieszyć się, jego los uważać za swój.

Przyczyna tego jasna. Kościół katolicki jest nietylko założony przez Jezusa Chrystusa, wcielonego Syna Bożego, ale jest również Jego zbiorowem ciałem mistycznem, w którem On nadal żyje, przemawia i działa, jak ongiś żył, przemawiał i działał, przebywając na tej ziemi. Syn Boży najpierw przyjął na siebie naturę ludzką i wcielił się, potem, jako wcielony Syn Boży, przybrał sobie ciało zbiorowe, t. j. Kościół, złożony z Hierarchji, przez Niego ustanowionej i wiernych. W tym Kościele pozostał Chrystus w Najświętszej Eucharystji i udziela siły swej i życia całemu Kościołowi. Główny organ, przez który działa Chrystus, to Ojciec Święty, Papież, a dalej Biskupi i kapłani, z Ojcem Świętym zjednoczeni. Jezus Chrystus bowiem udzielił misji i władzy nietylko św. Piotrowi, Apostołom i uczniom, ale również ich następcom i dlatego misja owa i władza trwa po wszystkie czasy, aż do końca świata.

---

[1]) Albert Maria Weiss: Apologie des Christentums.

Zbiorowe ciało mistyczne Jezusa Chrystusa, t. j. Kościół katolicki, stanowi jeden organizm, w którym krąży jedna siła i życie Chrystusowe. Jak w organiźmie ludzkim komórki złączone są z sobą życiem całego organizmu, tak też w Kościele katolickim wszyscy zjednoczeni tworzą razem jeden organizm i żyją jednem życiem Chrystusowem, o ile ożywieni są i zjednoczeni z Jezusem Chrystusem nietylko wiarą, ale też łaską i miłością [1]).

Kościół zatem katolicki — to nie zwyczajna instytucja ludzka, ale instytucja Bosko-ludzka. Ponieważ zaś jest ludzka, t. j. składająca się z ludzi, może, jak każdy organizm ludzki, ulegać niedomaganiom i chorobom, pojedyńcze członki mogą całkiem odpadać, ale życie i siła całego organizmu nigdy nie może zaniknąć i zatrzymać się, bo tutaj żyje i działa czynnik Boży. Dlatego też Kościół katolicki, mimo wszystkich wrogich ataków, trwa i trwać będzie do końca świata.

Kapłan w organiźmie Kościoła katolickiego jest nie tylko zwykłą komórką, ale również jednym z przewodników życia Chrystusowego i dlatego obowiązany jest jak najsilniej zżyć się z tym organizmem, ażeby mógł w zupełności sam przejąć się życiem Chrystusa i w zupełności działać i w pełni życie to rozprowadzać po duszach ludzkich. Jednakowoż kapłan żonaty nie może tego w pełni wykonać, bo jest on podzielony między żoną a Chrystusem, a w ślad za tem i między Chrystusem w Jego zbiorowem, mistycznem ciele, t. j. Kościele katolickim. Stanowisko jego w owym organiźmie Kościoła katolickiego nie jest wprawdzie bierne, jednakowoż do pewnego stopnia wstrzymane, częściowo zahamowane, a życie, przez niego rozprowadzane, jest niejako anemiczne. Kapłan żonaty i sam nie może, jakby należało, żyć pełnem życiem i nie może gc dalej w całej pełni udzielać. Kapłan żonaty ma swoją organizację domową, z którą tak ściśle i niepodzielnie jest związany, że nie może

---

[1]) Vide obszerniej: „Chrystus w życiu Kościoła" — Benson.

oddać się w całości i niepodzielnie życiu i organizacji Kościoła. Podobnie, jak w jego życiu jest duchowy dualizm, tak i w jego działalności na polu kościelnem jest połowiczność. W tej połowiczności z reguły jednakowoż bierze górę i absorbuje go ziemska i rodzinna działalność.

Kto poświęcił się duchownemu dziełu, ten pod groźbą rozterki życiowej nie może być wpleciony swemi myślami i pragnieniami w sprawy ziemskie w większej mierze, aniżeli w sprawy duchowe. A przecież tak wpleciony jest kler żonaty przez swą rodzinę. Dlatego też wiekami trwa w owej bardzo ciężkiej rozterce. Tą sprzecznością w życiu naszego kleru żonatego można wytłumaczyć bardzo liczne sprzeczności w światopoglądzie całego naszego społeczeństwa.

Tem można sobie wyjaśnić owe rażące przeciwieństwa, że my, naród katolicki, nie mamy zaufania do Stolicy Apostolskiej, podejrzywamy i posądzamy ją o nieszczerość i brak życzliwości dla nas. Chcemy być katolikami, ale równocześnie staramy się odgraniczyć siebie i zabezpieczyć przed wpływem Kościoła katolickiego. Czerpanie życia z Kościoła katolickiego uważamy za niebezpieczeństwo latynizacji, a więc za kwestję istnienia. Uznajemy Kościół katolicki, ale sami chcemy stanowić coś osobnego i całkowicie odrębnego. Nasz katolicyzm więc nie jest wewnętrzny, nie jest wkorzeniony i zachodzi niebezpieczeństwo jego zaniku przy pewnej zmianie okoliczności, albo politycznej konjunktury.

Nasz katolicyzm schodzi na pewnego rodzaju lojalność, może silniejszą, aniżeli lojalność dla świeckiego państwa, jednakowoż i w owej lojalności spotykamy wykroczenia przeciw katolizmowi i to rażące. Przecież dawniej, a jeszcze i teraz deklamuje się i śpiewa na koncertach publicznych ulubiony poemat Szewczenki „Hus". A przecież jest on obrzydliwem łżeniem i napaścią na Kościół katolicki. W takich koncertach brali i biorą udział księża i ich rodziny, a czasem nawet ktoś z duchowieństwa śpiewa w chórze, albo nawet dyryguje.

A to u nas nikogo nie razi. Nikt nie protestuje, bośmy wprawdzie katolicy, ale lubimy śpiewać lub deklamować bluźnierczy poemat przeciw Kościołowi katolickiemu!

Doszło do mej wiadomości, że w czasie 300-letniego jubileuszu śmierci męczeńskiej św. Jozafata, szermierza i męczennika za ideę katolicką, jeden z księży i to nawet dziekan, wyraził się o tym świętym z taką złośliwością, że nawet nie chcę tutaj tego powtarzać. Ten święty, nasz rodzimy święty, nie cieszy się u nas popularnością, bo nie należał ani do „panów", ani do ‚gaspadinów", bo nie podsycał gorączki partyjnej i nacjonalistycznej, ale dbał natomiast i modlił się o nawrócenie i o ducha katolickiego w naszym narodzie, bo całą jaźnią swoją odczuwał najwyższe dobro swego narodu w złączeniu i zjednoczeniu z Kościołem katolickim.

Niedawno temu, kiedy chodziło o obronę dogmatu małżeństwa katolickiego, jeden z księży wyraził się z drwinkami, że czas już najwyższy pozbyć się tych formalistycznych przeżytków w małżeństwie i usunąć je.

Liberalna prasa nacjonalistyczna często występuje przeciw Stolicy Apostolskiej, bierze w obronę schizmę, a ogół naszego duchowieństwa nie reaguje, ale nawet czyta i prenumeruje ową prasę.

Tego rodzaju fakty nie świadczą chyba o zakorzenionej u nas idei katolicyzmu.

Papieża uważamy za najwyższego szefa Kościoła, niejako w znaczeniu ludzkiem, a nie traktujemy go po myśli zasad wiary, jako Zastępcę Chrystusa na ziemi. Biskup o tyle ma u nas znaczenie i popularność, o ile idzie po myśli świeckich przywódców—„patrjotów", o ile schlebia naszym nacjonalistycznym tradycjom i „świętościom", o ile patronuje akcji różnego rodzaju komitetów nacjonalistycznych, o ile milczy, albo toleruje ich uchybienia. Ale, kiedy Biskup nie chce grać roli patrjotycznego manekina, kiedy nie chce zejść z wysokości swego urzędu biskupiego i nie chce stać się zwykłym agitatorem, a jeszcze więcej, kiedy zajmie ka-

tegoryczne i odważne stanowisko, jako Biskup katolicki, kiedy odważy się sprzeciwić złu i publicznie je osądzić, co jest przecież jego świętym obowiązkiem, wówczas nie tylko traci popularność, ale piętnują go jako wroga, szkodnika narodu, którego należy bojkotować, a prasa organizuje na niego formalną nagonkę, niby na dzikiego zwierza. Biskup pozostaje wtenczas osamotniony i opuszczony nawet.... przez własny kler.

U nas doszło do tego, że kto trzyma z Biskupem, tego posądza się o brak patrjotyzmu i charakteru, ten jest skazany na odosobnienie od wszystkich. Gdy jeden z wierzących rzemieślników bronił swego Biskupa przed świeckim inteligentem, ten z oburzeniem zarzucił mu niejako występek, dlatego tylko, że trzyma stronę Biskupa. Na to odpowiedział ze spokojem ów rzemieślnik: „Przecież jestem wierzącym i jestem obowiązany trzymać ze swym Biskupem, boć nie będę trzymał z rabinem żydowskim".

U nas tylko liberał świecki, lub radykał, czy też otwarty wróg Kościoła cieszy się poważaniem. Ale, kiedy nawróci się, stanie się wierzącym chrześcijaninem - katolikiem i broni praw wiary i Kościoła, wtenczas traci w naszych oczach na powadze, czujemy pewnego rodzaju nieufność, a nawet posądza się go o brak charakteru i to nawet ze strony... ogółu kleru.

Tak samo, jak kler żonaty jest podzielony między żonę a Chrystusa i Jego Kościół, tak też jest podzielony i między sobą. Kler żonaty nie ma w tym stopniu, jakby należało, zdolności organizacyjnej i to nawet stanowej. Rozproszony służyć będzie raczej w organizacjach świeckich, aniżeli we własnych.

Rzecz prosta, bo mając swoje domowe i rodzinne organizacje, nie odczuwa potrzeby łączności stanowej. Nawet, gdy stworzy organizację, to nie ma ona trwałości, niknie i prędko upada. Nie pielęgnuje on nawet należycie sąsiedzkiego współżycia, chyba między krewnymi. Zamiast zachowywać solidarność i organizację stanową — rozluźnia ją

raczej przez swój osobisty separatyzm. Wszystko prawie kończy się na osobistej korzyści i celach osobistych, a nigdy nie ma się na uwadze dobra ogólnego. Dlatego też dyscyplina kościelna i wypełnianie rozkazów i przepisów Kościoła bardzo niedomaga i kuleje. Tem też da się wyjaśnić brak jednolitości w nabożeństwach i obrządku.

Owe podzielone stanowisko żonatego kleru w Kościele katolickim odbija się również ujemnie w narodzie, w którym brak uczucia wspólności i solidarności dla celu i dobra ogólnego. Nawet, gdy grozi ogólne niebezpieczeństwo, to i wówczas biorą górę sprawy prywatne i osobiste nad dobrem całego narodu. Widzieliśmy to własnemi oczyma w ostatniej naszej wojnie i przy tworzeniu państwa ukraińskiego. W spólności, jedności i jednolitości siła, a gdzie rozbicie, rozdział i wydmy, tam i najliczniejszy naród jest bezsilny i niezdolny do spełniania swych zadań tak pod względem narodowym, jak i państwowym. Kiedy w budowli wiązania, słupy i ściany nie są spojone z fundamentem i między sobą, wtenczas tworzą się rysy i szczeliny i przy pierwszem, lepszem uderzeniu nawałnicy gotowa się ona rozwalić. Podobnie też jest w budowli narodu, kiedy niema silnego spojenia duchowego wszystkich stanów między sobą i z głównym fundamentem, t. j. z Kościołem katolickim.

U nas istnieje dziedziczna skłonność do rozkładu, do rozbicia, do waśni i niezgody. A wszystko to nie jest ani konserwatyzmem, ani postępem, a jedynie upadkiem.

Życie duchowe i idea.

Już z wyżej powiedzianego wynika, że kler żonaty, podzielony między żonę a Jezusa Chrystusa i Jego Kościół, nie może, jakby należało, wrosnąć i wżyć się w organizm Kościoła katolickiego, a tem samem nie może sam należycie zaczerpnąć dla siebie w pełni życia duchowego, ani nie może spełniać, jak należy, swego zadania w sprawie rozprowa-

dzania i udzielania życia Chrystusowego wśród reszty organizmu mistycznego Kościoła, t. j. wiernych.

Kler żonaty bierze na siebie podwójny ciężar, t. j. ojcostwo duchowe i ojcostwo krwi. Już przyrodzone ojcostwo wymaga wielkiej pracy i wielkich starań, ażeby spełnić należycie swe obowiązki. Duchowe zaś ojcostwo jest jeszcze cięższe, jest ono nawet za ciężkie na barki aniołów. Dlatego też kler żonaty nie jest w stanie spełnić należycie obowiązków jednego i drugiego ojcostwa. Względnie jedno spełni, drugie zaniedba. Trzeba chyba nadzwyczajnego cudu, ażeby można godnie spełnić obowiązki jednego i drugiego ojcostwa. Chrystus jednak nie tworzy tutaj cudu, niema do tego żadnej podstawy.

To też zwykle ksiądz żonaty oddaje się i poświęca przyrodzonemu ojcostwu z krzywdą i ujmą dla ojcostwa duchowego, gdyż ojcostwo krwi podpada bardziej pod zmysły, jest, powiedzieć można, codzienną koniecznością i wymaga znacznej troski, starań i pracy w ziemskich i doczesnych sprawach i dlatego absorbuje go i odwraca od pracy nad swem osobistem doskonaleniem, jak również nad rozbudzeniem i podtrzymywaniem życia duchowego wogóle, tak w samym klerze, jak i w narodzie. A gdzie jest upadek duchowy, tam nie może zrodzić się idea wyższa i miłość do wzniosłych i szlachetnych spraw. Bo duch ożywia i podnosi, jak mówi Pismo św.: „Duch jest, który ożywia: ciało nic nie pomaga“. (Joh. 6. 63).

Gdzie jest upadek życia duchowego, tam powstają zgubne hasła, które uwodzą i powodują duchową śmierć. W najlepszym razie wydźwignienie nacjonalizmu, albo materjalnych, ziemskich, doczesnych spraw. Jednakowoż nacjonalizm i patrjotyzm, który nie powstał z idealnego, duchowego życia, wyradza się w szowinizm, w nienawiść i zatrutą gorączkę, która trawi i zabija, stawia siebie za bóstwo, negując Prawdę absolutną, niezłomne i konieczne podstawy nadprzyrodzonej wiary i etyki. Tak samo wszelkie doczesne i materjalne sprawy, bez wyższych duchowych podstaw, al-

bo nie udają się, albo stają się orężem przeciwko wierze, Kościołowi i moralności, a tem samem przeciw ogólnemu dobru całego narodu. Jedno i drugie dzieje się na naszych oczach.

Co zaś tyczy się uznania dla kleru żonatego, że jest producentem inteligencji świeckiej, to uznanie to raczej go poniża, aniżeli przynosi mu cześć. Bo przecież stan duchowny ma wyższe powołanie, aniżeli produkować inteligencję. A gdzież są plony ojcostwa duchowego? A czem odznacza się ogół tej inteligencji? A w szeregach, a nawet na czele wrogich obozów, czy nie widać w wielkiej liczbie członków rodzin księży? Czy jest dużo u nas znakomitości na polu kościelnem z domów księży, jakby tego można się spodziewać? Nie chcę więcej nad tem się rozwodzić, bo jest to bardzo bolesna rana. Nawet pod względem narodowym członkowie rodzin księży nie dopisują, bo bardzo często już w trzeciem i czwartem pokoleniu wynaradawiają się — jak powiedział jeden poważny kapłan — i całkowicie są straceni dla swego narodu.

Że kler żonaty sam nie stanął duchowo wysoko, jak należy i narodu duchowo nie wychował, to jego najcięższa wina. Bez liczby namnożyło się tych „kurpfuszerów", którzy leczą tę nieszczęsną Ukrainę. Leczą oni jej organizm wszelkimi zatrutymi „izmami", od których ona wije się w drgawkach i bliska jest śmierci. Ukraina potrzebuje odżyć życiem duchowem, życiem Chrystusa! I właśnie tutaj zawinił kler, który nie postarał się o ten jedynie zbawienny lek. Naród, duchowo nie wychowany, jest duchowo anemiczny, podatny na wszelkie złe wpływy i wszelkie duchowe choroby. Od takiego narodu nie można oczekiwać zrozumienia spraw wyższych i zachwycenia się niemi. Wśród takiej atmosfery nawet kler nieżonaty jest i musi być ogólnie anemiczny duchowo, bez ideałów i przejęty duchem chorobliwej atmosfery, jaką oddycha naród. Jakie duchowieństwo, taki naród, a jaki naród, takie duchowieństwo — pradziwe zaczarowa-

ne koło. Trzeba dużo pokoleń, trzeba dużo cierpień i ofiar, ażeby organizm narodu duchowo odrodził się.

Jaki panuje zanik duchowego życia wśród ogółu kleru żonatego, świadczy o tem zrozumienie i pogląd na stan duchowny. Stan ten rozpatruje się ze strony materjalnej, uważając go za stan dobrze sytuowany i wygodny, a nie za stan poświęcenia się Bogu i narodowi. I dlatego, gdy nastał finansowy i materjalny kryzys, kiedy stan duchowny nie popłaca, jak w dawnych czasach, wówczas zaczyna się ogólna dezercja synów duchowieństwa ze stanu duchownego, a jeśli już wstępują do niego, to chyba tylko z konieczności.

Katolickie świeckie rodziny innych narodów poczytują za honor dla siebie, gdy ich synowie poświęcają się stanowi duchownemu. Same utrzymują ich w seminarjach duchownych.

A u nas alumn dostaje wszystko za darmo, a jednak niejeden z nich myśli, że łaskę Panu Bogu robi, że raczył wstąpić do duchownego seminarjum. A kiedy już ma się wyświęcić w stanie bezżennym, to wtenczas, o ile tylko może, szuka gdzieindziej chleba i przytułku. Tylko ostatecznością przymuszony zgłasza się do seminarjum duchownego. Przyczyną tego wszystkiego jest negatywne zrozumienie i pogląd kleru żonatego na stan bezżenny kleru. I każdego nieżonatego księdza traktuje się często z lekceważeniem w domach duchowieństwa. Słowem, stan duchowny pojmuje się u nas z punktu widzenia ziemskiego, cielesnego i materjalnego. U nas nazwa „duchowny“ stan, to możnaby powiedzieć „lucus a non lucendo“.

Z powiedzianego wynika również, że stan zakonny, który jest wynikiem życia duchowego, stanem doskonałości duchowej, jest jeszcze więcej niezrozumiały. Ogół duchowieństwa żonatego jest jeszcze bardziej obcy i uprzedzony do tego stanu, a częściowo nawet odnosi się do niego wrogo. Zakonnik, zakonnica w oczach większości rodzin duchowieństwa — to niby widmo pozagrobowe.

Czy wobec takiego upadku życia duchowego u nas mogą być zrozumiałe sprawy wzniosłe, czy mogą zrodzić się idee szlachetnych i wzniosłych celów?

Imperatyw ofiary.

Chrystus Zbawiciel nietylko żyje i działa w zbiorowem swem mistycznem ciele, w Kościele katolickim, jak to wykazałem powyżej na swojem miejscu, ale przedłuża również przez niego swoje cierpienia i ofiarę. Nie znaczy to, by Chrystus cierpiał i ponosił ofiarę podobnie, jak podczas swego życia na ziemi, bo już zmartwychwstał i nie podlega cierpieniom, ale oznacza, że Chrystus po swem zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu, nie mogąc już cierpieć i ponosić ofiary Sam na sobie, przedłuża jednak swe cierpienia i ofiarę przez członków swego ciała mistycznego, t. zn., że wszyscy członkowie tego zbiorowego ciała mistycznego, połączeni z Jezusem Chrystusem wiarą i miłością, przedłużają w dalszym ciągu Jego cierpienia i ofiarę na samych sobie i w ten sposób dopełniają po wszystkie czasy, aż do końca świata, męki i ofiary Chrystusa, który już nie może osobiście cierpieć. W tem znaczeniu też i zrozumieniu powiedział św. Paweł Apostoł, że on dopełnia na sobie cierpienia Chrystusowe za ciało, którem jest Kościół: „Który teraz się raduję w utrapieniach za was i wypełniam to, czego niedostawa utrapieniom Chrystusowym, w ciele mojem za ciało Jego, które jest Kościół“. (Colos 1,24). Owego niedostatku cierpień Chrystusowych nie można tak rozumieć, by cierpienia Chrystusowe i ofiara Jego były niejako niedostateczne do okupienia rodu ludzkiego. Nie! Aż nadto wystarczają do okupienia i zadośćuczynienia za grzechy całego świata i do udzelenia wszelkich potrzebnych łask i środków do uświęcenia dusz ludzkich — ale oznacza to, że Chrystus chce, ażeby członkowie Jego mistycznego ciała ze swej strony dalej przedłużali na sobie Jego cierpienia i ofiary i upodobniali się do niego, jeżeli chcą być uczestnikami

Jego chwały: „Jeżeli jednak spółcierpimy, abyśmy też spółbyli uwielbieni". (Ad Rom. 1.17).

Tak więc każdy prawdziwy i żywy członek mistycznego ciała Chrystusowego, t. j. Kościoła katolickiego, obowiązany jest cierpieć i przynosić z siebie ofiarę. Ofiara ta może być krwawa, t. j. krwawe męczeństwo, albo bezkrwawa, na którą składają się cierpienia całego życia. Ofiara ta musi pochodzić z nadprzyrodzonego motywu, a nie z motywów wyłącznie przyrodzonych albo egoistycznych, a następnie musi być święta i pochodzić z czystej miłości do Boga.

W czasach dzisiejszych urobiło się między chrześcijanami pewnego rodzaju chrześcijaństwo salonowe.

Wieszamy na ścianach domu obraz Chrystusa Ukrzyżowanego, obrazy świętych, jednak raczej dla ozdoby. Podziwiamy męki Chrystusowe, jak również męki i bohaterskie uczynki i cnoty świętych, lecz na tem i koniec. To Chrystus tak cierpiał, to święci tak walczyli i znosili prześladowania, ale do nas to się nie odnosi! Podobni jesteśmy do owych widzów w teatrze, którzy podziwiają grę aktorów na scenie. Chcemy lekko, wygodnie, niby w salonce pośpiesznego pociągu, zajechać do nieba. Dlatego też, kiedy przyjdzie cierpienie, kiedy przyjdą niepowodzenia, kiedy trzeba ponieść ofiarę z pieniędzy i majątku, a przedewszystkiem, kiedy trzeba stanąć w obronie dobrej i świętej sprawy, wówczas tracimy natychmiast odwagę, opuszczamy ręce i stajemy się niezdolni do jakiejkolwiek sprawy. Stąd owa dezercja chrześcijan ze sfery Chrystusowej do innych obozów, co to głoszą modne, a przytem negatywne i niebezpieczne hasła i pociągają za sobą masy i cieszą się wpływem i znaczeniem. Postępować zaś w prywatnem i publicznem życiu wedle zasad wiary nadprzyrodzonej, stać na gruncie etyki katolickiej—to w oczach świata niemodne, to zaskorupiałość, to nawet idjotyzm. Dlatego też wielu, chcąc uchodzić za „postępowych", za „ideowych", opuszcza szeregi Chrystusa, a zapełnia szeregi wrogów Boga. Chrze-

ścijanie wierzący zapominają zwykle o bezwarunkowym imperatywie Jezusa Chrystusa: „Jeżeli kto chce za mną iść, niech zaprzy samego siebie, a weźmie krzyż swój na każdy dzień i niech idzie za mną“. (Luc. 9, 23.). Zapominają o upomnieniach św. Piotra Apostoła: „Bo i Chrystus ucierpiał za nas, zostawiając nam przykład, abyście naśladowali tropy jego“. (Petr. 1, 22).

A jeżeli każdy członek Kościoła katolickiego obowiązany jest do ofiary, to tem więcej obowiązany jest do niej kapłan. Już sama nazwa „świaszczennyk“ (poświęcony), oznacza to samo, co przeznaczenie na ofiarę. Chrystus powiedział w swojej testamentalnej modlitwie w czasie Wieczerzy, że on poświęca siebie, ażeby i Apostołowie byli poświęceni, t. j. ofiaruje siebie, ażeby i Apostołowie ponieśli z siebie ofiarę: „A za nie ja poświęcam samego siebie, aby i oni byli poświęceni w prawdzie“. (Joh. 17, 19,). Stąd też słowo „poświęcenie“ siebie, „poświęcać się“, znaczy tyle, co ofiara z siebie i ofiarować.

Problem ofiary w naszem duchowieństwie i społeczeństwie.

Kler żonaty przyciemnił i poniekąd zwichnął prawdziwe zrozumienie powołania i przeznaczenia kapłaństwa, którego zadaniem jest nietylko rozbudzać i podtrzymywać życie duchowe, ale jest ono również wyrazem i urzeczywistnieniem ofiary. Jak już poprzednio powiedziano, u nas traktuje się kapłaństwo ze strony materjalnej, cielesnej, doczesnej i jako wygodny stan. Kandydat stanu duchownego, wstępujący do seminarjum, nie zdaje sobie sprawy z ważności i odpowiedzialności urzędu kapłańskiego. W seminarjum dostaje bezpłatnie mieszkanie, światło, opał, wikt, obsługę, słowem całe utrzymanie. Po ukończeniu seminarjum ma ponadto dostać jeszcze żonę, posag i całą wyprawę, a potem posadę duszpasterską, która wedle jego mnie-

mania nie wymaga większego trudu, jak tylko odprawić w niedzielę i święta nabożeństwo, a w dnie powszednie spełniać funkcje parafjalne, oczywiście za datki w naturze i dochody w pieniądzach. Rzeczywiście idealny stan! Tak, ale w rozumieniu świata tego, w rozumieniu czysto ludzkiem i ziemskiem, a nie w rozumieniu i nie wedle wymagań Chrystusa i Jego Kościoła.

Przygotowanie w seminarjum duchownem do stanu duchownego, chociażby jak było idealne, zostaje u takiego alumna bez wpływu i pożytku, gdyż alumn jest zajęty innemi marzeniami. Ćwiczenia duchowne wykonuje z konieczności, mechanicznie, powierzchownie, nie bierze na serjo, nie przejmuje się niemi nawskroś duszy. Bo gdyby rzeczywiście wniknął w ich treść i przejął się niemi, musiałby porzucić wszelką myśl o żeniaczce, albo opuścić seminarjum. Niejeden alumn łudzi siebie i myśli, że można pogodzić stan duchowny ze stanem małżeńskim. Ale kiedy ożeni się, wchodzi w inne seminarjum, w którem z reguły zawiesza na kołku to, czego nauczył się w seminarjum duchownem.

A co dopiero mówić, jeśli w seminarjum duchownem jest upadek? Takie seminarjum, to nie instytucja duchowna, ale ruina duchowa. W takiem seminarjum niema ani śladu kierunku duchownego, a wszelkie praktyki religijne, chociażby najprymitywniejsze i najkonieczniejsze, to chyba drwiny z wszelkiego życia duchowego. Nie chcę tu rozwodzić się o tych różnych zwyczajach i praktykach. Może za blizkie czasy. Niechaj historja kiedyś rozsądzi. Boleśnie mi o tem teraz pisać. W takiem seminarjum ja sam byłem. Przykre, gorżkie i smutne wspomnienia pozostały u mnie dotychczas. Za wielką łaskę Bożą musi uważać ów alumn, jeżeli w podobnej atmosferze nie osłabił wiary, nie przytłumił sumienia. A takie seminarjum i to generalne dla wszystkich djecezji tut. prowincji kościelnej, istniało więcej, aniżeli przez jedno stulecie. Silnie odczułem ten stan seminarjum, kiedy r. 1902 powołano mię do tego seminarjum

na rektora i kiedy zacząłem łamać wszystkie owe „tradycje“ i „praktyki“, w niem panujące.

Z seminarjum dobrego, czy zepsutego wychodzi alumn nie jako przygotowany i uzdolniony kandydat stanu duchownego, bo nie prosi nawet o święcenie zaraz po ukończeniu studjów — ale wychodzi przedewszystkiem jako kandydat do ożenki. Jeśli nie jest zaręczony, to dłuższy czas jeszcze pauzuje i szuka żony. Dopiero po ożenieniu staje się gotowym kandydatem do święceń kapłańskich.

Taki kandydat marzy wprawdzie czasem o „poświęceniu się“ dla narodu, ale to tylko mrzonka, a właściwie farsa. Przychodzi bowiem później życie twarde, ciężkie, mozolne, pełne trosk i kłopotów rodzinnych. Wtenczas głowa jego jest zaprzątnięta sprawami materjalnemi, a głównie jego starania skierowane do tego, ażeby otrzymać intratną parafję. Im większe wymagania rodzinne, tem usilniej stara się z jednej parafji przeprowadzić się na inną, lepszą, bo pierwsza mu nie wystarcza, a bieda przypieka. Wprawdzie taki ksiądz nieraz gorżko cierpi, niesie ciężki krzyż, ale czy można nazwać to ofiarą w pełnem tego słowa znaczeniu, t. j. ofiarą, przyjętą z wiary nadprzyrodzonej, ofiarą z czystej miłości do Boga? A przy tem wszystkiem staje drugie, jeszcze cięższe pytanie, a mianowicie, czy może on spełniać należycie obowiązki urzędu kapłańskiego, nawet przy swej najlepszej chęci?

Znalazł się wprawdzie za dobrych czasów jeden czy drugi obrotny i sprytny ksiądz, który umiał dobrze pochodzić koło „interesu“. Postarał się o dobrą parafję. był niezłym finansistą, umiał dobrze strzyc owieczki duchowne, synowie kształcili się w wysokich szkołach, a córki powychodziły za mąż, jedna za adwokata, druga za lekarza, czy za jakiego innego, dobrze sytuowanego urzędnika, mniejsza o to, że za liberała albo radykała, ale w każdym razie dobra partja. Krótko mówiąc, dobrze wiodło się. Ale o jego rodzinie duchowej lepiej wtedy było nie mówć. Ciemność dusz, spustoszenie moralne i ogólny upadek w całej parafji.

Ksiądz taki — to pasożyt, a nie ofiara dla Boga. Zatruł on całą parafję, a po śmierci jego ruina moralna i materjalna.

Niech wszyscy zastanowią się nad tymi faktami, a zaświadczam, że są prawdzie! Czy możliwe jest, ażeby fakty takie, które stuleciami trwały, nie odbiły się ciężko i strasznie na naszym Kościele i sile moralnej naszego narodu? I czy nie wymaga to ofiary ekspjacyjnej, t. zn. całego szeregu pokoleń innego, duchem wyższego duchowieństwa, zanim zrównamy się z moralnym poziomem innych narodów katolickich?!

Jest u nas rażącem zjawiskiem, że niema poczucia dobra publicznego. Troską i staraniem jest, ażeby tobie było dobrze, a co będzie dla innych, to obojętne. Kiedy ksiądz przenosi się na inną parafję, to zostawia nieraz formalną pustynię. Zabudowania zniszczone, a gdy pozostanie jaki sad owocowy, to administrator zwykle do reszty wyrąbie go na opał. Gdy ksiądz umrze, wtenczas jego rodzina wszystko porozchwytuje i wszystko gdzieś niknie. Nie pozostaje nic z jego dorobku dla następców i dla dobra ogólnego. Można po części powiedzieć, że nieraz po księdzu pozostają ślady wandalizmu. W kościele ubogo. Kiedy ktoś z parafjan kupi dla kościoła jaki ornat, albo inny parament, to jeszcze się to świeci, w przeciwnym zaś razie wszystko brudne, podarte, połatane i zatłuszczone! Dlaczegoż sami duchowni nie poczuwają się do obowiązku dbać bodaj częściowo własnym kosztem o ozdobę kościoła i o to wszystko, co jest potrzebne do nabożeństwa? Przecież tyle dobra i pieniędzy kościelnych idzie na utrzymanie rodzin księży! Nie dziw więc, że Chrystus nie błogosławi owym rodzinom i dlatego cały ich dorobek niknie, albo zwraca się przeciwko nim, a wdowy po księżach biadują ciężko, schodzą nieraz na kij żebraczy. Niechże nikt nie dziwi się, że lud prosty, który od stuleci patrzy na ten materjalizm duchowieństwa — który może u księdza przełamać chyba tylko osobista, albo polityczna ambicja — ułożył przysłowie, którego nie chcę tutaj podawać. Chociaż w wielkiej mierze

przysłowie to przykre, świadczy jednak o bystrej obserwacji ludu prostego. Rozumie się, że nie mam zamiaru poniżyć tem szlachetnych księży między duchowieństwem.

Oprócz tego zwracam specjalną uwagę na następujący, bardzo pouczający fakt: kiedy wziąć do ręki wykaz ofiar różnych i przeróżnych narodowych instytucji ukraińskich, w kraju i na emigracji, to wszystkie owe wykazy aż pstre są od imion ofiarodawców-księży. A między ich ofiarami są nawet wielkie, kilkudziesięcio-tysięczne sumy w dobrej walucie. Jednak za przeciąg sześćdziesięciu kilku lat mego życia znam tylko dwa wypadki ofiar grecko-katolickich księży na instytucje kościelne. I nie dziw, że Bóg nie błogosławi takim księżom, takiemu duchowieństwu, takiemu narodowi, który wydaje takie duchowieństwo, nie błogosławi takim instytucjom, na które idą nawet bardzo wielkie ofiary. Bo i te ofiary, dawane wyłącznie na wspomniane świeckie instytucje, mimowoli wywołują wrażenie, że pochodzą z motywów świata tego, z pragnienia sławy i rozgłosu, słowem, z pobudek egoistycznych.

Ofiara i dobro publiczne.

Z braku pojmowania i wykonywania prawdziwej ofiary przez księży pochodzi również ów ogólny egoizm w życiu narodowem, prawie we wszystkich jego dziedzinach. Każdy troszczy się tylko o siebie, na siebie ogląda się, jednem słowem, u nas „chapatnia". Dlatego też z ciężkim trudem wzniesione u nas instytucje upadają i rozpadają się. Nie widać trwałości i rozwoju.

Stąd też brak u nas realnej i wytrwałej pracy, brak ofiarności i poświęcenia dla dobra ogólnego. Pełno u nas sentymentów, pełno fantazji, częste zrywy chwilowe, które, jak ogień słomiany, prędko wybuchają, ale też i prędko gasną, a potem następuje zniechęcenie, upadek i przygnębienie, a w końcu narzekania na wszystkich i na wszystko.

I całkiem naturalnie. Bo całkiem inaczej pali się zapał wysokiej i prawdziwej ofiary wśród takich społeczeństw, gdzie ofiara owa oparta na myśli o rzeczach najwyższych i wieczystych, a całkiem inaczej wśród społeczeństwa, gdzie nawet rzeczy najwyższych używa się i nadużywa do spraw zwykłych.

Kościół katolicki, powodowany życiem Chrystusa, nakazuje miłować naród swój. On też na całym świecie miłość ową praktykuje. Ale nakazuje on również robić to w sposób rozumny, z wypełnianiem ofiary świętej.

U nas tymczasem tylko fantazja przeważa, a niema rozumowania realnego i ofiary pozytywnej. W oczach naszych, w fantazji naszej, Ukraina — to coś tak wielkiego i koniecznego, iż wszystkie państwa powinny o nią dbać i dać nam gotowe państwo ukraińskie. A ponieważ nam jego nie dają, to też wciąż narzekamy: krzywda, krzywda nam! Nie! Naród i państwo tworzy się i kulturalnie się dźwiga nie fantazjami, nie sentymentami, nie nadziejami próżnemi, ale bezustannem, realnem, wytrwałem i pełnem ofiary poświęceniem jednostek i całego narodu.

Poznanie jednak, zrozumienie, ocenę i urzeczywistnianie idei ofiary powinno dać duchowieństwo. Jednakowoż duchowieństwo żonate nie może tego w zupełności dokonać, bo jest ono podzielone między żoną a Chrystusem i Kościołem, nie może więc poświęcić siebie niepodzielnie na ofiarę Bogu.

Duchowieństwo żonate i stan zakonny.

Żonate duchowieństwo nietylko nie wyrobiło i nie dało naszemu narodowi zrozumienia i oceny idei ofiary, ale naodwrót, zwichnęło tę ideę i poniżyło ją do zwyczajnego egoizmu. Ogół duchowieństwa, biorąc stan duchowny ze strony cielesnej, jako stan, materjalnie intratny, a co do pracy lekki i wygodny, nietylko zaciemnił i zwichnął ideę ofiary wogóle, ale specjalnie ideę ofiary najwyższej, ofiary

całopalnej, na jaką może tylko zdobyć się człowiek na ziemi, a którą jest stan zakonny. Stan zakonny może tylko tam i wtedy rosnąć i rozwijać się, gdzie i kiedy jest do tego odpowiednia atmosfera w społeczeństwie. Atmosferę ową wytwarza i podtrzymuje kler. Żonaty jednakowoż kler nie może tego zadania w pełni wykonać. Będąc obcym i uprzedzonym, a w części wrogim dla stanu zakonnego, nietylko nie wytwarza owej atmosfery, ale naodwrót, z reguły jest przeciwny przejawom powołań do tego stanu i często je zabija jeszcze w zarodku.

Jeden z naszych akademików, który studjuje w Belgji na uniwersytecie katolickim, prowadzonym przez zakonników katolickich, pisał do ojca swego, że jeździł z zakonnikiem, rektorem owego uniwersytetu, do jego ojca, bogatego przemysłowca. Pisze on, że widział tam wspaniały dom, bardzo ładne urządzenie i wszelkie dostatki, a w końcu wyraził swoje zdziwienie, że tak majętny ojciec pozwolił synowi swemu wstąpić do klasztoru i że syn tak majętnych rodziców zechciał poświęcić się stanowi zakonnemu.

To charakteryzuje wiernie życie duchowe rodzin katolickich innych narodów. A u nas? Pewien, nie świecki człowiek, ale ksiądz, powiedział, że wolałby zobaczyć córkę swoją raczej na katafalku, aniżeli w klasztorze, a drugi powiedział do zakonnicy, która miała przepiękny głos, że szkoda jej do klasztoru, gdyby bowiem wstąpiła była do teatru, zrobiłaby tam wielką karjerę. To straszne, ale prawdziwe. Nie można więc dziwić się, że u nas wogóle brak licznych i silnych powołań do stanu zakonnego i że ten stan zakonny, który u nas istnieje, nie może w takiej atmosferze, jak należy, rozwijać się i rozrosnąć.

Znaczenie stanu zakonnego w życiu narodu.

Na wielkich obszarach pracy i działalności Kościoła katolickiego między wszystkimi narodami kuli ziemskiej szczytem jego mistycznej i organizacyjnej siły, która prze-

znaczona jest na wychowanie narodów pod względem duchowym, jest stan zakonny. Jest to organizacja, która stanowi najpotężniejszą gwardę św. Stolicy Apostolskiej, gwardję, pełną samozaparcia się i samoofiarności w imię Boże, Chrystusowe. Organizacja ta stanowi również dla wszystkich narodów najwyższe, najczystsze, najszlachetniejsze i najbardziej w plony duchowe obfite pole dla ćwiczeń w zdobywaniu wszystkiego najwyższego, co tylko ludzie na ziemi w znaczeniu duchowem zdobyć mogą. I dlatego odpowiednio postawione i zorganizowane zakony są miernikiem zdrowia i siły wszystkich narodów.

Jak u nas postawiona ta sprawa? Najwyższy i powszechny ideał naszych młodych mężczyzn — to dostać ładną i bogatą żonę, a najwyższy i powszechny ideał naszych młodych dziewcząt — to wyjść zamąż za męża na stanowisku. Ideał ten u jednych i drugich wkorzeniony jest tak głęboko i tak powszechnie, że nawet w najcięższe czasy kryzysu ekonomicznego i bezrobocia, kiedy dziesiątki tysięcy naszej inteligentnej młodzieży nietylko nie mają żadnego stanowiska, mimo ukończonych studjów, ale nie mają nawet nadziei na stanowisko i żyją nieraz w nędzy przy ubogich rodzicach, materjalnie zniszczonych — to jednak duch i myśl naszej młodzieży obu płci nie zwraca się swym lotem i kierunkiem ku temu wysokiemu i szerokiemu polu pracy, gdzie od czasów Chrystusa nigdy nie było i niema bezrobocia i gdzie można zdobyć najwyższe zasługi dla siebie i dla swego narodu. I to może jest najsmutniejszy widok, jaki przedstawia się w tym czasie na naszej nieszczęsnej ziemi, widok, jak więdnie kwiat naszego narodu, więdnie bezcelowo, zrujnowany materjalnie i moralnie i nawet na myśl mu nie przychodzi podnieść się do tego miejsca, gdzie z żywego źródła bije czysta, uzdrawiająca woda, która może ożywić i ten kwiat naszego narodu i cały nasz naród.

I to dzieje się przed naszymi oczyma w chwili, kiedy nasz św. Kościół unicki ma przed sobą wielką misję, która

potrzebuje wielu tysięcy młodych ludzi obojga płci do pracy szlachetnej w winnicy Chrystusowej, tak za blizkim kordonem sokalskim, jak też da Bóg — może nawet wkrótce na wielkich przestrzeniach Wielkiej Ukrainy i dalej w Azji, gdzie wszędzie jest rozprószony nasz naród bez liczby i rachunku!

Ale cóż mówić o tych dalekich, a właściwie bliskich perspektywach, kiedy nawet tutaj, u siebie, w naszej bliskiej ojczyźnie, nie możemy pokryć zapotrzebowania Kościoła.

Równocześnie słyszymy ze wszystkich stron, że niema do czego rąk przyłożyć. Równocześnie zaś słyszymy zarzuty przeciw sprawiedliwości Bożej w słowach — ot sąsiadom naszym o wiele lepiej powodzi się i niewiadomo za co. Rzućmy dlatego okiem przez chwilę na zorganizowaną samoofiarę młodzieży narodu sąsiedzkiego. Jaką wielką ilość Zakonów obojga płci widać nietylko na ich własnej ziemi, ale też i daleko poza nią. Przynoszą siebie w ofierze Bogu i na służbę narodu ze wszystkich stanów polskiego społeczeństwa nawet najlepiej wychowani i wykształceni z najbogatszych rodzin, przed którymi stoi otwarta najwyższa światowa karjera. Niedawno temu miałem sposobność rozmawiać z jednym z książąt polskich i jego żoną, która pochodzi z najwyższej arystokracji niemieckiej, a którzy w rozmowie powiedzieli mi: „Wracamy z obłóczyn naszej córki, którą oddaliśmy do klasztoru ŚŚ. Niepokalanek. Było to nasze dziecko najmilsze. Odczuwamy pustkę w domu. Niech Bóg przyjmie naszą ofiarę".

I takich faktów między nimi więcej. I odbywają się one cicho, bez rozgłosu, bez reklamy. A u nas rozlegają się krzyki rodziców i to nawet duchownych, ze strony jednego, że wolałby widzieć córkę swoją raczej na katafalku, aniżeli w klasztorze, a ze strony drugiego — współczucie z ust i serca kapłańskiego nad zakonnicą, która, mając przepiękny głos, wstąpiła do klasztoru, a nie do teatru, gdzie byłaby zrobiła wielką karjerę i zarobiła dużo pieniędzy. Po-

równajmy tę psychikę, jedną i drugą, porównajmy oba duchowe nastawienia, a wtenczas zobaczymy, komu należy się moralna i materjalna siła, a komu moralny i materjalny upadek. Pójdą więc szeregi polskie z modlitwą na ustach i z samoofiarą życia swego dla Boga, dla Kościoła i narodu swego, pójdą walczyć o najgłębsze i najsilniejsze zwycięstwo, jakie jest tylko możliwe między ludźmi i narodami na świecie. A my, odwróceni od Boga i św. Kościoła, zapatrzeni w miraż używania ziemskiego, w miejsce którego osiągniemy moralną i materjalną nędzę — będziemy z nienawiścią w duszy i ze zgrzytem zębów patrzeć na to, jak Bóg błogosławi tym, którzy warci są błogosławieństwa i będziemy narzekać na swój los gorżki, aż dopóki do samego korzenia nie zgnije i nie strupieszeje ten pień, który rodzi takich, jak my. I nic nie pomogą nam nasze „chlubne“ i „tradycyjne“ formy, pełne martwoty.

Problem autorytetu.

Kościół katolicki — to najwyższy autorytet na ziemi. Ma on wyciśniętą na sobie pieczęć autorytetu Bożego. Ten autorytet swój zachował, zachowuje i zachowa aż do końca świata. Na to ma on poręką swego Założyciela, Syna Bożego. On jednak nietylko sam posiada najwyższy autorytet, ale jest również obroną wszelkiego prawdziwego i prawnego autorytetu ludzkiego na ziemi. A kto jest nierozerwalnie złączony z Kościołem, kto żyje jego życiem, ten potrafi ocenić ważność i znaczenie jego autorytetu i podporządkować się mu, a zarazem potrafi zrozumieć ważność i konieczność wszelkiego innego autorytetu prawnego, jego bronić i jemu się podporządkować.

Kler żonaty, podzielony między żoną a Chrystusem i Jego Kościołem, nie może wytworzyć i zachować prawdziwego autorytetu, ani sam też nie może go posiadać w należytym stopniu. Kapłan siłą swego powołania i stanowiska nie może zaliczać się do żadnego z istniejących sta-

nów w społeczeństwie, bo on ponad wszystkimi stanami, on jest dla wszystkich stanów. Tymczasem ksiądz żonaty mimowoli musi zaliczać się do pewnego stanu świeckiego, z którym jest związany dzięki swej rodzinie i musi przystosowywać się do jego życiowych zwyczajów i potrzeb. On nie wybija się ponad wszystkich, ażeby być autorytetem dla wszystkich, ale jest jednym z tych, do których się zalicza. Jego wysokie stanowisko i urząd tracą aureolę i powszednieją. Nawet w oczach prostego ludu nie ma takiego znaczenia, jakie powinien mieć, bo „jegomość ma tak samo żonę i dzieci, jak my“ — myśli i mówi prosty lud.

Żonaty ksiądz zwykle nawet we własnej rodzinie nie posiada pełnego autorytetu, jaki mu się należy, jako głowie rodziny. Jest on zaprzągnięty do woza rodzinnego i zdaje mu się, że żyje i pracuje tylko na to, ażeby utrzymać rodzinę, tak długo, dopóki nie padnie pod ciężarem pracy i mozołów. To może najważniejszy motyw jego autorytetu w oczach rodziny. Zresztą, nie ma on nawet pełnego i rozstrzygającego głosu, gdyż przegłosowują go żona, synowie, córki, a czasem i wnuki. Żonaty ksiądz nie posiada nieraz własnego pokoju, przeznaczonego wyłącznie dla niego, gdzie mógłby swobodnie modlić się, czytać i studjować. Całe bowiem mieszkanie zajmuje rodzina, a on, kapłan, mieszka, jak to się mówi, „kątem“ w domu parafjalnym.

A jaki autorytet żonatego księdza w jego rodzinie, taki sam w parafji i w całem społeczeństwie. Bojaźliwość, rezerwa, kompromisowość, nieuzasadniona ustępliwość — to zwykłe cechy stanowiska żonatego kleru w parafji i w społeczeństwie. Odbija się to również na jego działalności. Brak mu szerszej orjentacji, brak energji, w następstwie czego występuje upadek ducha. Nawet, gdy daje inicjatywę do jakiejś akcji lub instytucji, to zwyczajnie nie na polu kościelnem, ale świeckiem, a wpływ i kierownictwo, jakie ma z początku w swych rękach, przechodzi potem do rąk świeckich czynników, nawet wrogich Kościołowi i religji, jako też i samemu duchowieństwu.

Nie mówię, że kler ma wszystko ująć w swe ręce i rozkazywać we wszystkich sprawach, jednakowoż tego zadaniem jest postarać się o to, ażeby wpływ i autorytet duchowieństwa miał znaczenie i poszanowanie. Tymczasem ani sam kler nie ma należytego autorytetu, ani też nie jest zdolny do należytego podniesienia i zachowania prawnego i słusznego autorytetu w Kościele i narodzie. Naodwrót, można powiedzieć, że kler sam przyczynia się do podkopania autorytetu i to tak swego, jak też i Hierarchji. Księża bowiem, zamiast zachować solidarność wśród kleru, swemi plotkami i odosobnieniem się podkopują raczej powagę stanu duchownego. Co zaś tyczy się władzy kościelnej, to niema tutaj ścisłego zjednoczenia, szacunku i pietyzmu, ale jest za to oziębłość, przepaść, a nawet wypadki najgorszego rodzaju napaści i intryg. Przecież napaści na Św. Stolicę Apostolską i na Biskupów — nie odbywają się bez przeważającego udziału ogółu społeczeństwa, a jeśli już nie udział, to przynajmniej przyczyna i źródło tego leży po stronie duchowieństwa. Jest jakaś zawzięta i złośliwa radość u ogółu duchowieństwa, kiedy prasa wroga atakuje i błotem obrzuca Biskupa. I z tego powodu autorytet Kościoła maleje.

Tak to więc w wielkiej, jeżeli nie w przeważającej części sami księża spowodowali upadek swego autorytetu i stali się wiernymi służalcami świeckich, nawet liberalnych czynników, a następnie podkopali autorytet Kościoła oraz zaufanie i pietyzm do niego. Wystarczy, gdy demagogiczna prasa napisze, że jakieś czasopismo jest biskupie, by było owiane niechęcią i uprzedzeniem, by stało się niepopularne. Żeby nie wiedzieć jak Biskup polecał, przedstawiał i dowodził potrzebę podtrzymywania, czytania i rozpowszechniania prasy katolickiej, to głos jego pozostanie głosem wołającego na puszczy, co więcej, nawet ogół kleru żonatego będzie raczej czytać i prenumerować prasę liberalną, aniżeli katolicką.

W parze z podkopywaniem autorytetu Kościoła i kle-

ru idzie podkopywanie wszelkiego słusznego i prawnego autorytetu w całem społeczeństwie. Z tej też przyczyny powstaje chaos i anarchja, jak to wykazano w pierwszej części. Podnoszą się różne demagogiczne, fałszywe autorytety, które zwalczają nietylko Kościół, ale zwracają się także przeciw klerowi, a naród obałamucony idzie ślepo za ich przewodem. Wszystkie te niedomagania mają źródło swoje i przyczynę w stanowisku i zachowaniu się duchowieństwa.

Czy mają więc księża rację i prawo narzekać, że w dzisiejszych, niespokojnych czasach naród od nich się odwraca, nie słucha ich i przeciwko nim się buntuje? Das ist der Fluch der bösen Tat!

Obowiązek kleru do stanu bezżennego.

Ktoś może zarzucić, że jeśli kler żonaty jest podzielony między żoną a Chrystusem i Jego Kościołem, to wobec tego i świecki człowiek nie powinien wstępować w stan małżeński, bo wówczas i on będzie podzielony. Na zarzut ten odpowiadam: Świeckie osoby nie są obowiązane do bezżenności, chyba, że Chrystus wyraźnie woła kogoś do tego doskonałego stanu. Dla nich stan bezżenny jest tylko radą ewangeliczną, a dla księdza obowiązkiem, jak to widzimy z praktyki Zachodniego Kościoła katolickiego, który, opierając się na tradycji od czasów Apostolskich, uważa za swój obowiązek wymagać prawnie od kandydatów stanu duchownego bezżeństwa. Jeżeli niema u nas dotychczas wszędzie tej praktyki i prawa, winę tego ponoszą Biskupi, jak to powiedział mi jeden z naszych zakonników, wyrażając przytem zdumienie, że Biskupi, stojąc wyżej i będąc w ścisłym kontakcie z Kościołem katolickim i św. Stolicą Apostolską, przez przeciąg stuleci nie odczuwali tej potrzeby, albo nie mieli odwagi wyraźnie i otwarcie sprawę tę ogłosić i ją urzeczywistnić.

Następnie należy wziąć pod uwagę, że osoby świeckie

mają spełniać obowiązki tylko ojcostwa przyrodzonego, ojcostwa krwi, a nie również i ojcostwa duchownego, jak to się rzecz ma u kapłana, który, zrzekając się ojcostwa krwi, ma w całości spełniać obowiązki ojcostwa duchownego wobec swych dzieci duchownych i uzupełniać im wszystkie owe niedomagania duchowne, jakie są złączone z obowiązkami ojcostwa krwi u ludzi świeckich. I dlatego właśnie, że kapłan spełnia obowiązki ojcostwa duchownego, nazywa się on „ojcem duchownym", a stan kapłański nazywa się również „stanem duchownym".

Przy tej sposobności podkreślam jeszcze raz, że w sprawie kleru żonatego nie biorę pod uwagę pojedynczych osób księży żonatych, ale stan żonaty kleru, jako taki i twierdzę, że stan kleru żonatego, mimo cnotliwych i pracowitych jednostek, chociażby jak licznych, zawsze w ogólnym wyniku okazuje bilans ujemny, o czem świadczy historja naszego Kościoła i narodu naszego. Naodwrót, stan kleru bezżennego, mimo upadków jednostek, a takie trafiają się i w małżeńskim stanie wogóle, a nawet w stanie małżeńskim księży, bo małżeństwo nie jest jeszcze całkowitem zabezpieczeniem wstrzemięźliwości—mimo więc tych upadków jednostek, stan bezżennych księży zawsze wykazuje końcowy bilans dodatni, jak to widzimy w historji Zachodniego Kościoła katolickiego i narodów katolickich, u których kler jest bezżenny.

Główne źródło wszystkich problemów.

Domyślam się, jakie zdumienie wywoła fakt, że począwszy pisać o pozytywnej, konstruktywnej i konserwatywnej pracy, tak długo zastanawiam się nad stanem kleru żonatego. Przyczyna prosta. Życiowy bowiem rozwój, siła i kultura narodu, bez względu na to, czy ma on swoje państwo, czy nie, zależy od tego duchowego życia i od idei, od pojmowania i urzeczywistniania ofiary, od zachowania autorytetu i od ścisłej łączności z Kościołem katolickim, któ-

ry jest źródłem wyżej wyliczonych spraw. Do wykonania i urzeczywistnienia wszystkich owych spraw jest powołany i obowiązany przedewszystkiem kler. Do Apostołów i uczniów, a zatem do Biskupów i księży, powiedział Chrystus: „Wy jesteście solą ziemi“ (Math. 5, 13). „Wy jesteście światłość świata“ (Math. 5, 14). Rzeczą więc kleru jest pilnować i zachowywać wszystkie wiecznie trwające i niezłomne zasady i pryncypja wiary i moralności, wszystkie pożyteczne i konieczne wartości, na których opiera się pozytywny konserwatyzm. Kler ma przyświecać wśród zaćmienia duchowego i normować prawdziwy rozwój i postęp życiowy.

Tego wszystkiego kler żonaty nie spełnił, jak należy, bo nie mógł i nie może tego ani sam w całości spełnić, ani też w całości narodowi udzielić.

I w tem tkwi pierwsza i najgłówniejsza przyczyna, dlaczego u nas konserwatyzm jest krótkowzroczny, egoistyczny i negatywny i zamiast postępu — upadek. Stąd też pochodzi, że konserwujemy, zachowujemy i zawzięcie bronimy naszych szkodliwych tradycji, naszych czysto ludzkich zasad, a lekceważymy, a nawet negujemy sprawy wysokie, trwałe, konieczne i bardzo pożyteczne. Stworzyliśmy, jeżeli nie wydmę, to rozluźnienie, zamiast ścisłej łączności i całkowitego zjednoczenia z Kościołem katolickim. W ślad za tem daliśmy pierwszeństwo materjalizmowi i wymaganiom ciała przed koniecznym rozwojem życia duchowego i idei. Daliśmy się omamić sentymentami, fantazjami i wszelkimi wymysłami, a zlekceważyliśmy i lekceważymy realną i pozytywną pracę i ofiarę. Wybraliśmy raczej anarchję, aniżeli prawdziwy autorytet. Krótko mówiąc, postawiliśmy prawdę swoją, ludzką, ponad nadprzyrodzoną prawdę Bożą.

U nas zagnieździł się i ogarnął nas fantom wschodni, który zrodził w Kościele naszym stan kleru żonatego. Dlatego fantom ów z takim uporem broni tego stanu, z dru-

giej zaś strony kler żonaty z takiem zawzięciem trzyma się tego fantomu. Fantom wschodni otoczył żonaty stan kleru takim silnym murem, że zdaje się być nie do zdobycia. Wymyślił takie argumenty, że zdają się być nienaruszalne. Wedle owych to argumentów bez kleru żonatego przyjdzie upadek Kościoła, zniszczenie narodu, a przedewszystkiem latynizacja i upadek obrządku.

Bezżeństwo zaś kleru otoczył podejrzeniami, posądzeniami, obrzucił obelgami, tak dalece, że wspomnienie o niem wywołuje u jednych pogardę, a u drugich lęk i bojaźń.

Owe pozorne i nieuzasadnione argumenty za klerem żonatym i za odrzuceniem bezżeństwa kleru wsiąkły, rzec można, w kość i krew naszego kleru i świeckiej inteligencji. One bowiem dogadzają naszemu zgniłemu konserwatyzmowi i schlebiają naszym krótkowzrocznym poglądom i błędnym przekonaniom. Po linji tych argumentów idą wszystkie dążenia, ażeby, broń Boże, nie wytworzył się wyłom od zasady „odrębności naszego Kościoła", ażeby nie przerwała się tradycja „sławnej przeszłości" naszego narodu.

Duchem tym, atmosferą ową przejęte jest również wyższe duchowieństwo. Wiadomo, że kanonicy odpędzali alumnów od święceń w stanie bezżennym i nakazywali im wprost żenić się, albo też sami starali się ich ożenić. A i z Biskupów, jedni nie odczuwali konieczności mówienia otwarcie o tej sprawie i zrealizowania jej, a inni, chociaż rozumieli i odczuwali ją, nie mieli odwagi wystąpić z nią publicznie, ażeby nie narazić się na osądzenie ze strony kleru i inteligencji świeckiej i ażeby nie stracić całkowicie autorytetu.

Tak więc kler nasz we wszystkich swych stopniach hierarchicznych, zamiast być głównym czynnikiem rozwoju i rozrostu siły życiowej w organiźmie narodu we wszystkich dziedzinach jego życia, nie spełnił, jak należało, tego swego wysokiego zadania. Dlatego tak w kościelnym, jak i społecznym organiźmie wzięła górę skostniała i egoistycz-

na martwota, puste formy, zamiast pełnej i ważkiej treści. Stąd to zatamowanie i zastój siły życiowej. I dlatego organizm jest anemiczny, chory. Z drugiej znowu strony wytworzyła się gorączka, która dochodzi prawie do paroksyzmu duchowego. Bezustanna fluktuacja dążeń i haseł, niby w kalejdoskopie, stan wiecznie płynny, niezdolny do pewnej konkretnej i pozytywnej formy i konsolidacji. Bezustanne wstrząśnienia, jakby w konwulsjach. Niczem wzburzona woda podczas powodzi, która wszystko porywa i niszczy. Narody i państwa, które już przestały istnieć na ziemi, pozostawiły po sobie przynajmniej wspaniałe ruiny twierdz i budowli, które świadczą o ich stopniu kultury i o ich dążeniach życiowych, a z naszej przeszłości nawet ruiny nie pozostały.

Wyjście z ciężkiej sytuacji.

Innego wyjścia z naszego ciężkiego i gorżkiego położenia niema, chyba takie, ażeby cały kler, żonaty i bezżenny, wziął się do odnowienia siebie i narodu. Kler żonaty niech odrzuci od siebie dotychczasowe błędne i „słynne“ tradycje, ziemskie szkodliwe poglądy, zachwycenie „poczynaniami“, które zawsze zostają tylko poczynaniami, a za to niech otwartemi oczyma wglądnie w realną i trwałą prawdę, niech powoduje się zasadami wiary nadprzyrodzonej. Niechaj otwarcie, chociaż z upokorzeniem, przyzna swoje podzielone stanowisko w Kościele katolickim i niech działa, ile tylko w jego mocy. Chrystus zapisze to dodatnio na koncie ich życia, tem bardziej, że księża żonaci w dobrej wierze wstąpili w stan małżeński, bo nie słyszeli i nie byli w pełni uświadomieni o wysokiem, ale również bardzo odpowiedzialnem zadaniu stanu duchownego, chyba, że ktoś świadomie i uparcie poszedł przeciw swemu powołaniu do stanu bezżennego. Bezżenny zaś kler niech zrozumie łaskę swego powołania i niech również w pokorze wszystko działa, co do niego należy, niech przejmie się lękiem, że wszel-

kie zaniedbanie z jego strony zapisze Chrystus na jego koncie, jako ciężki złoczyn, gdyż kapłan bezżenny może wszystko spełnić, co do jego zadań należy.

Następnie, niech złączą się z klerem świeckie osoby dobrej woli ze wszystkich stanów, ażeby w ten sposób stworzyć organizację, w której ludzie dobrej woli mogliby prowadzić pozytywną, realną i konstruktywną pracę. Organizacja ta położyć powinna pierwszą tamę powodzi zniszczenia, pierwszy kamień, w około którego zwolna możnaby gromadzić dalsze kamienie, ażeby wznieść narodową budowlę trwałą, silną i niewzruszoną.

Wszyscy, złączeni w swej organizacji, winni stać na czysto katolickim gruncie i w najściślejszem zjednoczeniu z Kościołem katolickim. Wszelkie uprzedzenia, wszelkie nasze dotychczasowe błędne poglądy w tej sprawie należy odrzucić. Bo uprzedzenie i nieszczerość dla Kościoła katolickiego jest również oddaleniem od samego Jezusa Chrystusa. Z Kościołem katolickim mamy się zżyć, z nim zrosnąć i z nim odczuwać. Kościół katolicki posiada niewyczerpane skarby najwyższych dóbr. Dlatego powinniśmy pełnemi rękoma brać te skarby. Kościół katolicki jest źródłem pełnego i prawdziwego życia i dlatego powinniśmy czerpać i pić pełnemi ustami z owego źródła i tym sposobem odżyć duchowo i nabrać sił do urzeczywistnienia wysokich idei. Tutaj, w Kościele katolickim, mamy nauczyć się, nabrać sił i zapału do niesienia codziennego swego krzyża przez sumienne i ścisłe spełnianie obowiązków swego stanu, przez pozytywną i realną pracę, przez intensywny trud, jak również przez prawdziwe poświęcenie i ofiary dla dobra ogólnego. Tutaj, w Kościele katolickim, mamy zrozumieć i ocenić znaczenie i doniosłość autorytetu, wszelki prawdziwy i słuszny autorytet szanować i bronić, jak również rozpowszechniać i popularyzować znaczenie autorytetu w naszym narodzie. W końcu winniśmy nietylko korzystać z Kościoła katolickiego, ale również stać w obronie jego praw i wszystkich jego dóbr przeciw wrogim zakusom,

jak również pomagać i brać udział w jego dążeniach i działalności i zawsze być gotowymi na jego zew.

Obrona nienaruszalności małżeństwa katolickiego musi być w tej organizacji również jednym z głównych punktów programu. To pierwsza i główna przyrodzona podstawa zdrowego i silnego narodu, to pierwszy warunek jego rozwoju kulturalnego. Bez tego naród, czy państwo, musi utonąć w bagnie moralnego rozkładu. Z nierozerwalnością małżeństwa stoi w ścisłej łączności dobro rodziny, która jest pierwszym zawiązkiem narodu i państwa. Jakie rodziny, taki naród, takie też i państwo. Cnotliwa i świętobliwa rodzina wychowuje młode pokolenie, które jest nadzieją pięknej przyszłości nietylko pojedyńczych rodzin, ale też całej ludzkiej społeczności. Tutaj, w szlachetnej rodzinie, wyrabia się pierwsza, przyrodzona podstawa autorytetu, w myśl wymogów czwartego przykazania dekalogu. Gdzie rodzina w upadku, tam młodzież rośnie dziko, bez poczucia autorytetu, tam dominuje pajdokracja, która jest jątrzącą raną narodu. Jest to też zarazem największą karą, jeśli młodzież lekceważy autorytet starszych, jeśli sama dyktuje. Wtenczas powstaje upadek w narodzie, wtenczas wywraca się ład i porządek, tak konieczny dla prawdziwego postępu. Za grzechy narodu izraelskiego zagroził mu Bóg najcięższą karą, a mianowicie, że odbierze od niego wszystkich poważnych i mądrych mężów, a w ich miejsce postawi młodzieńców książętami, a błazny będą rozkazywać im i że napadać zacznie człowiek na człowieka i na bliźniego swego i że niedorostek rzuci się na starca: „I dam dzieci za książęta ich, a niewieściuchowie panować im będą. A oburzy się lud, mąż na męża i każdy na bliźniego swego: powstanie chłopiec na starca“. (Izajasz, 3, 4-5).

U nas młodzież dała się wplątać w bardzo zgubne sieci, leci sama na oślep w przepaść i na naród swój sprowadza gorżki los. Bardzo smutny horoskop naszej przyszłości. Dlatego też ratować i opamiętywać naszą mło-

dzież — to również główne zadanie wszystkich zjednoczonych w tej organizacji.

Prawo własności jest zastrzeżone i nakazane dekalogiem. Ono nie może być zmienione. Negacja tego prawa prowadzi do skrajnej nędzy materjalnej, jak to widzimy na eksperymentach bolszewickich. Również jednak i nadużycie prawa własności i egoistyczny, lichwiarski kapitalizm wytwarzają z jednej strony kastę pasożytów, z drugiej zaś proletarjat. Zarówno więc lekceważenie prawa własności, jak i jego nadużywanie, niszczy wszelką prywatną inicjatywę, wszelki dorobek ekonomiczny i dobrobyt jednostek, a tem samem całego społeczeństwa. Obrona prawa swojej własności, poszanowania i przestrzegania prawa cudzej własności — to najsilniejsze przedmurze przeciw wszelkiemu materjalistycznemu socjalizmowi i bolszewizmowi, bo w tem tkwi właśnie źródło i przyczyna tej materjalnej nędzy, pod jaką jęczy cała dzisiejsza ludzkość.

Prawo własności, wzięte i pojęte w duchu i świetle Ewangelji, nie ogranicza się wyłącznie do używania go na własną korzyść i wygodę, ale musi brać też pod uwagę potrzeby bliźnich i dobro ogólne. I w tem też bierze początek cała chrześcijańska charytatywna działalność, jak również tworzenie i wspieranie instytucji dla dobra ogólnego. Obok tego wszystkiego nie wolno spuszczać z oczu koniecznych reform ekonomicznych i socjalnych, przeprowadzanych w duchu chrześcijańskiej miłości i sprawiedliwości.

Otóż prawa własności w pojęciu dekalogu i Ewangelji, a zatem charytatywno-społecznej działalności, nie powinno również brakować w programie owej organizacji ludzi, którzy mają za zadanie odnowić nasz naród.

Wszystkie te, powyżej wymienione sprawy, stanowią główną podstawę prawdziwego konserwatyzmu, rozwoju życiowego, prawdziwego postępu i prawdziej kultury narodu. W tem leży całe odrodzenie narodu, W tem mieści się i zdrowy nacjonalizm i prawdziwa miłość swego narodu.

Nie wolno jednak pominąć jeszcze jednej sprawy, ko-

niecznej dla urzeczywistnienia wyżej podanego programu, a mianowicie sprawy prasy katolickiej. Organizacja ta bez niej, to tak, jak wojsko bez oręża. U nas rozpanoszył się formalny bandytyzm prasy liberalnej, radykalnej i ateistycznej, która, niczem huragan, niszczy wszystko i doprowadza do upadku. Prasa owa inspiruje, intryguje, terroryzuje i porywa prawie całe społeczeństwo ukraińskie, które, jakby zahipnotyzowanie, nietylko nie reaguje, ale nawet idzie ślepo za jej przewodem. Za pomocą prasy tej myśli ono, mówi i działa. Ażeby więc można zwalczać ów zgubny wpływ wrogiej prasy i tem samem łatwiej i skuteczniej realizować wyżej podany program, trzeba koniecznie wspierać, rozpowszechniać i propagować prasę katolicką. Sprawa więc prasy katolickiej jest piekącym i koniecznym postulatem tych wszystkich, którzy pragną i chcą przyczynić się do odrodzenia swego narodu.

Stanąwszy na wyżej podanych zasadach, należy całkowicie zerwać z dotychczasowym szowinizmem i rozkładowym nacjonalizmem, również z wszystkimi nacjonalistycznymi i lekkomyślnymi przywódcami, a zabrać się do rozumnej i realnej pracy.

Wśród dzisiejszej ruiny religijnej, oświatowej, ekonomicznej i politycznej odwołuję się do wszystkich, którzy jeszcze nie stracili sumienia i wiary, ażeby odważnie wystąpili przeciw wszystkim gorszycielom dusz w narodzie naszym. Tylko śmiało i odważnie! Nie trzeba lękać się terroru i napastliwego krzyku! Im liczniej i odważniej wystąpimy, tem więcej będą się oni nas bać! W tem bowiem leży nasze zło, że wichrzyciele wtedy odważniej występują, kiedy widzą naszą bierność lub zajęczą bojaźliwość.

Nam trzeba organizacji ludzi, którzyby wszystkie swoje poczynania budowali na trwałych, niezłomnych i cennych zasadach wiary i etyki. Nie Liga Narodów, nie dyplomaci zagraniczni, nie płatni agenci na cudzym żołdzie mają być naszym jedynym ratunkiem, ale Chrystus Zbawiciel, któremu „dana jest wszelka władza na niebie i ziemi"

(Math. 28, 18) i który kieruje losem nietylko pojedynczych ludzi, ale również wszystkich narodów i państw. Nam nie pokładać nadziei w władcach tego świata i w ludziach, bo u nich niema zbawienia. „Nie ufajcie w książętach, w synach człowieczych: w których niemasz zbawienia“ (Ps. 145, 2). Przeklęty bowiem ten człowiek, który pokłada swoją nadzieję wyłącznie na ludziach. „Przeklęty człowiek, który ufa w człowieku“ (Jer. 17, 5). Gdy Chrystus będzie z nami, wówczas da nam ludzi, którzy nam prawdziwie pomogą. Dlatego należy nam wpierw uzyskać pomoc i ratunek u Chrystusa-Zbawiciela. Nawet, gdyby była nam zamknięta wszelka instancja ludzka, to jednak otworem stoi dla nas instancja u Boga.

Kiedy w życiu naszem będziemy urzeczywistniać zasady objawionej wiary i chrześcijańskiej etyki, kiedy będziemy spełniać przykazania Boże i słuchać Kościoła, wówczas wyrobimy w sobie siłę duchową, zdobędziemy walory i wartości duchowe, przed którymi nawet przeciwnik musi mieć respekt i szacunek. Kiedy zaś to osiągniemy, t. j., kiedy wprowadzimy Królestwo Boże w dusze nasze, wtenczas wytworzy się akcja pozytywna na zewnątrz, wtenczas praca nasza będzie owocna w realne i trwałe wyniki, wtenczas będziemy mieć możność wywalczenia lepszego losu dla naszego narodu.

Nam trzeba ludzi, którzyby w swych postanowieniach, jak wogóle w swych poczynaniach, byli stali, konsekwentni i wytrwali tak dalece. ażeby nie potrzebowali zmieniać z dnia na dzień swego frontu, jak to dotychczas u nas się dzieje. A będzie to możliwe tylko wtedy, kiedy cała nasza działalność będzie wychodzić z wiecznie trwałych i niezłomnych zasad wiary i etyki katolickiej. Wtenczas także wytworzy się u nas stały kierunek i skonsolidowanie pozytywnych sił.

Z tego zaś względu, że wszystko znajduje się u nas w chaosie i zamieszaniu, że niema u nas ścisłego zróżnicowania prawych i lewych, dlatego to zadaniem naszem mu-

si być wyszukiwanie ludzi dobrej woli, skupianie ich, uświadamianie i wciąganie do wspólnej pracy. Im więcej takich ludzi zorganizuje się trwale, tem prędzej oczyści się u nas atmosfera, a demagogja straci wpływ i siłę. Ludzi dobrej woli jest dość, są oni tylko zastraszeni i zterroryzowani, stoją zdala i boją się pojedyńczo występować, ale zorganizowani nabiorą odwagi i ochoty do walki przeciw czynnikom destruktywnym. Musi się koniecznie oddzielić śwatło od ciemności, ziarno od plewy, bo gdzie chaos i anarchja, tam wyjścia i ratunku niema.

Sprawy polityczne.

Ażeby nie powtarzać się, przypominam mój list pasterski o politycznem położeniu narodu ukraińskiego w państwie polskiem. Treść listu swego w zupełności podtrzymuję i niczego nie odwołuję, bo w dzisiejszych warunkach innego politycznego wyjścia niema. Tutaj pragnę podkreślić to, czego nasi nacojnaliści-patrjoci absolutnie nadużywają do swej agitacji przeciwko mnie, cytując niektóre ustępy z listu mego nie w pełnej treści. Np. mówią, że jestem nietylko za lojalnością wobec państwa polskiego, ale również za staraniem się o wzmocnienie tego państwa, a nie przytaczają dalszych mych słów, a mianowicie, że należy się starać, ażeby państwo b y ł o s p r a w i e d l i w e, i to jako conditio sine qua non, a to w tym celu, ażeby naród ukraiński w państwie tem, jako sprawiedliwem, mógł kulturalnie rozwijać się, wzmacniać i przygotować siebie, by w pewnych, pomyślnych warunkach konjunktury politycznej i w pewnej chwili historycznej mógł również osiągnąć swoją państwową suwerenność. A jest to jedyne wyjście, bez względu na to, czy bylibyśmy w polskiem, czy w jakiemkolwiek innem państwie. Nietylko polityk, ale żaden rozumny człowiek nie może wskazać innego wyjścia dla nas, zwyciężonych i poddanych państwu polskiemu, jak to, które ja wskazałem.

Oprócz tego pragnę jeszcze podkreślić, że nie powinniśmy zrażać się i wpadać w przygnębienie wskutek naszego opłakanego położenia. Nawet jako zwyciężeni, zachowajmy naszą godność. Zwykle, gdy sprawa idzie gładko, nadymamy się, udajemy odważnych bohaterów, ale, gdy przyjdzie cierpieć, uginamy się i płaczemy. W cierpieniu należy hartować dusze. Prawdziwe bohaterstwo i siła ducha okazuje się w cierpieniu. Paździerze trzeszczą w ogniu, spalają się i pozostaje tylko popiół, ale złoto w ogniu milczy i wychodzi jako oczyszczone złoto [1]).

Ażeby w naszem opłakanem położeniu nie tracić ducha i nie dać się złamać, musimy zrozumieć i mieć na uwadze, że taki los przyszedł na nas z naszej własnej winy. Przegraliśmy wojnę i nie zbudowaliśmy swego państwa wskutek własnej nieudolności, następnie zaś nasi politycy i patrjoci, w swej niezrozumiałej opozycji i krótkowzroczności, stracili wszystko, co mogli jeszcze uzyskać. „Ustawicznemi prowokacjami i nietaktem, postępowaniem, które bierze rozbrat z najprymitywniejszemi wymaganiami zdrowego rozsądku, jadem prasy paralitycznej doprowadzili do tego, że Europa (tak jest, Europa!) zobaczyła konieczność położenia kresu dzikiemu tańcowi i konieczność odebrania tem samem ostatniej prawnej podstawy naszej teoretycznej niepodległości, która to podstawa mogła kiedyś w przyszłości być dla nas narzędziem ratunku. Teraz przepadło. Nas oddano formalnie, definitywnie i bez zastrzeżeń Polsce“..., która z nami „postępuje tak, jak każde inne państwo postąpiłoby, gdyby miało z nami do czynienia. Jeszcze w 1919 r. wszystkie misje zagraniczne, jawne i tajne, które bywały u nas, stwierdzały na konferencji paryskiej unisono, że nie nadajemy się nawet do autonomii, chyba bardzo ograniczonej. Późniejsza nasza polityka, a szczególnie w ostatnim roku, musiała zniszczyć ostatki wiary w naszą żywotność. Tak oto abstynencja wyborcza, absolutnie

---

[1]) Keppler: Leidensschule.

niezrozumiała dla każdego obcego polityka, konszachty z bolszewikami, natrętność — sit venia verbo — (naszej) dyplomacji dobiły nas“ (List ś. p. Stefana Tomaszewskiego z 1923 r., patrz, jak powyżej). Zamiast więc narzekać i wpadać w przygnębienie, należy poznać swoją winę, wyciągnąć z niej konsekwentną naukę i postanowić na przyszłość inaczej postępować. Nie bądźmyż dzieckiem, które płacze, że bite, ale nie chce powiedzieć, za co!

Należy również zrozumieć, że nasz gorżki teraźniejszy los — to nie tylko skutek nierozumnego i mylnego postępowania naszych polityków i patrjotów, ale głównie kara za nasze grzechy i winy przeciw Bogu. Właśnie grzechy nasze i naszych przywódców spowodowały, że Chrystus ich zaślepił i dlatego też doprowadzili naród do katastrofy. Dlatego nie wystarczy grzech i winę poznać i żałować, ale trzeba również ponosić wszystkie ich gorżkie skutki. Podobnie i marnotrawca, straciwszy majątek, musi nietylko spowiadać się i żałować, ale w pokucie i upokorzeniu winien ponosić wszystkie skutki swego marnotrawstwa. Chociaż nie wszyscy są uczęstnikami tych grzechów i przewinień, niemniej jednak wszyscy stanowimy jeden organizm narodowy i dlatego to dobrzy muszą cierpieć za złych, jakoteż cały naród za siebie i za swych przywódców, w których ręce oddał przewodnictwo nad sobą.

Niech nikt nie usprawiedliwia się tem, że w innych narodach, np. i w polskim, popełniają się również nieraz wielkie winy, że również i gdzieindziej są czynniki destruktywne i wszelkiego rodzaju uchylenia i zbłąkania. Na to odpowiem przykładem Sodomy i Gomory, które byłyby oszczędzone, gdyby znalazło się w nich dziesięciu sprawiedliwych. I tych dziesięciu byłoby obroniło owe miasta i powstrzymało straszną karę zniszczenia, bo u Boga więcej znaczy jeden sprawiedliwy, niż tysiące grzeszników. „Lepszy jest bowiem jeden bojący się Boga, niźli tysiąc synów niezbożnych“ (Ekkl. 16, 3).

Tak i w każdym narodzie. W narodzie polskim jest du-

żo dusz w klasztorach, które modlitwą i ofiarą swoją przepraszają Boga i przynoszą ekspiację za grzehy narodu swego. Jest również dużo innych organizacji, które swemi pięknemi dziełami i cnotami równoważą przewinienia swego narodu. Również wielka część inteligencji polskiej manifestuje się, jako wierzący i wierni katolicy. Oprócz tego jest tam też reakcja przeciw złu. Tam widać walkę między obozem prawdy i obozem fałszu. U nas zaś niema w tym stopniu tego, jakby należało. I dlatego niema u nas dostatecznej liczby sprawiedliwych, którzy równoważyliby winy narodu. U nas rozpanoszyło się ogólne błądzenie. A kiedy są sprawiedliwi, to nie reagują oni jawnie na jawne zło. A gdy nawet kto reaguje, to głos jego jest głosem wołającego na puszczy, tem więcej będzie on osamotniony, wyśmiany jako idjota, a co więcej, uważany nawet za wroga narodu. U nas brakuje więc dostatecznie silnej, zorganizowanej i skonsolidowanej armji, któraby skutecznie zwalczała wpływy obozów destruktywnych i torowała narodowi drogę do jego prawdziwego dobra.

Dziedziczny konflikt między Ukraińcami i Polakami.

Między Ukraińcami i Polakami istnieje historyczna, plemienna nienawiść i bezdenna przepaść. Ukraińcy uważają Polaków za swych dziedzicznych wrogów i gnębicieli, zieją przeciwko nim zawziętością, w nich widzą wyłączną przyczynę swego nieszczęścia i niepowodzenia. Ukraińcy mają więcej zaufania do każdego innego narodu, nawet do Chińczyków, Turków, czy innych, aniżeli do Polaków, względem których są do tego stopnia uprzedzeni, że wszelkie zbliżenie do nich uważają nietylko za niepotrzebne, ale za formalną prawie zdradę narodową.

Polacy znowu, czy jako naród, czy też jako państwo, zawsze uważają Ukraińców za naród drugorzędny, jeden z minorum gentium, plemię, niezdolne do rozwoju kulturalnego, nadające się raczej na lokai pańskich i fornali dwor-

skich, albo na zbójów i hajdamaków. Nawet dziad polski z pod kościoła uważa się za arystokratę w porównaniu z Ukraińcem. Mentalność szowinistów polskich dąży do tego, ażeby naród ukraiński zasymilować i eksterminować.

Między Ukraińcami i Polakami prowadzi się walka wiekową, zacięta, na życie i śmierć. Rzecz jednak jasna, że jedni i drudzy nie są bez winy.

Wina po stronie Polaków.

Nie chcę wchodzić w przeszłość, bo wyszłoby to poza ramy niniejszego mego pisma i dlatego wskazuję tylko na dzisiejsze stosunki, powołując się na mój list pasterski o politycznem położeniu narodu ukraińskiego w państwie polskiem, Treść listu mego pod względem traktowania narodu ukraińskiego przez państwo polskie, jak również i przez społeczeństwo polskie, podtrzymuję w zupełności, podkreślając, że gnębienie narodu ukraińskiego nie przyniesie korzyści ani państwu polskiemu, ani narodowi polskiemu. Nie przeczę, że państwo jest usprawiedliwione, gdy reaguje na wszelkie wrogie poczynania ze strony destruktywnych ukraińskich czynników dla państwa, składać jednakowoż winę tego na cały naród i gnębić go za to — jest polityką, niczem nieuzasadnioną! Również dla domniemanych pozorów albo na zasadzie bezpodstawnych i nieusprawiedliwionych doniesień — pochodzących nieraz z osobistych animozji — szykanować, odmawiać słusznego prawa, wydawać krzywdzące nawet niewinnych obywateli-Ukraińców orzeczenia, jest bardzo bolesne i podrywa zaufanie do państwa, nawet u ludzi najlepszych chęci.

Podam przykład. Pewna panienka ukończyła gimnazjum i odbyła studja na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Wniosła następnie prośbę do władzy szkolnej nie o etatową państwową posadę, ale o zezwolenie uczenia przynajmniej w szkole prywatnej. Prośbę jej jednak odrzucono — bo odnośna władza polityczna zarzuciła, że

brat jej służył w armji ukraińskiej, a ona, jeszcze jako uczenica, należała do „płasta“. Nie jest to przecież jej winą, gdyż za brata nie odpowiada i miała zaledwie 7 lat, kiedy brat jej wstąpił do armji ukraińskiej. Zresztą nie jest to zbrodnią, że brat jej walczył za swą ojczyznę, gdyż postąpił tak, jak nakazywała mu prawdziwa miłość ojczyzny i swego narodu. A co do „płasta“, to należała ona do niego wówczas, kiedy jeszcze płast był dozwolony przez władzę szkolną. I dla tych to „przyczyn“ odmówiono jej prawa nauczania nawet w prywatnej szkole, gdzie państwo za to nic nie płaci. Jest to rzeczywiście bardzo rażące i bolesne. W końcu otrzymała ona prawo nauczania we wszystkich szkołach publicznych, ale trzeba było do tego używać wszelkiego rodzaju instancji.

Nie mogę tutaj pominąć sprawy sekciarstwa. Wprawdzie w Polsce istnieje wolność religji, jednakowoż u nas czynniki administracji państwowej, z nieznanych mi przyczyn, nie powzięły odpowiednich kroków przeciw sekciarstwu, które wnosi zarzewie niezgody w narodzie ukraińskim. A przecież owi sekciarze niekoniecznie oddają dobre usługi nawet państwu polskiemu. Praca ich bowiem jest rozkładowa, a ich przewódcy są podejrzanej wartości i stoją zwykle na żołdzie zagranicznym. Wiadomym mi jest wypadek, że sekciarze, rozrzucając swoje ulotki agitacyjne, podklejali pod spodem ulotki bolszewickie i antypaństwowe [1]).

Takie i podobne postępowanie władz państwowych nietylko nie wywoła u obywateli ukraińskich lojalności, ale wprost przeciwnie, wywoła ból, żal i gorycz, które udzielają się ogółowi, starszym i młodszym, a nawet dzieciom.

W pewnej ochronce sierocej mali chłopcy, od lat 6 do

---

[1]) Zwracam uwagę, że różnego rodzaju sekciarstwo mnoży się również w całej Polsce i wrogo występuje przeciwko Kościołowi katol. Dziwię się wprost, że w narodzie polskim, który jest nawskroś katolicki, który uważa, że nazwy Polak i katolik są synonimami, że w tym narodzie szerzy się również sekciarstwo. Czy wyjdzie to na dobre narodowi i państwu polskiemu pozostawiam ocenie kompetentnych czynników.

10, zebrali się w gromadkę i poczynają rozmowę. Jeden z nich mówi: „Słuchajcie chłopcy, dzisiaj imieniny Piłsudskiego, dlatego zaśpiewamy: „Szcze ne wmerła Ukraina“. Słyszała to Siostra zakonnica w drugim pokoju i nie mogła nadziwić się, kto mógł tego dzieciaków nauczyć, bo przecież w ochronce nikt im czegoś podobnego nie mówił. Ale na tem nie koniec. Potajemnie, nocą, wycięli chłopcy z papieru trójząb i do dnia nalepili go na bramie.

Ta dziecięca zabawa z pewnością podoba się nacjonalistom ukraińskim, oni bowiem bawią się podobnie i myślą, że wystarcza to do zbudowania państwa ukraińskiego. Przytoczyłem tę zabawę dziecięcą na dowód, jak to gorączka nacjonalizmu ogarnęła wszystkie warstwy narodu ukraińskiego. Nie powinny jej lekceważyć sfery rządowe, gdyż gorączkę tę mogą podsycać do tego stopnia domorośli demagodzy i postronni agenci — im zaś mniejsza o skutki— że naród w paroksyźmie bólu zrobi nierozważny krok i rozbije sobie wprawdzie głowę o mur, ale nie wyjdzie to również na dobre i państwu polskiemu. Niech polskie społeczeństwo zapyta się historji, a ona mu powie, że ilekroć Polska lekceważyła Ukrainę, tyle razy ciężko potem pokutowała.

Opątrzność Boska wręczyła Polsce bicz, ażeby nas smagać za nasze winy, jednakowoż nie na nasze zgnębienie i zniszczenie, ale na nasze dźwignięcie i uzdrowienie i to dla dobra samego państwa polskiego. Jeżeli jednak Polska nie zrozumie swego posłannictwa i nadużyje swej władzy, wówczas może Opatrzność Boska bicz ów zwrócić przeciwko niej samej.

Niech polskie czynniki rządowe i to wezmą pod uwagę, że budowla państwowa — nie jest martwą budową, w której bryły kamienne lub kloce drzewa, ułożone przy pomocy siły fizycznej, leżą nieruchomo. Budowla państwowa — to żywa budowla z żywych obywateli, to wewnętrzna, immanentna organizacja. Pojedyncze części składowe są żywe, chcą żyć i rozwijać się. Gdy zatrzymuje się ich

życie i konieczny rozwój, nie obumierają wówczas, ale reagują, wstrzymują i wstrząsają rozwojem również całego państwa, podobnie, jak to dzieje się i w organiźmie ludzkim. Gdy rozwijają się pojedyncze części, rośnie razem z niemi i rozwija się cały organizm. Gdy zaś jedna tylko część, chociażby nieznaczna i maleńka, cierpi, wtenczas cierpi i ponosi szkodę cały organizm. Tutaj musi współdziałać cały organizm ze wszystkiemi swemi pojedyńczemi częściami, jakoteż wszystkie pojedyńcze części z całym organizmem. Nie jest w interesie państwa wymagać od obywateli, by byli lojalni z musu, wbrew woli, ale należy dążyć do tego, ażeby byli lojalni z własnej woli. A z własnej woli będą lojalni wtenczas, gdy będą zadowoleni i zaspokojeni w swem życiu i rozwoju.

W końcu zaś państwo polskie i społeczeństwo niech nie traktuje Ukraińców na podstawie swej siły i przewagi jak niewolników, albo lokajów, których można lekceważyć lub gnębić, gdyż każdy naród ma przyrodzone prawo do życia i rozwoju, nawet murzyni...

Wina po stronie Ukraińców.

Nam, Ukraińcom, nic nie pomoże wskazywać na błędy drugich, a swych nie widzieć i z nich nie poprawiać się. Nic nam nie pomoże osądzanie Polaków i spychanie na nich całej winy. Musimy wglądnąć w siebie, o ile sami zawiniliśmy i o ile sami dawaliśmy i dajemy powód Polakom do traktowania nas w ten sposób.

Kiedy chcemy być co do siebie szczerzy i objektywni, to musimy przyznać, że naszem, może najgłówniejszem niedomaganiem jest to, że kulturalnie różnimy się od Polaków już przez to samo, że oni zrośli i wzmocnili się zachodnią kulturą katolicką. Odłam żonaty naszego kleru, który jest głównym pionierem kulturalnego podniesienia naszego narodu, nie może w pełni dorównać duchowieństwu łacińskiemu, już przez to samo, że jest żonaty. Pewien

wybitny polityk i dyplomata powiedział mi przy jednej sposobności, że dopóki kler ukraiński będzie żonaty, tak długo naród ukraiński nie może się przejąć kulturą zachodnią.

Konsekwencją tego jest m. in., że nie wyrobiło się u nas prawdziwe, gruntowne i świadome poczucie i pojmowanie własnej godności. Stąd też pochodzą u nas liczne objawy niewolnictwa, aż do poniżenia, albo upór i zawzięta pycha, prawie aż do szalonego terroru. Albo gniemy się, jak niewolnicy, albo, jak dzieciaki, lżymy i popełniamy nieraz nierozważne uczynki. Brak u nas roztropności i zastanowienia, dajemy porywać się uczuciu, a nie powodujemy się rozsądkiem. Nie znamy i nie rozumiemy tej zasady, która mówi: „Fortiter in re, suaviter in modo“ i nią się nie powodujemy.

Przy jednej sposobności widziałem taką scenę: Pewna arystokratka rozdzielała łakocie między ubogie dzieci. Wśród nie zamieszał się z ciekawości chłopiec, który nie należał do tych ubogich dzieci, chociaż był również, jak i one, ubogo ubrany. Kiedy przyszła na niego kolej, cofnął się i nie przyjął łakoci. Pani owa zwróciła na to uwagę i znacząco na niego popatrzyła. Nie wiem, co ona pomyślała, domyślam się jednak, że nabrała przekonania o wysokiem poczuciu jego własnej godności.

Fałszywe metody.

Również metody, jakich używają Ukraińcy wobec Polaków, są nie tylko mylne i bezskuteczne, ale wręcz szkodliwe. I tak, znaczna część ukraińskiego społeczeństwa po wszystkich niepowodzeniach i zawodach zajęła bierne stanowisko. Prawie apatycznie żyje z dnia na dzień, czekając, co dzień przyniesie. Takie stanowisko — to krótkowzroczność i małoduszność. Oznacza ono wegetowanie, a raczej wyrzeczenia się rozwoju życiowego, albo innemi słowy, przemienienie się w żyjącą mumję. A to jest na rękę polskim szowinistom.

Głupotą jest również, byśmy, jako słabsi i bez należycie przygotowanego gruntu pod nogami, stali tylko na punkcie negacji, zadzierżystości i prowokacji wobec silniejszego. Tem nie tylko nic nie zyskamy, ale jeszcze więcej rozjątrzymy przeciwnika i damy mu powód i oręż do ręki, ażeby mógł nas tem silniej zwalczać i niszczyć. Podobni bylibyśmy do tego słabszego człowieka, który, dostawszy w twarz od silniejszego przeciwnika, zamiast uchylić się, albo ratować się innym sposobem, wyprostował się, przybrał zuchwałą postawę i woła: „Ano, spróbuj jeszcze raz, ja tobie pokażę“! I dostaje drugi raz w twarz, ale i to również nie pomaga, gdyż stojąc nadal w zajętej pozycji, znowu krzyczy: „Ano, jeszcze raz, a zobaczysz, co z tego będzie“! I dostaje trzeci raz w twarz. A potem chełpi się, że wytrwał do końca i postawił na swojem.

A już bezwarunkowo i w najwyższej mierze zgubne są dla nas polityczne zabójstwa i sabotaże. Tym sposobem absolutnie Ukrainy nie zbudujemy, a naodwrót, los jej tem bardziej się pogorszy. Polacy przecież nie dadzą się wystrzelać, jak wróble, a jako pod każdym względem silniejsi, zareagują i zgnębią nas do reszty. Po każdym akcie terrorystycznym cały naród ukraiński nie tylko nie doznaje żadnej ulgi, lecz naodwrót, drogo jeszcze płaci. Czy młodzi, którzy dokonują tych uczynków, zastanawiają się nad tem, że Polacy, mając własne państwo i przewagę, mogą te odosobnione bojówki ukraińskie kłaść na karb całego narodu ukraińskiego z wielką dla niego szkodą?!

Ponadto akcja taka nie uszlachetni narodu ukraińskiego, ale przeciwnie, zdemoralizuje go i zdeprawuje. Akcja taka wychodzi zawsze z zasad ideowych, ale następnie wyradza się zawsze w rozbójniczy szantaż i bandytyzm. Tak było u Rosjan, tak było u Polaków, nie inaczej będzie i u nas, bo taką jest konsekwencja owych podziemnych organizacji w ich dalszym rozwoju. Szantaż ten i bandytyzm może odwrócić się później przeciwko swoim, a nawet przeciw tym, którzy dzisiaj kierują owym ruchem terrorystycz-

nym. Kierownikom bowiem może łatwo wyślizgnąć się ster z rąk i mogą z łatwością potworzyć się osobne bojówki na własną rękę, które będą uprawiać szantaż i terror wobec swoich dla niskiego zysku i pieniądza. Łatwo jest wywołać ducha, ale potem trudno jest go uspokoić. Łatwo jest dom podpalić, ale ciężko, a może nawet niemożliwe, ogień ugasić. Chrystus Zbawiciel mówi: „Albowiem wszyscy, którzy miecz biorą, mieczem poginą“. (Math. 26, 52).

Wyżej przedstawiona konieczna konsekwencja poczyna już działać. Znany jest mi taki fakt: Pewien nasz młody patrjota cieszył się u nas wielką popularnością, uważano go za wybitnego działacza, miał wielki wpływ na naszą młodzież, wciągał ją do tajnych organizacji i bojówek, a równocześnie donosił na nią do władzy. Czy nie szatańskie to dzieło? Sprzeniewierzywszy następnie poważną sumę w jednej z naszych instytucji, uciekł za Ocean. A owo podpalanie parafjalnych budynków i dobytku, które trafia się w ostatnich czasach, czy nie jest konsekwencją tej tajnej akcji? Nauka nie idzie w las! Kij ma dwa końce.

Czy możliwa jest ugodowość.

U nas ugodowość wobec Polaków uchodzi za złoczyn. Ale bezpodstawny to strach. Ugodowość ta bowiem w dzisiejszych warunkach nie ma pozytywnych widoków, gdyż Polacy nie myślą poważnie o ugodzie z nami i o ustępstwach, nam należnych.

Cóż mamy więc robić? Czy zachowywać się biernie i czekać na nasze obumarcie? Czy mamy dalej stać na stanowisku negacji i prowokacji? Czy mamy nadal uprawiać akcję terrorystyczną i w ten sposób roztrzaskać głowę i runąć w przepaść?

Nie! Pierwszy krok z naszej strony — to stanowisko lojalności dla tego państwa, w którem się znajdujemy. Dyktuje nam to zdrowy rozum. Bo chociaż nie otrzymamy po-

zytywnych rezultatów i pomyślnych korzyści, to przecież związżemy Polakom ręce tak, że nie będą mieli powodu nas gnębić i prześladować. Będziemy mogli bodaj oddychać, przyjść do siebie i odżyć.

A potem musimy między sobą skonsolidować się, prowadzić pozytywną pracę we wszystkich dziedzinach naszego życia narodowego, ażeby w ten sposób wyrobić w sobie siłę, ażeby móc uzyskać pewne, korzystne wartości i walory. Słowem, ażebyśmy się stali czynnikiem, z którym każdy musi się liczyć. Wtenczas i Polacy będą zmuszeni poważnie nas traktować, a mądrzy z pośród ich polityków będą musieli wejść z nami w kontakt i dojść do porozumienia w sprawie spokojnego współżycia dla dobra tak państwa polskiego, jak i narodu ukraińskiego.

Pocieszający objaw.

Z radością należy zaznaczyć, że przed kilku laty zawiązała się u nas organizacja, która postawiła sobie za zadanie zdrowy i pozytywny rozwój narodu ukraińskiego na gruncie katolickim. Partja ta nazwała się: Ukraińska Katolicka Partja Narodowa (U. K. N. P.). Potem zmieniła nazwę swoją na „Ukraińska Narodna Obnowa“ (U. N. O.). I dobrze się stało. U nas bowiem od jakiegoś czasu zauważyć można pewne dziwo. Przedtem nazwa „katolik“, „katolicki“, nie była popularna, nie miała obywatelstwa, była, można powiedzieć, lekceważona. A teraz, w ostatnich czasach ,nazwa ta jest często używana, a „katolicy“ rosną, niby grzyby po deszczu. Czy oznacza to może, że katolicyzm tak głęboko wkorzenił się w naszym narodzie? Bez wątpienia, katolicyzm wsiąka coraz więcej w nasze życie społeczne, ale nie należy być optymistą i uważać tych wszystkich za katolików, którzy mienią się być katolikami. Mam tutaj na myśli patrjotów z obozu nacjonalistycznego. Tam bowiem panuje duch liberalny, radykalny a nawet bolszewizujący! I o dziwo! Wielu z nich stało się naraz katolika-

mi i należą do stowarzyszenia o nazwie katolickiej. Czem to wyjaśnić? Może cud? Raczej uwierzyłbym w to, że woły, albo konie przemieniły się w ludzi, aniżeli w to, że nasi liberali, radykali i radianofile masowo i nagle przemienili się w katolików. W jaki więc sposób wyjaśnić sobie ów dziwny objaw? Rzecz jasna, U ogółu naszych patrjotów niema stałych, wewnętrznych przekonań, bez względu na to, czy nazywają siebie prawymi, czy też lewymi. Tem można wyjaśnić sobie tę ich dwulicowość i to nietylko pod względem religijnym, ale nawet narodowym i politycznym. I dlatego, którędy wiatr wieje, zmieniają swój front, przedewszystkiem, o ile idzie o osiągnięcie jakiejś korzyści.

Przecież ci liberali, radykali i radianofile zechcą stanąć kiedyś jako kandydaci na posłów. Wówczas to będzie bardzo wygodnie apelować do duchowieństwa w sprawie agitacji na ich korzyść i powoływać się przed duchowieństwem na fakt, że oni są przecież „katolikami“, a duchowieństwo uwierzy oczywiście na ślepo.

Dobrze więc stało się, że wyżej wspomniana organizacja U. K. N. P. w nowej swej nazwie U. N. O. opuściła słowo „katolicka“, a za to zaznaczyła, że stoi na gruncie katolickim i że będzie bronić praw Kościoła katolickiego. Lepiej zaznaczyć swój katolicyzm dziełem, aniżeli tylko nazwą. Dobrze stało się jeszcze i dlatego, gdyż uchyla się wszelkie kolizje, podejrzenia i posądzenia, jakoby organizacja owa miała na celu nadużywanie katolicyzmu do politycznych, a więc i zmiennych celów.

Bardzo trafnie nazwała się owa organizacja „Obnową“, a nie partją. U nas aż kipi od wszelkiego rodzaju partji, które się wzajemnie zwalczają i powodują coraz to większy rozkład narodowy. Partja zawsze jest eksluzywną. Tymczasem wspomniana organizacja ma na celu odrodzić całe życie narodowe i to na zasadach Chrystusowych, o czem mówi św. Paweł Apostoł: „W Chrystusie wszystko naprawić“ (Ad Eph. 1, 10).

Wysoka to idea. Urzeczywistnienie jej wytworzy

uzdrowienie narodu, wytworzy z czasem walory i siłę, z któremi liczyć się muszą wszystkie sfery rządowe, nawet wszyscy przeciwnicy i wrogowie. Urzeczywistnianie tej idei — będzie również najpewniejszem i najsolidniejszem przygotowaniem narodu do własnej państwowości. Bez takiego przygotowania żaden naród, nawet w najbardziej pomyślnych warunkach, nie stworzy swego suwerennego państwa, a gdyby je nawet osiągnął, prędko ono upadnie. I dlatego niech owej Organizacji przyświeca idea, a nie osobiste korzyści, nie politykierstwo, nie czasowe polityczne korzyści, nie wyłącznie zdobycie mandatów parlamentarnych, z upływem których upada również i odnośna partja polityczna. Wszystko może minąć, ale idea trwa zawsze. A idea ta — to urzeczywistnienie programu, podanego poprzednio na właściwem miejscu w dzisiejszej mojej pracy. Sprawy te są bowiem wieczne, spoczywają na niezmiennych, trwałych prawach Bożych.

Z tej samej przyczyny niech nowa ta u nas organizacja nie łakomi się na licznych członków. Nie trzeba wszystkich przyjmować, którzy się zgłaszają. Członkami niech będą tylko ci, którzy wewnętrznie są przeświadczeni i przejęci ideą organizacji. Nie w liczbie siła, ale w idei. I dlatego niech owa organizacja nie spodziewa się z miejsca pomyślnych wyników, a do tego jeszcze w naszem krótkowzrocznem i politycznie niewyrobionem społeczeństwie. Ale tem lepiej. Im powolniej będzie rozwijać się, im więcej mieć będzie przeszkód i trudności, tem solidniejszy i trwalszy będzie jej rozwój. Trzeba będzie może dziesiątek lat, zanim przyjdze ona do znaczenia i wpływu. Chwasty i burzany rosną prędko, ale też i prędko giną. Dąb rośnie pomału, ale za to trwa stulecia.

Niech więc organizacja owa będzie bardzo uważna i rozważna w swych postanowieniach i w całej działalności. Przy rozstrzyganiu każdej sprawy niech dobrze zastanowi się, a gdy już rozstrzygnie, niech konsekwentnie wykonuje i niech nie odstępuje i nie opuszcza rąk, chociażby się wy-

łoniły nie wiedzieć jakie trudności, a nawet prześladowania. Po dobrze obmyślanej i wytycznej linji niech kroczy niezachwianie.

Trwałe prawo rozwoju wszystkich narodów.

Każdy naród, który chce kulturalnie rozwijać się i zapewnić sobie istnienie, musi mieć trwałą i silną organizację, stworzoną na pozytywnych i trwałych podstawach. Taka organizacja jest sumieniem narodu i dopóki ona istnieje i ma wpływ, dopóty naród nie może upaść, bez względu na to, czy ma swoje niezawisłe państwo, czy też poddany jest cudzemu państwu. Podobnie, jak w każdym człowieku niskie namiętności buntują się przeciw rozumowi i cnocie, a jednakowoż sumienie nieuśpione i baczne ostrzega, hamuje i normuje — tak też w każdym narodzie czy państwie, chociaż lewicowe i rozkładowe czynniki, czy partje ciągną do rozkładu życiowego sił narodu, to jednakowoż nie zdołają osiągnąć swego celu i zniszczyć narodu, dopóki w nim istnieje i ma wpływ zachowawcza organizacja, oparta na trwałych i pozytywnych zasadach.

Jest to trwałe prawo rozwoju, a nawet istnienia wszystkich narodów. Prawo to zaznaczyło się już w starożytności. Wiemy z historji narodów starożytnych, że z chwilą, kiedy upadała w którymkolwiek z nich organizacja konserwatywna, zaczynał się niepowstrzymany pochód w przepaść. Tak było w starożytnej Grecji, tak było w starożytnym Rzymie, tak było w starożytnem Bizancjum, tak było u wszystkich znanych nam narodów.

Konserwatywne organizacje katolickie u niektórych narodów.

W Niemczech istnieje taka organizacja pod nazwą „Centrum“, które, jako organizacja konserwatywna i katolicka, miało wielkie znaczenie dla narodu niemieckiego. Na tej skale opierały się, powiedzieć można, cały los i przy-

szłość narodu niemieckiego. W Niemczech stanowią katolicy jedną trzecią ludności. I mimo to, od katolickiej organizacji zależała polityka całych Niemiec w daleko większej mierze, aniżeli od organizacji pozostałych dwóch części. Podobnie ma się sprawa z organizacją konserwatywną w Holandji, gdzie liczebnie jest jeszcze mniej katolików, aniżeli w Niemczech, a mimo to wpływ ich w tem państwie jest wielki, częstokroć nawet rozstrzygający.

Z natury rzeczy zastanowię się także nad konserwatywną organizacją u Polaków, naszych sąsiadów. Chcę wskazać na podobną ich organizację pod nazwą „Prawica Narodowa", albo „Krakowska Szkoła Konserwatywna". Jest to najstarsza organizacja konserwatywna w Polsce. Jej rozważna i realna polityka doprowadziła do tego, że Galicja wprawdzie de jure była krajem monarchji austrjackiej, ale de facto rządzili nią Polacy. Tutaj, w Galicji, najsilniej pulsowało i koncentrowało się prawie całe życie Polski wszystkich zaborów. Z owej szkoły wyszli najzdolniejsi politycy polscy, jak również wybitne osobistości we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Jednakowoż organizacja ta przeszła ciernistą drogę, zanim doszła do znaczenia i wpływu, jak to podał autor publicznego listu konserwatysty polskiego do ukraińskiego, o czem również powyżej była wzmianka.

Ideologja i główne rysy programu polskiego obozu konserwatywnego pod nazwą „Prawica Narodowa" są następujące: Pierwszy rys, to uniwersalizm, a nie waski, ekskluzywny partykularyzm. Drugi rys, jeszcze ładniejszy, to ideowość, a nie chwilowe zyski, chwilowe kombinacje i konjunktury. Trzeci, najpiękniejszy, to absolutne przyznawanie i oparcie się na najwyższym Bożym Autorytecie i Trybunale, rozumie się, z wszystkiemi prawami i postulatami tego Bożego Autorytetu we wszystkich dziedzinach życia narodowego i rozwoju państwowego [1]).

---

[1]) Patrz: Odczyt D-ra Jana Bobrzyńskiego w Łodzi 18/3 1932, później ogłoszony w „Naszej Przyszłości". Tom XX. 1932, str. 9-a.

Ofiara z miłości do Chrystusa Zbawiciela, jako konieczne prawo odrodzenia.

Wszelkie dobre dzieło osiąga się tylko z trudnościami. Wszelka twórczość odbywa się wśród bólu. Ofiara — to nieubłagane prawo prawdziwego dobra i postępu. Tak jednostka, jako też i naród, musi przyjąć na się ofiarę i wykonywać ofiarę, jeśli chce utrzymać się i rozwijać.

To prawo ofiary musi zrozumieć i wykonywać również naród ukraiński, jeśli chce siebie odrodzić i nabrać sił do wykonywania swego posłannictwa. I dlatego nasz wzrok, nasz umysł i serce muszą zwrócić się do ofiary Chrystusowej, przejąć się nią i urzeczywistniać ją w całem swem życiu. Bo ofiara Chrystusowa — to źródło ratunku i zbawienia wszystkich ludzi pojedyńczych i całej ludzkości, razem wziętej. Stąd wyszło światło, które świat oświeciło, stąd przyszło odrodzenie dla upadłego rodzaju ludzkiego. A ofiara ta — to wynik miłości Boga-człowieka, wcielonego Syna Bożego i to miłości najwyższej, najświętszej i najczystszej.

Na Golgocie skrystalizowały się w krańcowej formie przewrotność i nienawiść, żądza krwi i zniszczenia, jako symbol i wykwit zatrutego ducha ludzkiego. Nad tym oceanem zła i grzechu zawisła jeszcze wyżej, bo najwyższa, ofiara miłości Chrystusa Zbawiciela, do krzyża przybitego. Ta też ofiara miłości zwyciężyła.

Otóż ta ofiara Syna Bożego, ofiara najświętszej miłości, niech będzie drogowskazem i przykładem dla nas, Ukraińców. Tylko urzeczywistnianie tej najwyższej ofiary miłości Chrystusa Zbawiciela może nas uratować i odrodzić.

Tę najwyższą ofiarę i miłość przejęła od Chrystusa Zbawiciela Jego Oblubienica, Kościół katolicki. Historja jego — to historja cierpienia i miłości, a zarazem również i historja jego ustawicznego zwycięstwa. On narodził się na krzyżu z przebitego Serca Chrystusowego, z tego Ser-

ca, które jest siedliskiem Bosko-człowieczej miłości, a zarazem odkupienia i zbawienia. Jego kolebka w katakumbach, a nad kolebką, jak trafnie wyraził się jeden kaznodzieja, przyśpiewywał ryk dzikich zwierząt w amfiteatrach rzymskich. Trzystoletnie prześladowanie jego miłości upiększyło jego skroń najpiękniejszym djademem niezliczonych męczenników i męczennic. W dalszem swem życiu wydał on największych genjuszów, jakimi świat może się pochlubić. On odradza ludy i kładzie podwaliny prawdziwej kultury dla wszystkich narodów, które przejęły się duchem jego ofiary i miłości. We wszystkich swych dążeniach doznaje on ciągłych napaści od wrogów, a również i ran bolesnych od swoich. Jednakowoż ofiarą i miłością wszystko zwycięża i nigdy nie traci sił. Chociaż tyle setek lat istnieje, nie starzeje się, nie słabnie, ale w świeżej młodości zawsze jaśnieje siłą i pięknością.

W tym to Kościele katolickim, w tej Oblubienicy Chrystusowej, narodzie mój, odrodzenie twoje, siła twoja i przyszłość twoja.

*
* *

Kończę na tem. Szczerze i otwarcie odkryłem wszystkie rany bolesne i nieszczęsny stan narodu mego i to z miłości do niego, a zarazem wskazałem na lekarstwo, prawdziwie uzdrawiające i skuteczny sposób ratunku.

Powiedziawszy to wszystko, składam los narodu mego za pośrednictwem Niepokalanie Poczętej Panny Marji — pod której orędownictwem stanąłem już z początku, przy mojem wstąpieniu na tron biskupi — składam u stóp Chrystusa Zbawiciela, mego Najwyższego Pasterza i Wodza, który również i za mój naród spełnił najwyższą, najczystszą ofiarę Bosko-człowieczej miłości.

Przeglądając tę pracę moją już po jej ukończeniu, widzę, że odkryłem przed przewodnią warstwą narodu mego dwie drogi: jedną, po której ta warstwa przewodnia już dawno kro-

czy i naród prowadzi, a na której doszła i doprowadziła go na krawędź przepaści — i drugą drogę, na którą wołam ludzi dobrej woli. Wołam do starszych, a przedewszystkiem do młodzieży, do wszystkich razem wołam: Nie dajcie się dalej mamić pomyślnymi wynikami na szlaku, którym dotychczas kroczycie! Nie dajcie się mamić nawet wtenczas, kiedy obok tego szlaku zobaczycie już silne swoje organizacje, oświatowe, ekonomiczne, polityczne, owiane dotychczasowym duchem. Nie dajcie się mamić nawet wtedy, kiedy zobaczylibyście pod swoją komendą nawet silne swoje armje. Bo wszystko to pryśnie i zniknie, jak cień, zniknie tak, jak to już nieraz znikało w naszej historji. Trwale stać może owoc pracy ludzkiego umysłu i dzieło rąk ludzkich wtedy tylko, kiedy spółność ludzka ma w sobie ugruntowane owo wyższe posłannictwo, spólność, która uważa tylko za poboczne i małowartościowe to wszystko, co może stworzyć potega ludzka na ziemi nawet w przeciągu długich stuleci. Tę oto duchową siłę, to oto mistyczne wnętrze, które daje ludziom obraz i formę Bożą, chciałem wedle nauki św. Kościoła katolickiego, Oblubienicy Chrystusa Zbawiciela na ziemi, utwierdzić i wkorzenić w was, jako w przewodniej warstwie mego narodu.

Tylko wtedy, kiedy naukę tę przyjmiecie i przejmiecie się nią, staniecie się przewodnią warstwą nie ku zgube, lecz dla dobra swego narodu.

Pisano i dano w Bohorodczanach, dnia 15 sierpnia n. st. 1932 r.

† GRZEGORZ, Biskup.

Już po wydrukowaniu mojej niniejszej pracy piśmiennej uważam za wskazane dodać jeszcze dwie uwagi.

Jeżeli w swojem miejscu niniejszego mego pisma zaznaczyłem, że żonaty stan księży nie może odpowiedzieć w pełni i w całości swemu wysokiemu zadaniu względem Kościoła i narodu, to przez to nie miałem całkiem zamiaru poniżyć tego stanu. Dlatego zaznaczam, że ten stan, tak

księży, jak też świeckich ludzi, ma swoje poważanie i szacunek, że małżeństwo jest św. Sakramentem. Z tego powodu starałem się i staram się nikomu z księży żonatych nie okazywać uprzedzenia albo niechęci. Owszem, starałem się i staram się odczuć ich trudne położenie i według możności pomagać.

Również odczuwam nieszczęsny stan wdów i sierot po księżach i w tutejszej diecezji doznają takiej opieki, jak może w żadnej innej.

Tak samo jeszcze raz podkreślam, że nie chcę poczytywać żonatym księżom za osobistą winę ich niedomagania w wypełnianiu pełnego i całkowitego zadania stanu kapłańskiego.

Uznaję, że ogół duchowieństwa żonatego poniósł wiele trudu i pracy na polu kościelnem i narodowem. Wielu żonatych księży w konkretnych wypadkach wyżej stanęło, niż niejedni bezżenni. Nie mogę także poczytywać za osobistą winę żonatym księżom dlatego, bo oni w dobrej wierze wstąpili w stan małżeński, bo Biskupi na to pozwalali i jako żonatych wyświęcali. A jednakowoż historja nie może zaprzeczyć niedomagań żonatego kleru. Tych więc niedomagań trzeba szukać nie w osobistej winie księży, lecz w ich stanie żonatym. I dlatego niedomagania te żonatych księży wziąłem w mojem piśmie na karb ich stanu żonatego. Ten stan, jako żonaty stan księży, traktowałem objektywnie, jako czynnik historyczny, który okazał się niedostatecznym w historji Kościoła i narodu. Ten ujemny, czy raczej niedostateczny wpływ żonatego stanu księży jest niczem innem, jak tylko potwierdzeniem słów Ducha św., wypowiedzianych przez św. Pawła Apostoła, że żonaty jest rozdzielony między Chrystusem a żoną, a jeszcze więcej innych słów tegoż Apostoła, a mianowicie, że ożeniony dba o rzeczy doczesne i ziemskie. „Kto bez żony jest, stara się o to, co Pańskiego jest, jakoby się podobał Bogu. A który z żoną jest, stara się o to, co światu należy, jakoby się podobał żonie: i rozdzielon jest“ (I. Kor. VII, 32-33).

I tutaj jest zawiązek tego tragizmu, który tak bardzo ujemnie odbił się i odbija na losie Kościoła u nas, jak też naszego narodu. Tego tragizmu niema w stanie małżeńskim ludzi świeckich, dla których bezżenność jest tylko radą ewangeliczną i którzy nie mają obowiązku podwójnego ojcostwa, t. zn. duchownego i krwi. Niechaj kto, jak chce, broni stanu żonatego księży, niechaj kto, jak chce, gniewa się na mnie i mnie osądza, jednakowoż wyżej przytoczone słowa Ducha św., potwierdzone praktyką życiową i historją, są i pozostaną po wszystkie czasy, jako prawdziwe, niezbite i nienaruszalne.

*

* *

Jedno nacjonalistyczne czasopismo, które w nielegalny sposób przyszło w posiadanie mojej broszury jeszcze przed jej ogłoszeniem, napisało, że „Ukraińska Narodowa Obnowa" (U. N. O.), jak też moja niniejsza broszura, są ofertą pod adresem polskiego rządu.

Insynuację tę odpieram stanowczo, jako zupełnie nieuzasadnioną. Ani ja, ani „Ukraińska Narodowa Obnowa", nie jesteśmy do sprzedania i dlatego żadna oferta nie może mieć miejsca. Tak „Ukraińska Narodna Obnowa", jak też ja, mamy ręce czyste i wolne. Dewizą tak dla mnie, jak też dla „Ukraińskiej Narodowej Obnowy", są i muszą być słowa Chrystusa Pana: „Oddajcież tedy, co jest cesarskiego, cesarzowi, a co jest Boże, Bogu" (Mark. XII, 17).

Wyżej wspomnianą insynuację podało owo nacjonalistyczne pismo na podstawie wywiadu ze mną przedstawiciela Agencji „Wschód".

Dla wyjaśnienia zaznaczam, że w tej sprawie w tem znaczeniu wyraziłem się: Rząd polski i polskie społeczeństwo nie powinno posądzać całego narodu ukraińskiego za przewinienia jednostek, albo jakiejś grupy, bo nie cały ukraiński naród solidaryzuje się z takiem postępowaniem. Ogół ukraiński jest dobrej woli, jednakowoż domaga się

spełnienia swoich słusznych postulatów i rząd polski powinien to wziąć pod uwagę. Fabrykowanie zaś na eksport „chlebojedów“ nie przynosi zaszczytu i korzyści ani rządowi polskiemu, ani polskiemu narodowi, ukraińskie zaś społeczeństwo tem tylko się rozgorycza i uważa to za prowokację.

Mniemam, że tych słów, w tem znaczeniu, nie można brać w żaden sposób za ofertę.

Autor.

